

1732

Nr. Książki

D 2732

Autor

Noskowski, W.

armaty

D-

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mniń kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozlaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczyć obrazków i kartek.

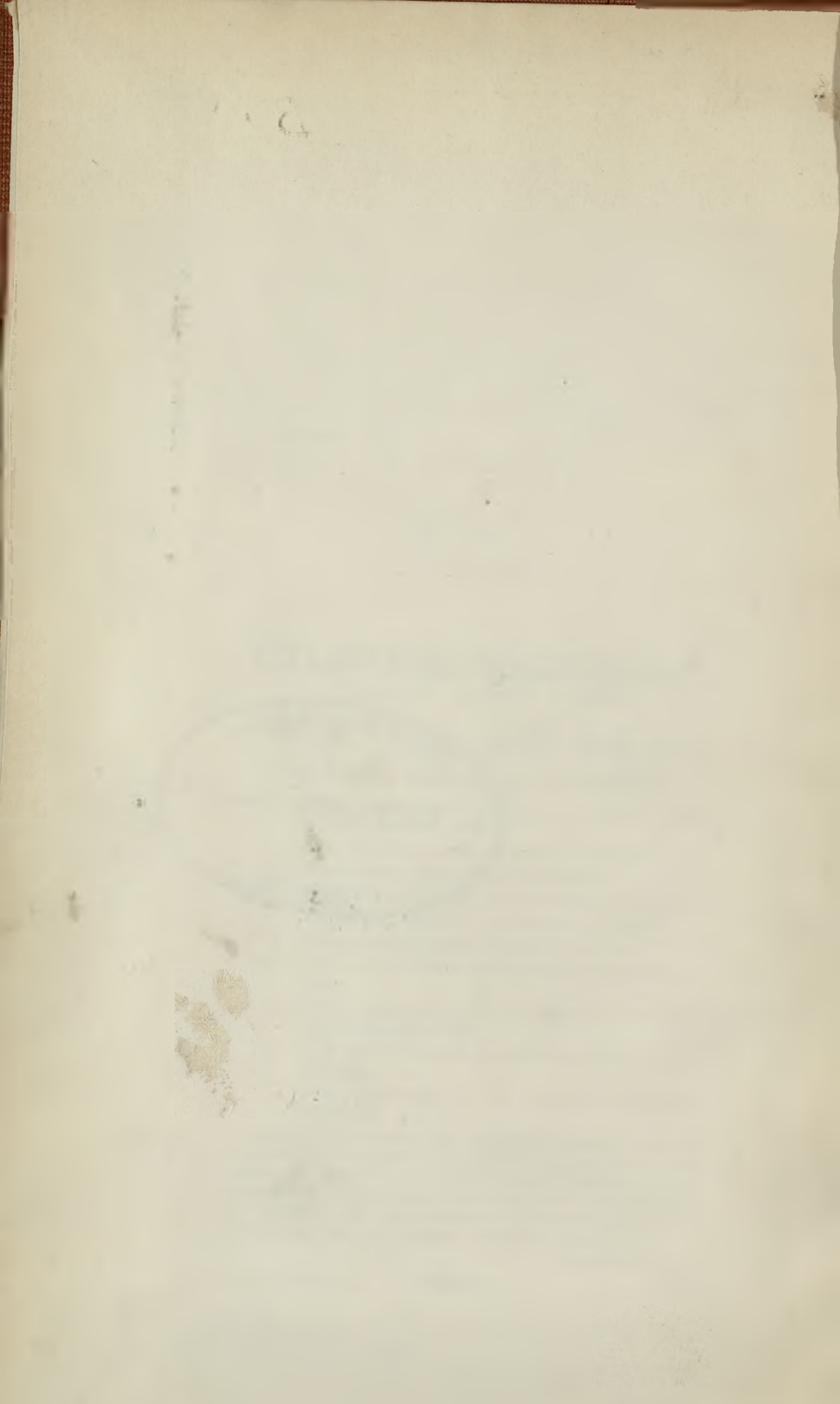
Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

D2732

~~B. 175.~~





D2732

~~B175~~

WITOLD NOSKOWSKI.

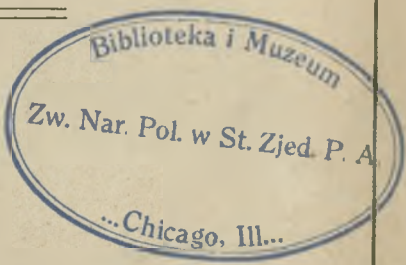
LUDZIE I ARMATY

(Z PODRÓŻY NA FRONT BELGIJSKI).

✓

OKŁADKĘ RYSOWAŁ

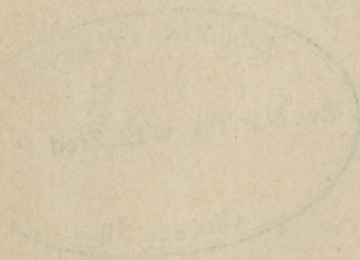
PORUCZNIK HENRYK UZIEMBŁO.



KRAKÓW 1918.

NAKŁADEM „GŁOSU NARODU“.

B. 11



ZAMIAST WSTĘPU.

Grono dziennikarzy austriackich i węgierskich odbyło w ostatnich dniach listopada wycieczkę do Niemiec i na zachodni front wojny. W liczbie uczestników znaleźli się, dzięki pośrednictwu Towarzystwa Dziennikarzy Polskich we Lwowie, także członkowie redakcyj polskich w Galicyi.

Do udziału w tym objeździe zachęcała nie tylko ciekawość, tak naturalna u ludzi pióra, którzy od lat trzech z górą skazani są na zamknięcie w czterech ścianach Galicyi, a radziły poznać życie wojenne innych krajów i tą autopsją rozszerzyć widnokrąg publicystycznego doświadczenia. Nadarzyła się sposobność wglądnięcia zblizka i wprost w stosunki narodu, który prowadzi walkę przeciw całemu niemal światu; narodu, z którym ziemia polska od wieków graniczy i z którym stykać się będzie musiała, bo tak chce geograficzna konieczność. Życie Niemiec znamy o tyle tylko, o ile oglądamy je w zwierciadle prasy, to zaś — jak wiemy — nie zawsze chce oddawać wierny obraz rzeczywistości, a dzisiaj rzadko oddać go może. Skorygować te błędy optyki, spojrzeć własnym okiem i skierować je na te punkty horyzontu politycznego, o które nam przedewszystkiem iść musi — oto był pierwszy i najważniejszy motyw, który musiał skłaniać dziennikarza polskiego do udziału w

wycieczce, urządzonej przez stowarzyszenie prasy berlińskiej, a popieranej przez związek prasowy niemiecki, obejmujący całą Rzeszę.

Dla publicystów innej narodowości otwierały się także możliwości odmienne, jak to w ciągu dalszym tych uwag zobaczymy. Mogło im iść o pewnego typu manifestację polityczną i o realne jej konsekwencye w postaci np. ściślejszego związku między dziennikarstwem niemieckim z jednej, zaś austriackim i węgierskim z drugiej strony. W czasie wycieczki usiłowali berlińscy inicjatorzy w istocie rezultat taki uzyskać: spoić prasę przed- i zalitawską z drukowaną opinią Rzeszy. Własne a pilne zadania i cele, jakie ma dziennikarstwo polskie, uniemożliwiłyby, zwłaszcza w dzisiejszej sytuacji, udział w tej pracy, gdyby się miała była zacząć. Z usiłowań tych trzeba będzie jednak zdać sprawę, czyniąc to poprostu i obiektywnie, jak przystało świadkom nieinteresowanym, a więc tembardziej bezstronnym. Rola ta polskich uczestników zjazdu ułatwiła się zresztą automatycznie, można powiedzieć, przez to, że na udziale naszym nie spoczął żaden akcent, który mógłby mu nadać specjalne zabarwienie polityczne. Nie spotkaliśmy się ani razu z koniecznością zabrania głosu i dodania naszej przemowy do tych wielu, jakie wygłaszano, to też nie potrzebowaliśmy zaznaczać, że garstka nasza nie była delegacją, nie potrzebowaliśmy tłumaczyć, że prasę polską jako taką przedstawiaćby mogła tylko reprezentacja, obeszana przez wszystkie trzy dzielnice Polski, nie potrzebowaliśmy żadnych drażliwych kwestyi dotykać, ani objaśniać. Dzięki temu, że obecności naszej specjalnie nie podkreślano ani na pierwszy plan nie wydobywano, mogliśmy utrzymać się na stanowisku gości-widzów, zaciągając tylko takie zobowiązania, jakie ciążyą na każdym dziennikarzu, a streszczają się w obowiązku in-

formowania swych czytelników — według najlepszej wiedzy i według najgłębszego przeświadczenia, że tak, a nie inaczej pisać należy.

Trudno wchodzić w przyczyny, jakie powodowały inicjatorami wycieczki, że postępowali tak, a nie inaczej. Okazyje do podkreślenia udziału dziennikarzy polskich jako takich, nadarzały się niejednokrotnie, a sytuacja polityczna — było to bezpośrednio po dyskusji o znanych rokowaniach berlińskich w sprawie polskiej — była z tych okazji nie najdrobniejszą. Z drugiej strony program wycieczki był opracowany i przemyślany w najdrobniejszych szczegółach do tego stopnia, iż niełatwo sobie wyobrazić, jaką rolę mógłby tutaj grać przypadek, zapomnienie, czy przeoczenie. Z naszej strony — powtarzamy — skarżyć się na to nie mamy prawa, raczej przeciwnie. Reprezentować tylko samych siebie, własną ciekawość stosunków i chęć informowania swoich czytelników, to zawsze najmniej kłopotliwe, a dla dziennikarza najwdzięczniejsze zadanie, z którem złączyć się może prawdziwie obiektywne, rzeczowe przedstawienie wszystkiego co się widziało i słyszało.

Sprawozdanie, które pójdzie za takim drogowskazem, powinno też odpowiedzieć zapatrywaniom na rolę prasy, słyszonym przez nas niejednokrotnie z ust przedstawicieli dziennikarstwa niemieckiego przez ciąg wycieczki. Nie obeszło się, jak łatwo pojąć, bez licznych przemów. Otóż wielokrotnie spotykaliśmy się z wyrzutami pod adresem prasy zagranicznej w krajach, prowadzących wojnę z Niemcami, a nawet i pod adresem pism neutralnych, że stawiają błędne przesłanki, wyciągają fałszywe wnioski i w ten sposób, zamiast dawać obraz prawdziwy, przeinaczają rzeczywistość w sposób tendencyjny. Przeciw takiej fabrykacji nastrojów nieraz i ostro występowali reprezentanci prasy niemieckiej. Te wysokie wymaga-

nia co do prawdómówności dziennikarskiej utwierdzić musiały każdego uczestnika wycieczki w przekonaniu, że swe wrażenia powinien przedstawiać obiektywnie, nie przerysowując tego co widział, ani in minus, ani też in plus, bo upiększanie rzeczywistości odchyła się od linii prawdy taksamo, jak jej obniżanie. To słuszne kryterium, jakie redaktorzy pism niemieckich mieli często na ustach, ułatwia tym razem zadanie sprawozdawcze, bo kto stosowałby do swych opisów te same retuszerskie praktyki, które spotykały się z potępieniem naszych gospodarzy, ten złożyłby dowód, że roli prasy nie pojmuje tak poważnie i tak zasadniczo, jak oni ją głoszą.

Temi paru słowy pragnęlibyśmy poprzeździć szereg obrazów, w jakich będziemy się starali ująć wrażenia, odniesione w dwutygodniowej z górą podróży po Niemczech, na froncie morskim Rzeszy i na jej froncie lądowym po stronie zachodniej. W ciągu tej wycieczki było nam danem zobaczyć wiele i niejedno usłyszeć. Stykaliśmy się z osobistościami politycznymi i obcowaliśmy ze sferą militarną. Oglądaliśmy życie w głębi Niemiec i na terenach przez nie od zachodu okupowanych. Wszędzie nasuwały się porównania z Niemcami w czasie pokoju, które każdy uczestnik znał mniej lub więcej dokładnie. Ciekawość i baczna uwaga nasza koncentrowała się tem ściślej na każdym obserwowanym punkcie, że mieliśmy przed oczyma życie i nastrój narodu, z którym — trzeba powtórzyć — sąsiedztwo geograficzne nas łączy i po ostatecznem wybudowaniu państwa polskiego dalej nas łączyć będzie. Ciekawem być musiało niejedno słowo, padające z tamtej strony o przyszłym stosunku Niemiec do Polski i Niemców do Polaków. A chociaż względy dyplomatyczno-polityczne nie sprzyjają, dzisiaj zwłaszcza, jasnym i otwartym na ten temat wynurzeniom, chociaż wszystko, co się w ta-

kich razach słyszy w prywatnej rozmowie, trzeba brać z wielką dozą krytycyzmu, to jednak z poszczególnych słów, zdań i epizodów towarzyskich tworzy się ostatecznie pewien obraz środowiska, tak jak z kamyzków powstaje mozaika.

Notatki, które pójdą za tym wstępem, będą miały ująć i szeregować wspomnienia, zebrane w ciągu tej niezwykle interesującej wycieczki. Idzie nam o uporządkowanie rzeczy widzianych i słyszanych tak, aby w wyobraźni widza powstał jakiś obraz ogólniejszy, na który złożą się opisy, refleksje z nich płynące, oraz wnioski, jakie już sam czytelnik będzie musiał wyciągnąć. Mam nadzieję, że pracy tej będzie towarzyszyła nie tylko uwaga czytelnika, ale przede wszystkim jego pobłażliwość, o którą prosić trzeba tak ze względu na obszar materiału, jak i na warunki wojenne, które na prasie ciężą. Dzisiaj czytelnik jest bardziej niż kiedykolwiek współpracownikiem piszącego. Jeżeli zechce podjąć ten trud i pomocy swej nie odmówi, to zapiski te osiągną niezawodnie swój cel, na wstępie wytknięty.

Goście i gospodarze.

Inicytywa. — Jak się to działo? — W Berlinie. — Grupami na front. — Do Wilhelmshaven. — Do Brukseli. — Nasi przewodnicy. — Z doliny Iez. — Fabryka śmierci. — Co robi dziś kultura?

I rzed przystąpieniem do szczegółowego pisu wycieczki na front zachodni Niemiec, trzeba naszkicować paru liniami mapę podróży, aby techniczne jej szczegóły nie przeszkadzały później momentom ogólniejszej i głębszej natury, o które przedewszystkiem iść musi.

Więc naprzód inicytywa. Wysła ona, jak nam zakomunikowano, ze stowarzyszenia dziennikarzy berlińskich „Verein Berliner Presse“ łącznie ze związkiem dziennikarzy niemieckich na całą Rzeszę: „Reichsverband der Deutschen Presse“. Uczestnicy w objeździe dziennikarze austriacy i węgierscy. Pierwszych zaprosiły do udziału wiedeńskie związki prasowe, w szczególności „Concordia“; drugich stowarzyszenia zawodowe budapeszteńskie. Polacy z Galicyi znaleźli się wśród uczestników dzięki pośrednictwu Towarzystwa Dziennikarzy Polskich we Lwowie, któremu zakomunikowano, że dla jego członków oraz dla dziennikarzy galicyjskich w ogóle, zarezerwowano cztery miejsca.

Pierwszy termin wyjazdu,znaczony na koniec października, uległ przesunięciu na

drugą połowę listopada. Czas trwania miał ograniczać się ośmiu dniami. Rychło jednak okazało się, że nastąpi przedłużenie i to o cały tydzień. Trzy pierwsze dni zajęł Berlin, gdzie zjechały się poszczególne grupy uczestników w niedzielę d. 18 listopada. Czas ten poświęcono w części na wzajemne zapoznanie się uczestników, w części na obrady zawodowe, o których przyjdzie obszerniej pomówić, gdyż treścią ich była chęć stworzenia związku, łączącego prasę niemiecką, austriacką i węgierską w jedną korporację. Myśl ta nie weszła w praktykę; toczyć się o nią będą dalsze *pourparlers*, gdyż przedstawiciele Wiednia zachowali się krytycznie wobec projektu i zastrzegli sobie — wśród bardzo ciekawej dyskusji — zajęcie stanowiska po przedłożeniu zarysów konkretnych, zaś reprezentanci dziennikarzy węgierskich zachowali jeszcze chłodniejszą rezerwę. Poza tem dni berlińskie poświęcono przedpołudniami zwiedzaniu osobliwości miasta pod kierunkiem dziennikarzy berlińskich, a przede wszystkim na przyjęcia oficjalne.

Zainaugurował je zaraz w niedzielę wielki bankiet, wydany przez prasę berlińską w hotelu Adlon, z udziałem wysokich osobistości świata politycznego, wśród których na pierwszym miejscu znaleźli się: sekretarz stanu spraw zagranicznych dr. Kuehlmann i ambasador austro-węgierski w Berlinie hr. Hohenlohe. Mowy tych dwóch polityków zainaugurowały długi szereg wynurzeń oficjalnych, które nie ustawały przez cały niemal ciąg podróży. Wycieczka była przyjętą nadto przez ambasadora Hohenlohego w pałacu ambasady, oraz przez kanclerza Rzeszy dra Hertlinga, który w pałacu kanclerskim, ongi Radziwiłłowskim, wygłosił do zebranych pierwszą swą mowę na nowym urzędzie.

Dokoła tych dwóch głównych momentów ugrupowały się inne przyjęcia: przez gminę

m. Berlina w ratuszu, rozmowy w „Deutsche Gesellschaft 1914“, oraz uroczyste posiedzenie „Verein Berliner Presse“ złączone z wieczorną pogawędką w salach „Rheingoldu“, olbrzymiej restauracji najnowszego i najzbytłkowniejszego Berlina.

We środę 21. listopada nastąpił wyjazd. Osobny pociąg, złożony z czterech wagonów sypialnych, oczekiwał na dworcu Lehrter Bahnhof. Uczestnicy zajęli w nim miejsca już podzieleni na cztery grupy, które w wojskowym właściwie ordynku rozpoczęły podróż. W Berlinie obowiązki gospodarzy i przewodników spoczywały na członkach redakcyj berlińskich, z dyrektorem Biura Wolffa, drem Mantlerem, na czele, przy współdziałaniu przewodniczącego „Verein Berliner Presse“ p. Ripplera oraz prezesa „Reichsverband der Deutschen Presse“, p. Maxa. Od zajęcia miejsca w osobnym pociągu, cztery grupy wycieczki znalazły się pod komendą oficerów, którym towarzyszyli urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych, ad hoc wydelegowani z oddziału prasowego. Oficerowie również zostali wybrani z biur, mających pośrednią lub bezpośrednią styczność ze służbą prasową. Grupa, do której należał piszący te słowa, obejmowała samych dziennikarzy austriackich oraz dwóch Polaków, prowadził ją kapitan strzelców p. Fiegen, Nadreńczyk rodem, przydzielony po długim pobycie na froncie do biur prasowych, innym grupom przewodniczyli: radca legacyjny rotmistrz von Basewitz, rotmistrz von Moerne, kapitan Emde. W Wilhelmshaven, głównym porcie wojennym floty niemieckiej, służyli za przewodników towarzyszący wycieczce już od Berlina kapitanowie: Boy-Ed oraz von Selchow, referent spraw prasy austro-węgierskiej przy głównym sztabie admiralicyi, do niedawna jeszcze dowódca piechoty marynarki w rowach strzeleckich pod Paschendaele, wreszcie kapitan Dombrowsky i in. Z ramienia ministerstwa

spraw zagranicznych uczestniczyli w wycieczce dwaj urzędnicy: p. dr Paweł Schwarz, były konsul w Erzerumie oraz p. Ottmar E. Strauss. Poza tem, na każdym miejscu, gdzie zatrzymywała się wycieczka, oficerowie ze służby lokalnej udzielali objaśnień, oprowadzali i wogóle „na swoim odcinku“ obejmowali do pewnego stopnia komendę.

Z Lehrter Bahnhof ruszył pociąg do Wilhelmshaven. Dwa dni pobytu tamże wypełniło oglądanie floty wojennej z łodziami podwodnymi, torpedowców, oraz stacyi hydroplanów. Cały dzień zajęła wycieczka na wyspę Helgoland na dwóch torpedowcach. — Z Wilhelmshaven, gdzie odbyło się między innymi przyjęcie uczestników przez admirała Scheera, dowódcę z pod Skagerraku, na okręcie flagowym „Baden“, jednym z największych statków niemieckich, ruszył pociąg wycieczkowy do Brukseli. Na zwiedzaniu miasta i przyjęciach urzędowych spędzono tam półtora dnia, poczem nastąpił ostateczny podział na cztery grupy, które ruszyły już osobno na cztery odcinki frontu lądowego, począwszy od wybrzeży koło Ostendy i Blankenberghe, aż na dół, do okolic Verdun.

Zajęło to poszczególnym grupom trzy do czterech dni, tak, że dopiero z końcem drugiego tygodnia zaczął się powrót do Brukseli, gdzie niektóre grupy miały sposobność znów zatrzymać się nieco dłużej, inne tylko od pociągu do pociągu. Złączenie się ostateczne nastąpiło dopiero przy samym końcu wycieczki, w wielkiej głównej kwaterze armii, gdzie uczestnicy zostali zbiorowo przyjęci przez generała feldmarszałka Hindenburga oraz przez pierwszego kwatermistrza, generała Ludendorffa. Stamtąd powrócono do Berlina, gdzie grupy się rozwiązały i rozpoczęły powrót do domu, według dowolnego już porządku.

Oto szkielec programu, wypełnionego po brzegi wrażeniami nowemi i zawsze intere-

sującemi, a przeprowadzonego tak ściśle, jak tylko pozwalały na to, na froncie samym, chwilowe warunki. Drobną przemianą jedna czy druga nie mąciła ogólnego zarysu, który co do organizacji stanowił wzór porządku i obmyślenia. Czas był wyzyskany w każdej niemal minucie. Każdy dzień był wypakowany szczelnie, jak kuferek porządnego turysty, a wycieczkę przesuwano z miejsca na miejsce z taką samą zegarkową dokładnością, jak grupy wojsk. Precyzja była zupełna, na każdym kroku wyczuwało się, że plan tej kampanii został opracowany szczegółowo, a nie bez troskliwej myśli o tem, co ma być przez uczestników wogóle widziane i słyszane, co ma wysunąć się na plan pierwszy oglądanych przez nich horyzontów militarnych i politycznych.

Oczom gości miały ukazać się dwa fronty walczących Niemiec: front wewnętrzny, na którym stoi ludność, pozostająca w domu, a prowadząca walkę nie krwawą, lecz niemniej wyczerpującą, niż żołnierz w rowie flandryjskim — oraz front zewnętrzny, który straszliwa dokładność niemieckiej machiny wojennej posunęła odrazu, jednym bezwzględnym gestem, za granice Rzeszy: na krwią obrońców zboczoną ziemię belgijską i na kośćmi usianą francuską dolinę lez. Mieliśmy przyjrzeć się zblizka temu najdoskonalszemu wytworowi siły przeboju, jakim jest niemiecka armia; mieliśmy odnieść wrażenie, iż siła przetrwania, wpojona narodowi pozafrontowemu przez władzę państwową nie osłabła i że przejawia się nadal w ślepym posłuchu dla nakazów z góry, w bezwzględnej uległości dla dyscypliny, która ujmuje człowieka cywilnego w karby taksamo żelazne, jak żołnierza — w poddawaniu się, bez jednego mruknięcia, wszystkim mękom ograniczeń i niedostatków, jakie nakłada wojna żołądkom niemieckim, przywykłym przecież wypełniać się do syta przez długie lata materyalnego rozkwitu.

Kto obserwuje społeczeństwo pod tak nie-
litościwą próbą obciążenia, a znał je daw-
niej, chociażby z przejazdów i z osobistych
stosunków towarzyskich, ten może porów-
nywać i nauczy się niejednego. A tę samą
sposobność mieliśmy na ziemiach okupowa-
nych: w Belgii, która kwitła spokojem
i pracowitym dostatkiem, zanim postarzała
się o te trzy dziesiątki lat, jakie przeżyła
w trzech dziesiątkach okupacyjnych miesię-
cy; we Francji, gdzie pas frontu jest pasem
zniszczenia, gdzie armaty zakreślają domo-
nością swych pocisków granice nowej Sa-
hary, państwa gruzów i nędzy, jakiej nie
przedstawi żaden język ludzki. Oglądaliśmy
niezmożoną niezem żywotność romańską
w Brukseli, błakaliśmy się z szeroko otwar-
tymi oczyma po gruzach Saullemines we
Francji północnej i próbowaliśmy dojrzeć
miejsca, na którym niegdyś, przed rokiem
1915, stało podobno Lens, ludne, bogate
miasto. Stąpaliśmy po pokładzie łodzi pod-
wodnej, która niedawno zatopiła dziesiątki
tysięcy tonn wytworów pracy ludzkiej i se-
tki pewnie ludzkich istnień; przyglądaliśmy
się okrutnej precyzyi, z jaką funkcyonuje
śmierć, utajona w największych armatach
fortyfikacyjnych. Dokoła nas była praca
wytężona do granic ludzkich możliwości, upo-
rządkowana, skierowana całym wysiłkiem
ku temu, aby móz, jak najwięcej zniszczyć,
unicestwić, zgładzić z powierzchni świata.

Taksamo i w tym samym celu pracuje się
dzisiaj w całej Europie, Ameryka przeobra-
ża się w taką samą fabrykę śmierci; niedłu-
go nie będzie może kąta na kuli ziemskiej,
gdzieby nie przemyślano nad najlepszym
sposobem mordowania. Ludzkość wynalazła
sobie zajęcie.

* * *

Tak wygląda kontur dwutygodniowej wę-
drówki po Zachodzie Europy, gdzie rodziła
się dzisiejsza kultura świata.

W wagonie i na stacyi.

(W drodze. — Paszport i wiza. — Bogumin. — Z dziedziny aprowizacyi. — W sali rewizyjnej. — Uśmiech z pod pikelhauby. — Niewidzialna ręka. — Sprężyna wojny. — Jak idzie życie. — Na dworcu berlińskim).

Koła stukały coraz wolniej. Ktoś krzyknął za drzwiami przedziału: „Berlin!“. — Przez zapocone szyby mignęła latarnia jedna i druga. Tak, dojeżdżamy, już szósta rano, dojeżdżamy. Rozziewane myśli porządkują się zwolna i ustawiają w szereg, jak żołnierze, zbudzeni trąbką alarmową. Zaczynamy przypominać sobie, jak to wszystko było w owym wyjeździe i przejeździe, który tak mało przypominał dobre czasy wojażerstwa wakacyjnego...

Na razie płacze się jeszcze wszystko jak w prawdziwym śnie: owe pięć czy wieleś tam fotografii, które musi złożyć w krakowskiej cesarsko-niemieckiej „Passtelle“ szanujący się obywatel, jeżeli chce dostąpić wjazdu do Niemiec; jeszcze przedtem wynurza się obraz biura paszportowego krakowskiego z cierpliwymi urzędnikami, którzy z za okienek, jak z za strzelnic okopowych, mężnie stawiają czoło szturmowi interesentów różnego wieku, płci, a zwłaszcza wyznania. Potem sunie jak we mgle dworzec przy ulicy Lubicz, brudny jakby go nie myto od czasów Wolnego Miasta, zdeptany błotem, które na butach żołnierskich wędru-

je do nas z Macedonii, Litwy, Włoch i Mezopotamii. Wreszcie słyszymy cichy chrzęst niby trzeszczących kości, czujemy w okolicy żeber podstępny ból — to wspomnienie, iż wsiadaliśmy do wagonu. A potem już nic: szara mgła, na której rysuje się po chwili wielkimi zgłoskami szyld czarnobiały: BOGUMIN. Trzeba wysiadać, do czekania na pociąg berliński i do rewizyi.

„Tragarz“ jest w Boguminie „tragarką“. Tak przynajmniej sądzićby można ze spółniczki i cienkiego głosiku. Natomiast napis na czapce: „Traeger“ wskazywałby na to, że kolei nie wiadomo, aby ten gatunek jej funkcjonaryusza rekrutował się z płci pięknej. Regulamin nie przewidywał braku mężczyzn; „quod non est in actis, non est in mundo“ — tragarka musi być dla aktów biurowych tragarzem. Zaś płeć piękna nie jest wcale słabą, bo dźwiga po trzy duże torby podróżne, z wdzięcznym uśmiechem, zastępującym owe sugestywne stękania tragarza-mężczyzny, które mają na celu apel do czułości pasażera i mówią: „jaki twój kufer ciężki! Zdałby się porządny napiwek!“.

Torby do garderoby, pasażerowie do poczekalni, gdzie kolacya musi stanowić wstęp do uroczystości paszportowo-rewizyjnej.

Kolacya... Nędznym byłby opis podróży, gdyby nie mieścił najdokładniejszego sprawozdania z faktów aprowizacyjnych. Więc poświęcamy kilkanaście koron, aby wzbogacić swe doświadczenie stwierdzeniem, ile wojennych porcyj pieczeni czy gulaszu trzeba spożyć, nim żołądek uzna je za równoważnik jednej porcyjki dawnej i nim dojdzie w sytości do status quo ante bellum. Sądząc po ilości dań jest to uczta Gargantuy; sądząc po zapłaconej sumie — uczta Vanderbilta; sądząc po wielkości porcyj — podwieczorek u Liliputów. Za napój służy wino rodzime, wytwór obszerniejszej

ojczyzny Galicyanina, „Voeslauer“ niezna-nej marki, lecz, wnoskując ze smaku, ów legendarny „Dreimaennerwein“, zawdzięcza-jącą nazwę temu, iż do picia go potrzeba podobno trzech ludzi: mianowicie jeden trzy- ma mocno drugiego, któremu trzeci wlewa napój do gardła. Usługuje trzech małoletnich ganimedów, którzy mówią do gości trzema różnymi językami, po niemiecku, czesku i polsku, a porozumiewają się między sobą czwartym, który wskazuje, że pochodzą z trzech różnych stron: z Chrzanowa, Tarno-pola i Kazimierza. Uwijają się wśród mundurów austriackich i pruskich skrzętni, śle-dząc napiwek orlim wzrokiem poprzez dym i zaduch kuchenny „dnia beztłuszczowego“.

Parę godzin upływa na funkeyi, której sale dworcowe zawdzięczają nazwę pocze-kalni. Potem peregrynacja do kasy po bile-ty sypialne, zamówione telegraficznie. „Je- stem ten a ten, depeszowałem o łóżko. Czy jest?“ „Naturalnie, że niema“ — brzmi od- powiedź. Dowiadujemy się, co w tem natu-ralnego? Rzecz bardzo prosta. Trzeba depe- szować tydzień naprzód i przysłać z góry pieniądze. Wówczas... może... Więc zadowal- niamy się zapłaceniem zwykłego biletu wraz z świeżo wprowadzonym „Zuschlagiem“, który tem się odznacza, iż kosztuje drożej, niż sam bilet. Wojna.

Nakoniec otwierają się drzwi do sali re- wizyjnej. „Wszelkie pisma, druki itd. poka- zywać bez zażądania“. Tak opiewa napis na ścianie, pod którą stoi duża pikelhauba z dużemi okularami u spodu. Badanie pa- szportów jest czynnością skomplikowaną. Ogląda nas dwóch wojskowych w czapkach z bączkami i odbiera dwa podpisy w dwóch różnych książkach. Tę samą funkcję speł- niają dwie postaci w hełmach niemieckich przy drugim biurku, ustawionem u wy- ścia na peron. Tutaj sięgnęła już ręka nie- mieckiej organizacyi. Wiadomo tu o nas, o naszej wycieczce. Zostaliśmy „poleceni“ z

Berlina w drodze t. zw. „Grenzempfehlung“. Uprzejmość, uśmiechy wcale ciepłe. Dopiero ostatni zamarza na ustach podoficera na widok jednego z naszych paszportów.

— Pan nie pojedzie.

— Czemu?

— Na wizie konsularnej jest data wjazdu do Niemiec: 18. listopada. A dziś jest siedemnasty.

— Ależ to omyłka. Jutro muszę być w Berlinie przedpołudniem!

— Załuję. Ośmnasty będzie za trzy godziny, po dwunastej w nocy. Teraz dziewiąta. Pojedzie pan następnym pociągiem.

Zaczynają się pertraktacje, równie krótkie, jak daremne. Pacjent decyduje się czekać do trzeciej nad ranem, przyjedzie razem z Węgrami, którzy spieszą właśnie przez Koszyce. Ośmnasty będzie dopiero za trzy godziny, niema rady. Organizacya. „Do widzenia w Berlinie!“ Do widzenia.

W pociągu, pustym prawie zupełnie, konduktor przyjmuje bilety. Konduktor? Czapka urzędowa, bluzka podobnie, szerokie spodnie formy knicker-bockers, ale zamiast barytonu — sopran. Ten surogat wojenny mężczyzny zbliża się do oryginału przynajmniej opakowaniem. Funkcye pełni te same, bo w istocie nie wiadomo, czemu panował dotychczas przesąd, że do przedziurkowania biletu szczypcami trzeba być mężczyzną? Po tej formalności można już się rozgościć w dobrym, bardzo dobrym wagonie, który utrzymuje w wojnie pokojowe tradycje czystości i porządku. Nic tu się nie zmieniło. Klamki błyszczą, poduszki bez pyłu. Maszyna, która weszła raz w ruch, nie ustaje. Nazwisko jej znamy, mamy go pełne uszy od lat trzech, nazywa się: organizacya.

Dostaliśmy się już w tryby tego mechanizmu, który porusza Niemcy bojujące. Szyby wagonu czyści ta sama olbrzymia, niewidzialna ręka, która zdobywa Antwerpę i Udine. Niech świat się wali tam, na froncie,

w Europie i w Afryce — ci, którym nakazano ginąć, będą ginęli, ci, którym nakazano zamiatać wagony, będą zamiatali je tak, jak gdyby świat był młodszy o lat cztery jęku i grozy. Ginąć czy zamiatać — to ich zajęcie. O inne troszczy się za to kto inny: jeden o kartkę chlebową, drugi o plan kampanii, trzeci o to, aby naprawdę było „Deutschland ueber Alles in der Welt!“ Jest to organizacya wojskowa, duszą jej posłuszeństwo. Zakwitł nią, jak różdżka Aarona, kij kaprański, którym wytresował Prusy Fryderyk II., a który Prusy puściły w ruch po Niemczech, wzięwszy rozmach w Wersalu, przed laty czterdziestu siedmiu, na koronacyi króla pruskiego cesarzem niemieckim. Mówiło się, że bitwę pod Sadową wygrał pruski nauczyciel ludowy. Życie wojenne Niemiec wewnątrz kraju prowadzi feldfebel pruski — i prowadzi dobrze. Życie maszeruje w tempie, nawet wyrzuca nogi dość wysoko, a na każde zawołanie wyciąga się z rękami wzdłuż szwów i salutuje. Widzimy je, jak brnie po błotnistej szosie, w hełmie stalowym, z karabinem w pięści, z krótkim „Armeedolch“ u boku. Idzie bez wytchnienia i kłapie ciężkimi butami: raz — dwa! raz — dwa! *St ill g e s t a n d e n ! R ü h r t — e u c h ! ! !*

Obraz pierzechnął. To nie komenda, lecz łomot hamulców, który nagle płoszy sny podróżnego. Jakaś stacya przedberlińska... „Berlin! Berlin!“ Pociąg zwalnia coraz widoczniej. Przed oknami suną długie, czarne szeregi pospanych domów, wyloty ulic, na zwilgotniałym bruku kładzie się długie pasmo światła od samotnej lampy łukowej. To ociemnienie, to pierwszy ślad wojny. Nie ma nad tem morzem domów takiej luny, jak ongi. Węgiel ograniczony, trzeba — jak brzmi zwrot popularny — „wyciągać się tylko tak, jak starezy kołdry“. Na dworcach miejskich, które mijamy powoli, kulą się przyziębłe gromadki w półmroku paru latar-

ni. Ktoś rozwinął gazetę i połyka biuletyn. Na ławce jakaś kobieta wsparła się o tobół i czeka na pociąg cierpliwie, jak gdyby na tem mokrem zimnie uosabiała jeden atom „idei przetrzymania“.

„Friedrichstrasse!“ Wysiadać. Przy schodach żołnierz. Dziwimy się, po co? Ile razy wchodziliśmy na ten peron, zawsze zdawało się nam, że za plecami mamy podoficera, który komenderuje napisami tablic: „Iść w prawo! Bilety przygotować! Baczność, schody! Poczta po drugiej stronie! Adresu nie zapomnieć! Markę przylepić!“ Teraz ten żołnierz ucieleśnił się. Oto wszystko.

Wychodzimy przed dworzec. Tutaj już zmiana wielka. Dawniej rzędy samochodów sięgały aż po hotel Centralny, setka dorożek oczekiwała usłużnie na placu zalanym elektrycznością. Dzisiaj parę cylindrów ceratowych pobłyskuje w półmroku latarni — to dorożki; dwa czy trzy automobile za niemi. Przez wpółciemne ulice suniemy cicho parę minut. Oto „Unter den Linden“, Pariser Platz, hotel Adlon. Nasz pierwszy etap skończony. Jesteśmy w Berlinie.

W Berlinie.

(Dziś a wczoraj. — U pani Beroliny. — Dwa bloki. — Pierwsze śniadanie. — W kawiarni i automacie. — Wietrzyk z nad Dunaju. — Bez benzyny. — Owoc zakazany. — Cud nad cudami. — Ceny i kartki. — Wojna na odpadki. — Ład od góry).

O jedenastej przed południem ruch na rogu Friedrichstrasse i Leipzigerstrasse usprawiedliwił był przed wojną po części aspiracye Berlina do tytułu „Weltstadt“. Od strony Unter den Linden toczyła się zwarta masa tłumu, który oglądał po obu stronach ulicy naprzemian futra po trzydzieści tysięcy marek i witryny, w których „każdy przedmiot kosztuje dwie marki“ — bo zbytek spotyka się nos w nos z tandetą w szeregu tych magazynów, obliczonych na najwyższe dziesięć tysięcy albo na najniższe pół miliona. — Chwilami masa ta gęstniała prawie niebezpiecznie. Stawało się u progu halucynacyi, że ludzie zamiast zbijać się w gromadę na chodniku, zaczęła lada chwila chodzić nad sobą warstwami po powietrzu. Omnibusy, samochody i tramwaje potraçały się łokciami, dudniła glucho pod spodem kolej podziemna, brakowało tylko aeroplanów. Wieczorem ulice były jedną rzeką światła, do której wpadał z każdej przecznicy mniejszy dopływ. A na każdym domu mrugała przynajmniej jedna świetlna reklama, potwór o dziesięciu o-

czach, które przymrużają się i otwierają z przekłątą dokładnością maszyny. Któż z nas nie składał palców na krzyż, że nigdy nie kupi papierosów „Manoli“, za to, że go prześladują na dachach berlińskich?

Piękne jest podobno „Märkisches Museum“, które wstawiono w program zwiedzania osobliwości miasta. Niektórzy z nas uznali jednak, że muzea przetrwają wojnę, lecz wojna siebie nie przetrwa, więc lepiej rzucić się w pław przez rzekę ludzką, wylądować w kawiarni, przestudyować wystawy sklepowe, obejrzyć policyanta berlińskiego, czy zawsze taksamo godny, jak był, jednym słowem lepiej pokłonić się pani Berolinie i nacocznie zbadać, czy jej zażywno ciało wypełnia tak jak dawniej ów świetny pancerz kirasyera gwardyj, lśniący złotem z francuskich jeszcze kontrybucyjnych miliardów.

I tak się stało, że szczególnie uwzględnieniem, naturalnie, kwestyi aprowizacyjnej. Bo wojna zmieniła Europę w jedno plotkarskie miasteczko. Państwo zagląda państwu do garnków, niby pani aptekarzowa, która indaguje służącą pani poczmistrzyni, co też dzisiaj na obiad? Świat rozpadł się na dwie walczące grupy: blok sytych i blok głodnych. „Powiedz mi, co jadasz, powiem ci z kim trzymasz“. Nasi węgierscy koledzy po piórze mieli co do stosunków w centrum państw centralnych zdanie tak wyrobione, iż podobno szedł za nimi wagon słoniny paprykowanej, chleba i cukru, a i z nas nie jeden tulił na dnie torby, między frakiem a lornetką, jaki taki kasek wędliny. Głównym tematem rozmów w wagonie były przysze jadłospisy, dyskutowane z pewnym niepokojem, póki jakiś znawca stosunków nie objaśnił krótko:

— Panowie staną w hotelu „Adlon“? Dostaniecie wszystkiego, tylko za szalone pieniądze...

Mówił z wielką pewnością. Myśleliśmy, iż musi wiedzieć, bo wyglądał trochę na han-

dlarza łańcuszkowego. Więc pierwsze słowo, jakie wypowiedzieliśmy po zainstalowaniu się w błyszczącym i przeładowanym apartamencie „Adlonu“, brzmiało z całą ufnością: „Śniadanie!“ Stoliku, nakryj się!

I wówczas w mahoniowe drzwi pokoju wtoczył się stół, lśniący od zastawy. Na śnieżnym obrusie buchał parą dzbanuszek z wrzątkiem i czajnik z herbatą. Zaś obok tych naczyń stał pusty talerz.

— Proszę chleba.

— Mają panowie markę chlebową? Nie? Żałuję, bez marki nie wydajemy.

Początek mało zachęcający. Idźmy dalej.

— To trochę mięsa zimnego?

— A marka mięsna?

Tej także nie widzieliśmy na oczy. Może choć sera?

— Sera niema.

— Więc czegoż dostaniemy?

Okazało się, że wczoraj był jeszcze węgorz wędzony, więc nie trzeba tracić nadziei. Ale herbata jest niesłodzona.

— Cukru? Skądżeby? — odpowiedział służący tonem prawie obrażonym, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie lubi, aby zeń żartowano. — Mogę przynieść marmelady. To słodkie.

I śniadanie odbyło się tak: kąsek wędzonego węgorza do ust, następnie prędko łyżeczkę marmelady, aby osłodzić łyk herbaty. Mogło to wyglądać trochę oryginalnie, ale głód nie sprzyja refleksjom — a zresztą kto zwiedzał dłużej Niemcy północne, musiał natknąć się choć raz na zimne śledzie z gorącą jajecznicą, że zaś bywało to w czasach pokojowego dosytu, więc węgorz z marmeladą nie zaskoczył nas podczas wojny. Pokazało się zresztą w dniach następnych, że od każdej surowej reguły znajdzie się czasem dobrotliwy wyjątek. Ale pierwsze wrażenie było poważne, zwłaszcza, że służący miał minę bardzo urzędową. Z każdej fałdy wygolonego podbródka wyglądała mu, jak gdy-

by duma: patrzcie, my umiemy przetrwać! Widzicie sami, że tu niema żartów!

Pamiętni tego, wkraczaliśmy dość trwożliwie do kawiarni Bauera przy „Unter den Linden“, niepewni, co nas czeka. „Kawy, czy herbaty?“ Otrzymaawszy jedno i drugie zauważyliśmy, że usługująca Hebe śledzi bacznie każdy nasz ruch. „Może panowie chcą osledzić? Oto „Süsstoff“. W karafeczce mieścił się jakiś mętny płyn, prawdopodobnie rozpuszczona sacharyna, a za chwilę przekonaliśmy się, że dotanie go do herbaty wyklucza jej spożycie. Próbowaliśmy ratować się ciastkiem. Miało dziwnie różowy krem, który sterczał na cieście, o kolorze i smaku betonu. Następnie zapłaciliśmy bardzo niewiele za to, żeśmy nic nie zjedli i na tem skończyło się pierwsze interwiew z aprowizacją berlińską.

Drugie — aby skończyć szybko z tym odcinkiem frontu — odbył się u Aschingera. „Aschinger's Bierquelle“! Tam otwierał się niegdyś zdumionemu oku szeroki horyzont kiełbasek z sałatą kartoflaną, spichlerz przekąsek obfitych, choć wulgarnych i ocean piwa, przelewający się przez wybrzeże koszyków, napełnionych chlebem a discretion. Ceny — popularne. Przejeść tam całą markę było prawie tak trudno, jak znaleźć wygodne miejsce w tłoku. A dzisiaj... Rzućmy zasłonę na ten smętek ogonków śledziowych z kartoflami i skrzydełek gęsich po parę marek sztuka, a już odwróćmy się ze drżeniem od produktu, który nazywa się kiełbasą, kosztuje bodaj że dwie marki, czy półtorej, a chociaż sprzedaje się bez kartki mięsnej, to jednak w niczem nie przełamuje surowości kartkowych przepisów. W niczem. Przyzna każdy, kto kosztował.

Epilog rozegrał się w bufecie automatycznym. Przemilczymy go. Dawna sytość ulicy berlińskiej należy do przeszłości, bodaj że nie rychło powrotnej. W stolicy Niemiec można było dawniej za średnią sumkę sma-

koszować, za drobnostkę — wypełnić się poważnie. Dzisiaj, jeśli Berlińczykowi śniło się, że jadł obiad w średniej restauracji, to dowie się ze sennika egipskiego, iż sen taki znaczy: „wydać ośm marek, wstać z dobrym apetytem“.

A kuchnie domowe? nie mieliśmy okazji do nich zajrzeć. Zapewniano nas, że wszelkie racje kartkowe dostają się do rąk spożywców jak najskrupulatniej, w czym z Galicyą zasadnicza różnica, jak sprawdziliśmy na własnych żołądkach. Szczupło, bo szczupło, ale głodu niema — słyszeliśmy ze wszystkich stron. Gdziekolwiek sprzedaje się pewne ulubione lub tanie gatunki, bo zresztą na każdym rogu dostanie tytoniu i papierosów wbród, szczególnie austriackich, a to w liczbie i jakości takiej, o jakiej zapomnieliśmy dawno w obrębie słupów czarno-żółtych. Z wystaw witały nas wszędzie „Dames“, „Memfisy“ i „Egipskie“. Jakże było oprzeć się chęćce przypomnienia sobie obszerniejszej ojczyzny za ośm fenygów od sztuki? Przecież byliśmy uświadomieni, iż eksport papierosów austriackich za granicę ma ważne cele finansowe: poprawę waluty. Aby więc spełnić patriotyczny obowiązek, musieliśmy sprzedać tanio korony, kupić za nie drogo marki pruskie i wydać je na tanie papierosy austriackie. Nie wątpimy, że taką manipulacją kurs koron poprawił się wydatnie.

* * *

Pierwszą zmianę, jaka zaszła na ulicach Berlina odczuwa się powonieniem. Znikł zapach benzyny, którym przesycały powietrze tysiące samochodów i setki autobusów. Gdzie one dzisiaj? Jedne kursują między Ostendą a Gandawą, drugie krążą może po Palestynie? Dzisiaj, gdy zabrzmi trąbka, można być prawie pewnym, że ujrzymy wehikuł pomalowany na szaro, z czapką wojskową za szybami. Zostało się jeszcze z tej

emigracyi trochę przeżytków, ale dawny splendor ruchu ulicznego w Berlinie rozwiązany. Sądząc na oko, przeredziło się też na chodnikach, chociaż hotele przepelnione i przyjezdni zastępują po trosze tubylców, którzy rozproszyli się po świecie, zasiedli w rowach, albo już się w nie pokładli... Mundurów niewiele, mężczyzn cywilnych stosunkowo mało. Wiezorami przez Friedrichstrasse nie płynie już Amazonka ludzka, ale co najwyżej Łaba. Koniec przedstawienia w teatrze Metropol da się wyraźnie zauważyć po wzmożonym ruchu. W kawiarniach częste łysiny pustych stolików, w teatrach podobno pełno, tak jak w Krakowie, Brukseli, Paryżu i Tarnowie. Wszędzie ucieka się przed rzeczywistością i wszędzie taksamo łączywie do niej się powraca przez polykanie dzienników, które w Berlinie muszą mieć dziś taki sam popyt, jak dawniej przekąski u Aschingera: przegryza się biuletyn i pija mową p. Tirpitz'a lub artykułem wstępnym. Pod tym względem ludność przekarmia się dzisiaj wszędzie i z fatalnym często rezultatem. Ile razy w ciągu naszej wycieczki mieliśmy sposobność stwierdzić, że ludzie skądinąd inteligentni myślą w pewnych sprawach za pomocą najbardziej zbitych klisz gazeciarskiej sugestyi?!

Pod jednym względem czytelnik niemiecki jest lepiej sytuowany od Przedlitawczyka. Mianowicie dochodzą go dzienniki z drugiej strony frontu, których w Austrii niema. „Times“, „Le Journal“, „Daily Mail“, „Corriere della Sera“, „Figaro“, „Le Temps“ — wszystko to sprzedaje się publicznie i jawnie. A jednak uczestnicy naszej wycieczki mogli sprawdzić, iż państwo niemieckie nie zawaliło się, zaś obywatele nie zrobili rewolucyi, mimo, że nie traktuje się ich jak pięcioletnich bębnow, którym nie wolno dawać zapalek do ręki, bo podpalą dom.

Kupowaliśmy te pisma. Czyniliśmy to po cichu, niemal ze wstydem; obawialiśmy się,

że dziennikarz berliński, widząc nasz pośpiech, spyta z dyskretnym uśmieszkiem, czy nam naprawdę tego oglądać nie wolno? Bo on sam od początku wojny czyta najspokojniej artykuły p. Clemenceau o niewzruszalnym froncie francuskim, a jednak pisze sam, że front niemiecki jest niewzruszalny. Więc kryliśmy naszą uciechę z „Tempsa” lub „Timesów“, w obawie, aby w jakim piśmie berlińskim nie ukazał się felietonik o naiwnych ostrożnościach w sąsiedztwie. Potem zaś chwytałyśmy ów owoc zakazany, czytając z drżeniem serca, jak panienki, które dorwały się zakazanych książek i oglądają się, czy nie widać gdzie cioci w wielkich okularach na nosie.

Czytaliśmy i — o dziwo — nie czujemy, aby nam przybyło kwalifikacyj przed kratki i za kraty. Jesteśmy z powrotem. Każdy ma już na sumieniu po kilka artykułów, w w których nie znalazły nie zdrożnego ani Wysokie C. K., ani Wysokie C. i K. Władze. Przepuszczono nas przez granicę z powrotem, nie zauważywszy w naszym wyglądzie żadnej zmiany karygodnej — a nie stroiliśmy min okolicznościowych, będąc nadto zmęczeni. Tam zaś, w Berlinie, mieliśmy owe niebezpieczne dzienniki w kawiarni, obok nas pepijał kawę ktoś w błyszczącej piket-haubie — i państwo niemieckie stoi, jak stało. To ostatnie może wydać się komuś dziwnem, ale wojna tyle już cudów przyniosła!

* * *

Obciążony w ten sposób swe sumienie rzuciliśmy jeszcze okiem na wystawy sklepowe. Nie można wrócić bez „cen“, które są obok aprowizacyi najważniejszym tematem rozmowy. Otóż ceny berlińskie, mówiąc sumarycznie, dosięgają czasem wysokości alpejskiej, lecz daleko im jeszcze do wiedeńskich i krakowskich Himalai. Majątku nie robi się tam na jednej chustce do nosa lub na jednym szaliku. Trzeba sprzedać kilka.

Słowem, rozboju publicznego nie widać, rzeźnię mieszkań odbywa się w granicach delikatności. Niektóre wyroby wprost tanie: sztuczny jedwab — którego nie sprzedaje się za naturalny, o dziwo! — dalej skórzane torebki, portmonetki itd., galanterya, przedmioty ze stali, kapelusze damskie, a nawet męskie (w lepszych gatunkach). Ubrania i bielizna podpadają pod surowość kartki. Kto odda dwie pary butów, dostanie kartkę na jedną parę; kto odda mundur wojskowy, dostanie kartkę na ubranie cywilne. Przybysze cywilni mundurów nie mają, dwóch par butów tem mniej, więc oglądali te produkty z beznadziejną tęsknotą. Bez kartki dostanie się np. jeden kołnierzyk, lecz koszula jest niedostępna. Wogóle okartkowanie postąpiło tak dalece, że zagraża zapasom papieru. Właśnie wydano rozporządzenie, że kartki na mięso i chleb dla podróżnych będą zmniejszone. Wydaje się ich mniej więcej 40 milionów miesięcznie, więc przy drobnem ograniczeniu zadrukowane powierzchnie osiągnie się w jednym miesiącu oszczędność czterech i pół miliona metrów kwadratowych papieru. Przybędzie miejsca dziennikom. Może i kartki będzie się wydawało za kartkami?

Oszczędność i systematyczność Niemiecka święci tryumfy użytkowaniem nieużytków. Na ulicach co krok odezwę, aby zbierać to, owo lub tamto i składać do „Sammelstelle“: kości, pestki z owoców, stare gazety — o szmatach nawet mówić nie trzeba, tak są drogocenne. W tej wojnie na odpadki tryumfuje duch niemieckiej gospodyni, która jedna w całym świecie umiała zrobić z jednego kawałka mięsa rosół i pieczeń zarazem, a teraz nauczyła się piec bez tłuszczu, w cudownej tutece papierowej, która ma własność zastępowania masła. „Koche ohne Fett!“ We wszystkich wielkich przedsiębiorstwach gospodnio-szynkarskich powstawiało maszyny, które wydobywają tłuszcz z po-

myi. Zapewniano nas, że używa się go tylko na smary do maszyn. „Scentralizowanie“ sięga swym rygorem w dziedzinie fantazyi. Na Behenstrasse widnieje na bramie szylt: „Ueberwachungsstelle fuer Seemuschel“. Muszle są pod nadzorem!

* * *

Ręka państwa spoczęła wszędzie i na wszystkim. W Niemczech czuło się ją zawsze, niemal widziało się jej żelazną rękawicę. Dzisiaj ten ład od góry ujął w karby wszystko — wszystko idzie od państwa, przez państwo, dla państwa. Nie każda organizacya psychiczna będzie czuć się dobrze w takim środowisku, lecz uznać ją trzeba, jak każdy twór wykształcony prawidłowo i jak każdy problem rozwiązany do ostatnich konsekwencyj. Niemiec szybuje w tej atmosferze koszar, niby w swym żywiole przyrodzonym. Wiemy, że każdy człowiek dźwiga na sobie niesłychane ciśnienie atmosfery, nie czując nawet, iż ugniatają go przerażające cyfry kilogramów na każdym centymetrze ciała. Tak przyzwyczał się obywatel państwa pobismarkowskiego do ciśnienia swej władzy na każdy cal kwadratowy życia prywatnego. Ale gdy kto przychodzi z innej politycznej planety? Gdy np. żywi utopię, iż państwo jest dla obywatela, nie obywatel dla państwa?

Nie rozwiązywaliśmy tego zagadnienia do końca. W powrocie do hotelu nie było na to czasu. Ale nie ustępuje ono z myśli przez cały czas pobytu na niemieckim terenie wszechwładzy państwowej. Wpycha się ciągle na warsztat myśli i wróci jeszcze w tych zapiskach.

Dziennikarze między sobą.

Obrady w „Rheingoldzie“. — Centralizacya centralnych. — P. Bernhard i p. Max. — Odpowiedź Wiednia i Pesztu. — Mowa, której nie było. — „Mitteleuropa“ i kultura. — Po zgonie nienawieści. — Przyszłość.

W „sali hebanowej“ restauracji „Rheingold“, która jest największym zakładem masowego karmienia w Niemczech, dowiedzieliśmy się po raz pierwszy, że celem przyjazdu austro-węgierskich dziennikarzy do Berlina nie był tylko sam przyjazd, jak to normalnie bywa z każdym kongresem, i że pozostać miał po tej wizycie ślad trwalszy, niż echa banalnych mów i dym spalonych cygar. Odbyło się tam uroczyste posiedzenie „Verein Berliner Presse“. Przy długich stołach zasiedli koryfeusze dziennikarstwa stołecznego, oficerowie ze służby prasowej, którzy mieli towarzyszyć naszej wycieczce nad morze i na front lądowy, zaproszeni „przedstawiciele literatury“ i politycy. A obok miejsca prezydyalnego, które zajął p. Rippler, przewodniczący wymienionej korporacji, usadowił się p. Georg Bernhard, redaktor polityczny „Vossische Zeitung“, którego artykuły tylekroć cytowała prasa polska, a który w ostatnim zwłaszcza czasie szczególną dla kwestyi polskiej objawiał troskliwość, reprezentując z dużą dozą stylistyki opinię, iż Niemcy nie powinny dotykać zagadnienia polskiego inaczej, jak w porozumieniu z Rosyą, gdyż porozumienie to

jest dla nich najważniejszą kwestyą przyszłości.

P. Bernhard został wyznaczony na referenta sprawy, która spowodowała owo uroczyste posiedzenie. Średniego wzrostu, szczupły, odcinał się od ciemnego tła wyraziście semickim profilem. Mówił z werwą, gładkim tokiem artykułu wstępnego. Argumentował delikatnie, kładąc jednak akcenty pewne i niedopuszczające repliki, jak przystało na politycznego m'as-tu-lu, który wie o swej poczytności i jest świadom, że dość mu dmuchnąć z pewnem wyteżeniem płuc, aby przeciętna chorągiewka czytelnicza Berlina obróciła się w żadaną stronę.

Kongresy międzynarodowe prasy — mówił — przeżyły się. My, Niemcy, nie czuliśmy się nigdy dobrze w ich środowisku. Widzieliśmy, że stanowimy żywioł obcy, nie zbyt miłe witany. Nie mogliśmy przemawiać swoim językiem, obradowano bowiem po francusku. To też mieliśmy zawsze wątpliwości, czy międzynarodowe stosunki między dziennikarzami dadzą się utrzymać i rozszerzyć? Dzisiaj jesteśmy pewni, że to będzie niemożliwe. Wojna wykopała przepaści między prasą stron obu. Miejsce gładkich frazesów, jakie padały na zjazdach, zajęła wypływająca z głębi nienawiść narodowa i polityczna. Prasa strony przeciwnej zaatakowała Niemcy z impetem, którego ślady się nie zgubią, bo niejedna zatruta strzała utkwiała w nas głęboko. Niech nikt nie sądzi, iż stosunki wrócą z zawarciem pokoju do dawnych norm. Jakżebyśmy mogli wyobrazić sobie wśród nas, w naszym kole, może przy naszym stole tychsamyh ludzi, którzy dzisiaj sypią w nas codziennie gradem pocisków, którzy Niemcom odmawiają prawa należenia do społeczności ludzkiej, a przez tysiące zmyśleń urabiają o nas w świecie opinię fałszywą? Te węzły przysły raz na zawsze. Rozciął je miecz, któremu pomaga pióro.

Ale — ciągnął dalej — zacieśnił się za to związek inny. Oto widzimy wśród nas reprezentantów prasowych tego państwa, które dzieli z nami losy walk. W tem kole, aczkolwiek nie wszyscy do jednej należymy narodowości — tu skłonił się lekko w stronę Węgrów, tak przynajmniej się wydawało — wszyscy jednym możemy porozumieć się językiem. A przede wszystkim reprezentujemy łączność polityczną, waleczymy w jednej sprawie i z jednaką rycerskością, jednakiej używamy broni. Jakież stąd wnioski i czy nie narzuca się on sam z siebie? Czy nie powinniśmy złączyć się ściślej, niż dotychczas? Czy prasa państw centralnych nie powinna jakimś aktem widomym przypieczętować tego przymierza, jakie ze sobą faktycznie już zawarła przez braterstwo oręża? Nie stawiam żadnych konkretnych propozycji, nie występuję z żadnym projektem. Pragnąłbym tylko, abyśmy zamienili o tej myśli opinie, bo nierychło powtórzy się sposobność tak szczęśliwa, jak ta, której zawdzięczamy obecność pośród siebie reprezentantów prasy austriackiej i dziennikarstwa węgierskiego...

Od jednego ze stołów sąsiednich podniósł swą wysoką postać p. Max, prezydent Związku prasowego dziennikarzy na Rzeszę niemiecką. Przemowa jego odbiegła od tonu, w jaki uderzył dyplomatyczny jego przedmówca. Jeżeli p. Bernhard bronił swej opinii, to p. Max atakował przeciwników swojej. Jeżeli pierwszy przekonywał, to drugi nie dopuszczał sprzeciwu. Mowa p. Bernharda była propozycją, mowa p. Maxa nakazem. Od artykułu wstępnego przeszliśmy w tym *journal parle* do polemiki i to soczystej. Streszczenie jej takby mniejwięcej wypadło:

Przeżyły się, jak słusznie mój przedmówca udowodnił, międzynarodowe stosunki prasy między sobą. Zerwał je zuchwały atak prasy zagranicznej na Niemcy, na ich cywi-

lizację, na ich dobrą sławę. Tego, co lało się strugami na nasz naród z piśm strony przeciwniej, nie z naszej pamięci nie wymaże. To też nie możemy po wojnie nie mieć wspólnego z tymi rabusiami naszej dobrej sławy, z tymi potwarcami naszej niewinności kulturalnej — z Aszantami, Zulusami, Dahomejczykami i ich sprzymierzeńcami Francuzami i Anglikami! Łączyć się mogą między sobą tylko ludzie cywilizowani! My niemi jesteśmy. Powinniśmy wejść ze sobą w ścisły związek. Proponuję, aby wybrano wydział wykonawczy, któryby rzecz ułożył i przedstawił w krótkim czasie projekty konkretne. Oto co miałem do powiedzenia.

Tak mniej więcej mówił p. Max, prezes Związku prasowego. Trudno streścić dokładnie przemowę tak przelewającą się od treści, zwłaszcza gdy czyni się to z pamięci. Piszący te notatki może ręczyć jedynie za dosłowność zwrotu o Aszantach, Francuzach i Anglikach, gdyż to subtelne wyrażenie utkwilo mu dobrze w myśli. Co do reszty, musi prosić zarówno p. Bernharda jak p. Maxa z góry o przebaczenie, jeżeli swem skromnem piórem zniekształcił formę, lub nazbyt przykrócił bogactwo ich wywodów. Myśl pozostała, a to przecież najważniejsza.

Ale ta myśl właśnie nie znalazła wśród zebranych echa tak jednomyślnego, jak oczekiwali pewnie berlińscy protagoniści związku prasy „centralnej“. Wprawdzie ktoś ze skromniejszych co do reprezentacji uczestników przedlitawskich wyraził entuzjastyczny akces do wieczystego rozdziału między Europą środkową, a wpół dzikiem Zachodem tejże części świata, lecz wyższy rangą przedstawiciel prasy niemieckiej w Austrii, p. Ehrlich z Wiednia, zastosował do „lex Bernhard-Max“ metodę odwlekającą. Z dużem ciepłem zgodził się na niejeden argument szanownych przedmówców, lecz w delikatnym zwrocie radził kwestyi nie traktować na gorąco, gdyż nie nie

nagli tak dalece... wyraził powątpiewanie, czy stosunki międzynarodowe prasy kiedyś się nie nawiążą... i dodał nawet, że „wielkimi frazesami nie oddaje się usług tej sprawie“ — przyczem ukłonił się z rewerencyą w stronę pogromcy Aszantów.

— Wiedeńczycy — szepnął ktoś koło mnie — zawsze byli „zachodnikami“ (Westler). Nieboszczyk Wilhelm Singer popierał międzynarodowe zjazdy dziennikarskie... To zaraźliwe.

I przekonaliśmy się, że tak jest. Imieniem Węgrów zabrał głos p. Marcus, aby złożyć krótkie oświadczenie, które opiewało mniej więcej tak:

Projekt słyszeliśmy. Przyjmujemy go a d referendum dla kolegów naszych na Węgrzech; w stosownym czasie zastrzegamy sobie zajęcie stanowiska.

Słowa padały mu z ust jak soplek lodu. Paru dziennikarzy berlińskich już tylko dodatkowo wyraziło nadzieję, iż ze stosunkami międzynarodowymi nie będzie może po wojnie tak źle, jak dzisiajby się wydawało. O komitecie wykonawczym nikt więcej nie wspomniał, projekt „związku prasy cywilizowanej“ utonął w turkocie krzesel, które odsuwano szybko wobec dawno minionej godziny wieczery.

Zastawiono ją w innej, równie olbrzymiej sali „Rheingoldu“, gdzie przy „jednolitem piwie („Einheitsbier“), budzącem smętne refleksye na temat wojennego browarnictwa, toczyły się pogawędki urozmaicane produkcjami zakładu „Bufa“, tj. puszczeniem na ekram filmów wojennych, zdjętych przez „Bild- und Film-Anstalt“, urzędową instytucję propagandy obrazami świetlnymi. Kto wie, czy ów projekt braterstwa dziennikarskiego nie wypłynąłby jeszcze był na flukta oceanu, którego Neptunem jest Gambrinus; wspomniano nawet o koniecznym „porozumieniu się w kwestyach zawodowych“, lecz przedstawiciel Węgrów

przyjął tę zachętę z celową może dosłownością i przedstawił obszernie historię najnowszych podwyżek, uzyskanych przez dziennikarzy w Budapeszcie od swych nakładców. W tym równie ciekawym jak długim wywodzie utonęła ostatecznie wszelka nadzieja powrotu do sprawy poprzedniej. Siedzącym blisko zdawało się czasem, że na twarzy mowcy malowała się dobrodusznazłośliwość, ale to było pewnie złudzenie. W każdym razie na porządek dzienny weszły potem filmy i pieczeń z kapustą i zajęły go tak, iż nie już zmieścić się nie mogło.

* * *

Stanowisko Wiedeńczyków tak ostro przecięło debatę nad scentralizowaniem prasy centralnej, że sprawa była przesądzoną już od pierwszej intonacji, jaką włożył w swe pierwsze słowo ich przedstawiciel. Było to jakby grzeczne skrzyżowanie szpad między Niemcami północnymi, a łagodniejszą strefą błękitnego Dunaju. W świetle iskierek, jakie posypały się przy tej szermierce, ukazała się nam raz jeszcze różnica tych dwóch niemieczyzn: twardej i miększej, bojującej przeciw całemu światu i wyznającej zasadę: *leben und leben lassen*... Różnica między Berlinem a Wiedniem, tem „wesolem miastem Feaków, gdzie zawsze jest niedziela i zawsze kręci się rozeń przy ogniu“, jak śpiewał jeszcze Schiller w swych „Xeniach“.

Nigdy nie wątpiliśmy, że umysłowość nasza znajduje ostatecznie punkty styeczne z gładką powierzchnią niemieczyzny austriackiej, podczas gdy do potężnej chropowatości dusz „na wschód od Łaby“ przymknąć szczelnie nie zdoła. Wmieszani w grono „Przedlitawczyków“ nie byliśmy delegacją polską i głos nasz nie był potrzebnym. Ale kto wie, czy dziennikarstwo Polski niepodległej nie zasiądzie kiedyś urzędowo w podobnym areopagu i czy wówczas nie będzie musiało zaciążyć swą opinią po

stronie takich argumentów, jakie słyszeliśmy, w formie gładko-oględnej, z ust Wiedeńczyków?

— Panowie! — musiałby wówczas powiedzieć mowca polski — paru naszych kolegów było świadkami waszych obrad nad zerwaniem wszelkich stosunków z dziennikarstwem innych narodów, poza państwami centralnemi. Działo się to podczas wojny. Ci towarzysze nasi słuchali podówczas waszych wywodów pod świeżem wrażeniem, jakiego doznali, przeczytawszy po raz pierwszy od dawna dzienniki francuskie i angielskie. Odnowili wtedy tradycyjną u nas zażyłość z wielkiem dziennikarstwem łacińskiego zachodu. Przez szpalty, od których odwykło ich oko, usiłowali zajrzeć w duszę „tamtą“, po drugiej stronie frontu. Było to jak gdyby pierwsze po długiej rozłące spotkanie z kimś widywanym codzień dawnymi laty — wpatrywanie się w twarz, czy zmieniona i ostrożne wybadywanie myśli, czy zawsze ta sama. Bo tęsknoty za kulturą łacińską nikt z nas nigdy się nie zaprze — chybaby poniżył się do nieprawdy, której i tak nikt nie uwierzy, kto zna nas choć trochę.

Przez cały czas wojny słyszeliśmy od Polki, że czuje się przynależną do Zachodu. Powtarzane wam to z wytrwałością, na którą nie zasługują rzeczy rozumiejące się same przez się. Ale nie wiemy, czy upewniono was w tem, co sami musicie wiedzieć — w tem, że Zachód Europy, który od nas się zaczyna, po tym brzegu Renu dla nas się nie kończy. A to moment ważny. Myśl nasza czerpała obficie z ducha Niemiec. Mieliśmy i mamy uszanowanie dla epopei filozoficznej od Leibnitza do Kanta, dla literackiej od Nibelungów do Goethego, dla muzycznej od Bacha do Wagnera. Ale nigdy nie traciliśmy poczucia, że za Alpami i po tamtej stronie Wogezów biją źródła, którym musi nasza kultura ust przychylić, tak jak to czyniła

zawsze. A jesteśmy pewni, że w tej myśli są z nami najlepsze cząstki świata waszego świata duchowego, który przez usta twórcy „Fausta“ ogłosił przecież Włochy drugą ojczyzną każdego cywilizowanego człowieka i w ten sposób złożył hołd wieczystym pierwiastkom kultury łacińskiej.

My — Panowie — przynależymy do niej tradycją, układem naszej psychiki, stosunkiem do życia, skłonnościami do form politycznych, poglądami na istotę państwa i na istotę wolności obywatelskiej. A przyszłość nie będzie inną od przeszłości, chociaż los nakazał nam po wieki sąsiadować przez ścianę ze światem germańskim i odeń również brać wiele. Świat ten nie zagradzał jednak naszej drogi na Zachód, przeciwnie, był nam pomostem.

Rozumieliśmy wówczas, na zjeździe wojennym, waszą gorycz do t a m t y c h. Walka rodzi nienawiść, to trudno. Ale wienzyliśmy mocno, że nie można wiecznie żyć w nienawistnym napięciu nerwów. Zmieniają się koncepcje polityczne i gospodarcze, przymierza tworzą się i rozluźniają za nakazem interesów wcale nie wieczystych. W dwa lata po wspólnej kampanii austro-pruskiej przeciw Duńczykom przyszła Sadowa. W trzynastu lat po Sadowie Austria była z Rzeszą niemiecką w przymierzu, które przetrwało właśnie próbę roku 1914. Polityka leczy się sama. A kultura wszechludzka jeszcze szybciej zabliznia rany, które nienawiść jej zadaje. Więc wówczas już mało zajmowaliśmy się tem, czy na scenę polityczną świata wejdzie utwór okolicznościowy pod tytułem „Mitteleuropa“, czy też premieiry nie uzyska. Patrzyliśmy dalej i głębiej. I nie mogliśmy wyobrazić sobie takiej Europy, w której kultura Niemiec wyciągałaby czułki raczej ku Turcyi, niż ku Francyi!

My, Polacy, jesteśmy dość starymi Europejczykami, aby wiedzieć, że kapitał ducha jest równie międzynarodowym, jak kapitał

złota i równie jak on, idzie tam, gdzie go czeka najwyższe oprocentowanie. Wiedzieliśmy o tem i wówczas, na obradach waszych w Berlinie, gdy Polska czekała z całym spokojem, aż sprawiedliwość dziejowa zagładzi zbrodnię, jaką Europa wobec nas przed półtora wiekiem się splamiła. Czekaliśmy wówczas, aż padnie nakoniec płot z bagnatów, które świat przepoławiały i szarpały swem bezsilnem ostrzem dach, pod którym żyła wspólnie ludzkość cywilizowana. Czekaliśmy aż otworzą się granice i strumień kultury naszej znów przybieży do nas od Zachodu odwiecznem łożyskiem. Tryskał on z pierwiastków cywilizacji łacińskiej, a zabierał po drodze żyzne atomy germańskiego pobrzeża. I wówczas wierzyliśmy równie mocno, jak dzisiaj, że „Mittel-europa“ naszych myśli musi rozciągnąć swe granice do dawnych rozmiarów: po morze Śródziemne w dół, po Atlantyk w bok i poza kanał La Manche.

A wasza — panowie — tak samo.

* * *

O tej przyszłości myśleliśmy, wracając późnym wieczorem z obrad dziennikarskich, przez skąpo oświetlone ulice Berlina w trzecim roku wojny.

Mundury i fraki.

Do kanclerza. — W sali. — Dr Hertling. — Pierwsze słowa. — Wielki cień. — Dwaj kanclerze. — Rozmowy z ludzic. — Wśród władzy i wpływu. — Wspomnienia. — Na ulicy.

Deszczyk kropił i mgła otulała domy berlińskie, wyprostowane jeden przy drugim jak szereg gwardzistów, zastygłych pod komendą „Achtung!“, gdyśmy spieszyli po błocie Wilhelmstrasse, przecznicy Unter den Linden, do pałacu ongi radziwiłłowskiego, gdzie oczekiwał nas dr Hertling, szósty z rzędu po Bismarku kierownik pobismarkowskiego państwa.

W salach było już rojno. Krzesła wyłożone mundurami, ściany podparte niemi gęsto. Jasno od złotych szamerowań i czerwonych lampasów, wśród których żałobnie czerniały fraki dostojników cywilnych i naszej bezrangowej małości. Przed- i Zalitawczycy spoglądali z żalością na puste klapy swych cywilnych mundurków; rzadko na której błyszczał jakiś orderek. Inaczej wygląda frak grubej ryby berlińskiego dziennikarstwa. Na niejednym tłoczą się krzyże i gwiazdy tak gęstym tłumem, że musi im być duszno. Niektóre wydrapały się aż na szyję i tam szukają wolnego miejsca.

Rozglądamy się po salach. W pierwszej zamiast tylnej ściany rodzaj wejścia do oranżeryi, zielone czuby palm, doniczki kwiatowe. Mebli niewiele i skromnych stosun-

kowo. Na ścianach dobre obrazy włoskie z szesnastego wieku, Madonna, studia portretowe. Zwierciadła rozjaśniają ściany. Prze-gląda się w nich tłum, latają w powietrzu ukłony i uśmiechy, odważone na wadze aptekarskiej według rangi i według łaski, jaka rangę opromienia z góry w danym momencie. Najwięcej uśmiechów rozdał pewnie nowomianowany sekretarz stanu von Radowitz, charakterystyczna postać z twarzą śpiewaka operowego wysokiej klasy, z monoklem w oku, sekretarz stanu od paru zaledwie godzin, poprzednio dyplomata, przedstawiciel Niemiec na obu półkulach ziemi. On to wita przybyłych, nim przedstawią się kanclerzowi.

Dr Hertling spacerował na uboczu krokiem drobnym i miarowym, jak gdyby trochę zniecierpliwiony, że jeszcze się nie zaczyna. Postać drobna, raczej sucha niż pełna, twarz o dobrze już starym wyglądzie, okolona białą bródką, twarz niemieckiego profesora „jak z książki“, trochę pomięty fraczek z jedną jedyną gwiazdą orderową. Ale oczy żywe i gest także nerwowy a okrągły, jak się okazało, gdy wystąpiwszy bliżej środka dał znak, że pragnie zabrać głos.

Razem z pierwszym słowem przemienił się człowiek. Zamiast staruszka miało się przed sobą kogoś w sile wieku, mowcę wyrobionego w zapasach parlamentarnych, o donośnym głosie i słowie łatwym a dobrze wycelowanem. Była to pierwsza przemowa publiczna dra Hertlinga, odkąd z bawarskiego prezydenta gabinetu został kanclerzem Rzeszy i pruskim prezydentem ministrów. W kilka dni dopiero po tem przyjęciu wstąpił po raz pierwszy w swej nowej randze na mównicę parlamentarną, ku której kierowały się złe spojrzenia junkrów pruskich, niełatwo trawiących katolika i Bawarczyka na stanowisku, które według ich zdania należy się z prawa protestantowi i Prusakowi. Ale skoro zawiódł mąż, posiadający obydwie te

kwalifikacye w najlepszym gatunku: dr. Michaelis — przyszła chwila dra Hertlinga.

Czy długo potrwa? Poprzednik jego rządził sto dni w cyfrze okrągłej, ale nie był namaszczoney oliwą parlamentaryzmu, nie miał za sobą większości w Sejmie Rzeszy i nie był mianowany za pewnem przynajmniej z nią porozumieniem. Co prawda ów „parlamentaryzm“ rzekomy dzisiejszych Niemiec ma raczej minę homunculusa z retorty niż prawdziwego noworodka. Jest to parlamentaryzm wstydzący się trochę sam siebie, niby aktor, który wszedł pierwszy raz na scenę i nie wie co począć z rękami. Całe stronnictwa uważają go za intruza, a i ci co z patosem wymawiają „chcemy rządów parlamentarnych“, dodają zawsze: ale takich, jakich potrzebuje państwo niemieckie. Więc jest to i będzie dalej parlamentaryzm z rękami wzdłuż szwów u spodni, wyprostowany przed komendą, trochę zahukany, jak przystało dobrze udyscyplinowanemu żołnierzowi. Czyli, że oliwa parlamentarna, jaka spadła kropelką na frak dra Hertlinga, ma wiele pokrewieństwa z innymi surogatami wojennymi. „Ersatz“.

O tem myślało się jednak dopiero po przemowie dra Hertlinga. Cielkawość czysto zewnętrzna pochłaniała refleksyę. Oczekiwało się jak wygląda, jak gestykułuje i jakim tonem rozpocznie swój *m a i d e n s p e e c h*?

Początek był nieco konwencyonalny. Brzmiała w nim nieunikniona „chwila obecna...“ „moment przełomowy...“ — wszystko wypowiedziane gładko i z reprezentacyjnem umiarkowaniem, dodanem do rutyny profesorskiej — dr Hertling wykładał filozofię i prawo kanoniczne w Monachium — oraz do praktyki parlamentarnej, nabytej przez lat trzydzieści siedm w Sejmie Rzeszy. Ale wkrótce padło jedno nazwisko. I to z sali recepcyjnej zrobiło arenę historyczną.

Zabrzmiało ono w ciszy, jak pęknięcie granatu. Otto von Bismarek! Tu, na tem miej-

scu — przypominał dr Hertling — rządził przez lat dziesiątki Kanclerz Żelazny. Na tych pokojach obradował kongres berliński... Tutaj — dopowiadaliśmy sobie w duszy — królowała najbrutalniejsza i najprzebieglejsza zarazem polityka Prus od czasów Fryderyka II. Tutaj, jak w spichrzu spoczęły plony Sadowy i Sedanu. Tutaj, w chwilach zamyslenia, które spadało często na olbrzymią czaszkę o trzech włosach u czubka, obejmowała tę duszę, lwią i węzową zarazem, zmora koalicji, *cauchemar des coalitions* — zmora, która od lat trzech ciążyła na piersiach cesarstwa niemieckiego aż teraz, pod wiatrem od Wschodu zaczyna ustępować, jak przynajmniej tuszą sobie dzisiaj politycy w gabinecie i żołnierze w polu.

Otto von Bismarck... Znikł nam z przed oczu salon, fraki i mundury. Na tle kotar, za nikłą postacią filozofa, który rządzi państwem, wyrósł cień olbrzymi pierwszego kanclerza, takiego, jaki stoi przed parlamentem Rzeszy, plecami doń się obróciwszy w ruchu tak bardzo symbolicznym. W kirysie i hełmie, z mieczem ściśniętym w pięści wielkości bochenka stał ten cień i rosł, aż wypełnił sobą całą salę. Kanclerz, który rozwiązywał parlamenty, słuchał kanclerza, który nie chce rządzić wbrew parlamentowi. Na profesora, który jest politykiem, patrzył z pod powały polityk, który miał w sobie pół groźnego jenerała, a pół adwokata niemniej niebezpiecznego. I nie było z pewnością w tej chwili jednego oka, któreby go nie widziało, jak nadśluchuje słów swego następcy, pełnych ufności w oręż niemiecki i jak podnosi jeszcze wyżej głowę w hełmie stalowym, jak gdyby powtarzał: „Krew i żelazo...! Siła przed prawem...! Tak było wczoraj, tak jest dziś, tak będzie jutro!“... A od złocen i marmurów szło echo: „Krew i żelazo! Biada zwyciężonym!“

Gdzie był w tej chwili sekretarz stanu spraw zagranicznych, dr Kühlmann? War-

toby było dociec, czy i on widzi, jak my wszyscy, cień Wielkiego Junkra i czy sływszy szept, wydobywający się z potężnej gardzieli? Bo dr Kühlmann ma coś na sumieniu. On to po raz pierwszy od lat czterdziestu siedmiu ośmielił się z miejsca urzędowego zrobić pewien wyłom w piekielnej regule przemocy, sformułowanej ustami Bismarcka. On to zaznaczył delikatnie — bo mówi z wielkim spokojem, nawet z wykwintem — że nietylko siła, ale i prawo winno mieć głos pewien w stosunkach międzynarodowych. Było to w Sejmie Rzeszy, a olbrzymi przed tym gmachem Bismarck musiał pewnie zachwiać się na swym piedestale i może mrugnął na stojących w dali dwóch kamiennych współtwórców cesarstwa: na Moltkego i Roona, dając im do zrozumienia: widzicie, co się dzieje?!

Dra Kühlmanna nie widzieliśmy w tej chwili. Może nie było go wcale, a może umieścił gdzieś w zakątku swoją sylwetkę trochę zmęczonego clubmana i myślał o wszystkim, tylko nie o Bismarcku? Zresztą za chwilę przebrzmiały ostatnie słowa kanclerza i cień grubo ciosany zniknął w dymie cygar, które zapalono do wina, obnoszonego przez „ordynansów“. Byliśmy znów w pełnej teraźniejszości, oglądaliśmy niemal wszystko, co jest w Niemczech wpływem i władzą. Admirał von Capelle, wysoki mężczyzna o twarzy dobrodusznego sępa, głośny nieudanym atakiem na socjalistów niezawisłych z powodu wrzenia wśród marynarzy, rozmawiał z szefem sztabu admiralicyi, Heltzendorfem, którego biała broda wybijała się z pomiędzy wygolonych twarzy marynarskich, licznie rozsianych po salonie. Sekretarz stanu dla kolonij, dr Solf, krążył między wysokimi oficerami, kotysząc na gorsie olbrzymi monockl, który doskonale musi wydawać się na zgoła angielskiej jego fizyonomii. Z boku, gdzie stał ambasador turecki, Haki basza, dolatywała trochę egzo-

tyczna francuszczyzna. Niedaleko minister wojny von Stein i ambasador austro-węgierski książę Hohenlohe, który chętnie wspomina dwa lata, spędzone w Krakowie w służbie kawalerzyckiej.

„Tu robi się historia“ — pomyślał reporter i wyciągnął notes, aby nie zapomnieć tak niecodziennego zwrotu. Potem poprawił gorsu, rzucił okiem w zwierciadło i delikatnie podsunął się ku stronie, gdzie odbywała się ceremonia „cercle'u“. I nie zawiódł się. Został przedstawiony, usłyszał kilka słów, powiedział sam kilkadziesiąt, a wyrzuciłby kilkaset, gdyby nie uprzejme a żelazne ujęcie pod ramię, jakim dawano znać nazbyt rozmownym gościom, że ich rola historyczna się skończyła. I tak dobiegał kresu niemały trud wieczorny dra Hertlinga, a sala pustoszała zwolna, aż wilgotny smętek ulicy berlińskiej znowu otoczył tych, co „byli u kanclerza“.

Wizyty i retoryka.

W klubie roku 1914. — Pretensye do udziału w polityce. — Zmiana. — Pierwsze poznanie. — Dziennikarz mówi. — Retoryka w nadmiarze. — Tenor przed tenorami. — Węgry są odrębnym państwem!

Na trzy dni, spędzone w Berlinie, przypadało mniej więcej po trzy przyjęcia dziennie, jeśli „swobodne pogawędki“ i zbiorowe jądania przyłączymy do recepcyj formy ścisłej.

Zaraz pierwszego dnia po zapoznawczym śniadaniu w „Adlonie“ poprowadzono nas do „Deutsche Gesellschaft 1914“, aby wędrowni dziennikarze mogli zetknąć się z wybitniejszemi osobistościami świata berlińskiego. Owo stowarzyszenie jest rodzajem klubu politycznego; jest pierwszym podobno klubem politycznym stolicy państwa. Powstało na początku wojny, zajmując przy Wilhelmstrasse, niedaleko pałacu kanclerskiego, kilka sal po jakimś banku.

Monumentalnie ponury dom, wejście bardzo bankowe co do solidnej wspaniałości, sale duże, w głównej pod ścianami biblioteka na półkach, stoły założone pismami, wśród których nie brak ani jednego z organów francuskich i angielskich o wybitniejszej marce, a znajdzie się także kilka pism polskich. Na wielkiej przestrzeni porozstawiane stoliki, przy nich fotele i kanapy klubowe, na których rozsiada się wygodnie do

rczmów ważnych, a może tylko za takie po-
czytywanych przez osoby, które w nich u-
dział biorą. Data 1914, wchodząca w tytuł
towarzystwa, będzie do pewnego stopnia
kamieniem milowym w rodzaju życia poli-
tycznego Berlina a po części i Niemiec. Bę-
dzie ona wspomnieniem, że w tym roku po
raz pierwszy uczuto w stolicy Niemiec po-
trzebę stworzenia punktu zbornego, na któ-
rym mogliby spotykać się ludzie różnych o-
bozów, a to nietylko politycy czynu, posło-
wie, wysocy urzędnicy, ale finansisci, dzien-
nikarze, literaci, przemysłowcy — wszyscy,
którzy od polityki byli właściwie wyłączeni
w tem państwie poszufladkowanym tak
wzorowo, iż do polityki — poza posłowa-
niem — dopuszczano tylko fachowców rzą-
dzenia, więc arystokrację pruską przede-
wszystkiem, jeżeli idzie o zakres dyploma-
cyi, zaś biurokrację, jeżeli idzie o rządze-
nie w ścisłym znaczeniu słowa.

Przy parlamentaryzacyi Niemiec, o której
dziś mówi się tyle, idzie głównie o to, aby
do sfer państwem rządzących wpuścić do-
pływy sił świeżych, które dotychczas zuży-
tkowywały się zawodowo, nie dorzucając
do spraw państwowych kapitału swej ener-
gii, doświadczenia, praktyczności i rozumu.
Rządzenie było przywilejem kast, a w tych
kastach często przywilejem rodzin. Nie miał
do tych sanktuaryów dostępu *contribu-
ens plebs*, chociażby płacił podatki
dochodowe wysokości bajecznej od swych
fabryk, hurtowni czy banków. Obrońcy zasa-
dy, że wszystko jest dobrze, tak jak było,
wyprowadzili stąd nawet teorię, iż tak wła-
śnie być powinno w państwie dobrze zorga-
nizowanym i udowadniali, iż niema na świe-
cie człowieka szczęśliwszego, niż Niemiec,
gdyż polityką zupełnie zajmować się nie po-
trzebuję. Czyni to za niego kto inny. On sam,
obywatel, może pracować, chodzić do tea-
tru, wychowywać dzieci, płacić podatki i
umierać z głębokiem przekonaniem, iż pań-

stwo będzie za jego wnuków taksamo po-
tężne i uporządkowane jak było za jego
dziadów, gdyż nad jego losem czuwają fa-
chowcy rządu, ludzie do tego wykształ-
ceni, którzy niczyjej rady nie potrzebują i
gniewają się, gdyby kto wtrącał im się do
roboty.

Tak było w pokoju. Podczas wojny pań-
stwo zażądało od obywatela nie tylko poda-
tku krwi, ale takiego udziału w walce poza
frontem, że ciężar tych nowych obowiązków
poculi nawet najbardziej znieczuleni i po-
woli zaświtało im, iż za obowiązkami powin-
no wszakże pójść jakieś prawo. Już p. Beth-
mann Hollweg musiał ukłonić się w stronę
tych nowomodnych zachcianek i rzucić o-
bietnicę, że w przyszłości znajdzie się przy
współpracy rządowej „miejsce dla wszyst-
kich tęgich ludzi“. Okrzyk: „parlamentary-
zacy!“ zaznaczył nowe, bardziej sprecyzo-
wane w tym kierunku żądania. Wprawdzie
i dziś jeszcze napotyka się w Niemczech lu-
dzi dobrej woli, którzy dowodzą, że demo-
kracya zachodnia nie dorosła do pięty ni-
emieckiego układu życia publicznego, a
to dlatego, że „zmusza ludzi do udziału w
polityce“, podczas gdy Niemiec jest od tego
ciężaru zupełnie wolny — lecz wiele wska-
zuje na to, że obywatel Rzeszy coraz bar-
dziej napiera się zakazanego owocu i nie-
zbyt wierzy zapewnieniom, że to kwaśne wi-
nogrona, po które nie warto sięgać.

Owo postępowanie demokracji zachodniej
przewinęło się nieraz w rozmowach, jakie
prowadziliśmy podczas naszej podróży.
Przyjdzie jeszcze jąc się wyjaśnienia tej ni-
chęci, niełatwo zrozumiałej dla człowieka
innych stref politycznych. „Deutsche Gesell-
schaft 1914“ złożyło swem zaistnieniem
drobny może, lecz w każdym razie chara-
kterystyczny dowód, iż ludzie zaczynają się
kupić, mówić ze sobą i interesować sprawa-
mi państwowymi z myślą, że ich z ich sty-
czności osobistej wypłynąć może pewien

nacisk zbiorowy, chociażby moralny tylko, na maszynę państwem rządzącą. Schodzą się tam jednostki różnych stronnictw i bezpartyjne. Żadne stronnictwo niema wpływu zabarwiającego bezpośrednio. W nieobowiązujących pogadankach mają tam wyrównywać się różnice partyjne, jak nam tłumaczono, aby ludzie dochodzili ze sobą do porozumienia na pewnych punktach zasadniczych i aby przez wymianę zdań poznać wali jak najlepiej życie publiczne państwa. Od czasu do czasu odbywają się wykłady; tutaj między innymi miał głośny cykl odczytów o zaopatrzeniu Niemiec w surowce dr. Walter Rathenau, twórca tego zaopatrzenia, człowiek, któremu armia niemiecka zawdzięcza dzisiaj swoje mundury, granaty, karabiny i aeroplany, a państwo niemieckie — przetrwanie do roku 1918.

Naszą gromadkę przyjęło tam grono polityków i dziennikarzy, finansistów i oficerów; ci ostatni zostali sprowadzeni w celu zapoznania się z nami, gdyż rolą ich od wyjazdu z Berlina miała być komenda nad wycieczką przy zwiedzaniu frontu morskiego i lądowego. Przy herbacie i „Kuchenach“ dość wojennej proveniencji zaczęło się pierwsze wzajemne wybadywanie, tak zrozumiałe między ludźmi, którzy mają spędzić ze sobą dwa tygodnie w prawie bezustannem obcowaniu. „Nasi“ urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych również zjawili się punktualnie. Pogawędka była w istocie nieobowiązująca, toczyła się przeważnie dokoła programu podróży na front, rewelacyj przynieść nie mogła i urwała się w sam czas, gdy przypomniano nam, że zegarek, ten najważniejszy sprzęt przez całą wycieczkę, wskazuje siódmą i czas wydobyć z kuferków fraki na „uroczyste jedzenie“ (Festessen) w wielkiej sali „Adlonu“.

* * *

O godzinie ósmej wkroczyliśmy w krajną paradnej zastawy, białych krawatów, or-

derów, wytwornych dań oraz przemów. Wiadomo, że przeważnem zajęciem wszelkich kongresowiczów jest słuchanie mów, a więc najważniejszą kwalifikacją, jaką muszą posiadać, jest cierpliwość. Nasza była wystawiona na poważną próbę obciążenia. Bo chociaż ambasador Hohenlohe i sekretarz stanu dr. Kuehlmann znają wartość czasu, lecz nie wszystkim przedstawicielom prasy centralnej można przyznać tę samą zaletę. Każdy dziennikarz musi mieć w sobie coś z grafomana, musi zostawać pod przymusem pisania, w którym się wypowiada. Otóż z rozmiarów, jakie przybierała czasem elokwencya niektórych uczestników wycieczki wynikałoby, że dziennikarz gdy nie pisze, to musi przynajmniej mówić. Mówić bez końca, chociażby ciągle o temsamem, chociażby jednym rozpaczliwie płynnym strumieniem uroczystego artykułu, który niza się ze zwrotów sędziwych zużyciem przez czcionki. Mowcy uroczystościowi wycieczki — było ich kilku w zakresie prozy, osobny wypowiadał swe uczucia wierszem przy najróżniejszych sposobnościach — wytrwałością swoją dawali niejako żywy przykład, że „siła przetrwania“ jest w państwach centralnych niewyczerpaną, a słuchacze ich byli dowodem drugim; może jeszcze bardziej przekonującym? Mówili więc Berlińczycy, Wiedeńczycy i Tyrolczycy, dyplomaci i dziennikarze. A w chwili, gdy zdawało się, że już koniec, zaczęło się na nowo, gdyż spóźnieni przez wypadek kolejowy Węgrzy stawili się późnym wieczorem, po skończonej wieczery i motek słów rozwinął się raz jeszcze. Później, po drugim wstaniu od stołu zaszemrały rozmowy przy czarnej kawie... Gdyśmy zrzucali fraki, zmęczenie mówiło nam, że dzień był spędzony pracowicie. A czekały jeszcze trzy dalsze, których opis składałby się również z zastawy, fraków, ryby i mów. Aż pod koniec trzeciego padło nako-

niec słowo o głębszem znaczeniu, a wypowiedział je przewodniczący delegacyi węgierskiej.

Gdy przyszło mu z konieczności raz jeszcze głos zabrać „aby podziękować, czy odpowiedzieć na jakieś podziękowanie, oświadczył: „Nie będę panom dużo czasu zabierał, bo mów było już bardzo wiele. A każdy przyzna, że gdy dziennikarze perorują do dziennikarzy, to zupełnie tak, jak gdyby jeden tenor wyśpiewywał inny m tenorom“.

Koncept był dobry. Ale jeszcze lepszem było to, iż na następnem zdaniu mowa się skończyła.

Raz tylko jeden, na przyjęciu u ambasadora austro-węgierskiego, ks. Hohenlohego, przyniósł występ oratorski pewną niespodziankę, która pikantnie odbijała od banalności innych popisów frazeologią. Już mowa ks. Hohenlohego, aczkolwiek usnuta ze zwrotów ogólnych — tak chce konieczność dyplomatyczna — przyniosła jak gdyby technienie z innego świata, gdyż swobodą, lekkością tonu i delikatnością wysłowienia przypomniła nietylko różnicę między retoryką pruską, a wiedeńską, ale różnice między temi dwiema dyplomacyami: między tradycją Bismarcka a tradycją Metternicha możnaby powiedzieć. Wysłuchaliśmy następnie czegoś w typie artykułu z „Fremdenblattu“, jakim odpowiedział „representant wycieczki“ — ale potem regułę banalności przełamał ciekawy wyjątek.

Nie dowiedzieliśmy się napewne, czy ów reprezentant miał być, według programu, jedynym mówcą tego popołudnia i czy miał prawić w imieniu Przed- i Zalicawii zarazem. Wskazywałby na to pewien zwrot w jego oracyi, brzmiący mniej więcej: „mając zaszczyt przemawiać także potroszę w imieniu Węgrów...“ Usłyszawszy to, byliśmy w każdym razie pewni, iż drugiej mowy dziennikarskiej nie będzie. A tymczasem, ledwie

przebrzmiały ostatnie słowa tej odpowiedzi, wystąpił przed ambasadora jeden z Węgrów i po sali poleciały równie energiczne jak mało przystępne akcenty języka madyarskiego. Mówił dość długo, słuchany w nabożnem skupieniu, zakończył oczywiście silnem „Eljen!“ i tak przypomniała się wszystkim samodzielność państwa węgierskiego, której peszteńscy uczestnicy pilnowali przez cały ciąg wycieczki, jak Niemcy zakładów Esseńskich. Bo trzeba było, aby wiadano, że nie „austriacko-węgierscy“, lecz „austriacy i węgierscy“ dziennikarze przybyli do Niemiec. Nie wiemy nic o literach c. k. Dla nas istnieje tylko to, co jest c. i k. Tak było zawsze i wszędzie, przez całe dwa tygodnie.

Nad morze.

Lehrter Bahnhof. — Sto szpandawskich milionów. — Step lüneburski i jego poeta. — Wspomnienie z Worpswede. — Książeczka o łodziach podwodnych. — Na dworcu bremeńskim. — Morze blisko. — W Wilhelmshaven.

Na Lehrter Bahnhof czekał już osobny pociąg, złożony z czterech wagonów sypialnych, po jednym dla każdej „grupy“. Rozdzielono nas na chybił trafił, jak się zdawało. Z czterech Polaków, dwóch tylko znalazło się razem. Rozdział ostateczny miał nastąpić dopiero w Brukseli, przy odjeździe na front lądowy. Wilhelmshaven miało być jeszcze zwiedzane przez wszystkie cztery plutony dziennikarskie razem, stolica Belgii taksamo. Na peronie oficerowie, komendanci grup, zwoływali swoich dobrowolnych podwładnych do apelu, przy drzwiach wagonu czekali ordynansi, aby rozmieścić pakunki po przedziałach, które na dwa tygodnie bez mała miały stać się naszym mieszkaniem. Otrząsając się z wilgotnej zadymki, która towarzyszyła naszym samochodom z hotelu na dworzec, instalowaliśmy się nie bez mrukliwości w pełnej komfortu ciasnocie. Dzień był rzadkiej brzydoty, a trzy doby nieustannej gonitwy po Berlinie, prezentacyj i mów dały się już we znaki nerwom dziennikarskim.

Pociąg ruszył. Powoli zasuwaly się w mgłę wielkie koszary, którym na imię Berlin. Zamknięci w przedziałach, usiłowaliśmy porządkować wrażenia i papiery, których przez

te parę dni nagromadziło się tyle co w przeciętym koszu redakcyjnym. Migwały stacye. Na jednej z pierwszych wyczytaliśmy napis: Szpandawa. Tutaj w Juliusturm złożono po wojnie roku 1871 okrągłe sto milionów w złocie francuskim jako podstawę kosztów przyszłej wojny. Uśmiechnęliśmy się nad tą dobroduszością z przed niespełna pół wieku. Koszta wynoszą już dzisiaj przeszło sto miliardów. Owa setka milionów poszła dzisiejszej wojnie na jeden łyk. Okazuje się, że Moltke, Roon i Bismarck wiedzieli o rozmiarach najbliższej walki tyle, co gwardzista obywatelski z roku 1848 o Mauserze i gazach trujących. W jednym tygodniu ognia huraganowego wystrzela się dzisiaj sto razy tyle pocisków, ile ich wypadło z armat niemieckich przez całą wojnę roku 1871. Ludzkość zrobiła postęp.

Stendal. Wkrótce wjeżdżamy na ziemię hanowerską. Przez okna zagląda melancholijny pejzaż stepu lüneburskiego. Równina bez kresu, rzadkie drzewka, przeważnie sosny pochylone nad torfowiskami, kraj wrzosu, bagienek i ciężkiej walki z nieurodzajną glebą, której niemal przemocą trzeba wydierać plon ubogi. Nie tak jeszcze dawno, jak ledwie dziesiąta część tej przestrzeni szła pod uprawę, reszta służyła za pastwiska dla licznych trzód i dostarczała zimowej paszy. W dziewiętnastym wieku, w drugiej jego połowie, zaczęła się walka człowieka z upartą ziemią. Zaatakowano ją żuźłami Thomasa i solami potasowymi, zielonym nawozem i łubinem. Chłop (Marschbauer), który posiada tam znaczne gospodarstwa, nieraz do 300 hektarów, wziął się za bary z przyrodą i powoli kładzie ją na obie łopatki. Państwo dopomogło mu, przecinając pustkowia kilku liniami kolejowymi, któremi wywozi się osobliwe płody stepu, w pierwszym rzędzie skóry baranie (Heidschnucken), które każdy zna z ogłoszeń we „Fliegende Blaetter“, gdzie w części anonsowej jakiś hodowca lünebur-

ski powtarza co tygodnia z cierpliwością, która góry przenosi: „Skóry baranie nie są tak drogie, jak niedźwiedzie, ale równie ciepłe“. Hreczka z tych stron jest równie słynną, miód zbierany na jej kwieciu należy do przysmaków, niejeden mieszczuch chwali sobie konserwy z jagód stepowych, zaś poeci karmią swą wyobraźnię kwieciem wrzosu: „Erika“.

Romantyczny ten chwast stał się symbolem melancholijnej samotności, odpoczynku po walkach ze światem, niemal emerytury życiowej dla ludzi znękanych. Na niwie poetyckiej Niemiec dzisiejszych i wczorajszych siały go dość gęsto dłonie śpiewaków o małym głosie, aż los zapędził na step lüneburski Detleva von Liliencron, który samowtór z Ryszardem Dehmlem reprezentuje poezję wśród rymotwórstwa niemieczyzny zjednoczonej pod Hohenzollernami. W dość burzliwym życiu schwyciła go jakaś nawałnica i zmusiła wyłądować na rozpaczliwie zacisznym brzegu stepów:

Drei Jahre lebt' ich gefangen verbannt,
Musste Ruhe suchen im Heideiland.
Fand den Frieden dort, wo die Erika blüht
Für mein immer mehr sich umdüsternd Gemüt...

A po tej kuracyi samotnością wrócił Liliencron znów do życia, bywał dobrym gościem w najlepszych restauracjach hamburskich, jak to chętnie opowiadał, wielbiąc miasto hanzeatyckie, w którym świetnie się jada. Wreszcie jał się modnego wówczas w Niemczech zajęcia: stworzył kabaret artystyczny, „Ueberbrett!“, z wyborynym rezultatem finansowym dla wszystkich uczestników, wyjąwszy siebie samego. Po bankructwie pozostał już wiernym Muzie poważnej i wrzosowi.

Łomot kół po szynach układał się nam u poroczywie w łagodną strofę:

Tiefeinsamkeit, es schlingt durch deine Pforte
Die Erika ihr rotes Band..
An Menschen arm, was braucht es noch der Worte,
Sei mir gegrüsst, du stilles Land!

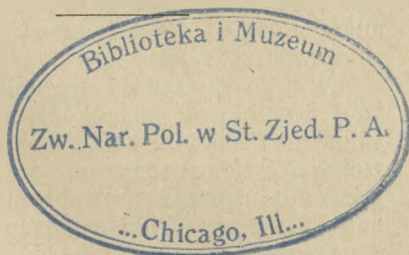
Okazało się przy tej małej eskapadzie w romantyzm, że Liliencron nie jest w niemieckim dziennikarstwie tak dobrym znajomym, jak poza nim. Podobnie było ze „szkołą worpswedzką“, którą przywodziły na pamięć żalosne widoki stepu lüneburskiego. W ostatnich latach dziewiętnastego wieku kilku malarzy niemieckich zakochało się w torfowiskach i w sosence nad moczarem. Zamieszkali w wiosce Worpswede, która leży na wyspie piaszczystej między bagnami i tam założyli kolonię artystyczną. Militem tego pruskiego Barbizonu był Hans am Ende, Corotem — Fritz Overbeck, oczywiście w pewnej proporcji do francuskich pierwowzorów. Przez jakiś czas mieli nawet głośne imię na secesjach niemieckich za dobrze odczuty smutek tego pustkowie, przez które pędziły obecnie nasze wagony.

Poezya krótko bawiła na naszym korytarzu. Dowódcą grupy skorzystał z przejazdu, aby ogłosić krótki wykład o porcie wojskowym Wilhelmshaven, ku któremu zmierzaliśmy właśnie. Rozdano broszury i mapy, ponadto książeczki z opisem działalności łodzi podwodnych, ilustrowane przez malarzy, między innymi przez znanego i w Polsce W. Stowersa. Propaganda ta musi pochłaniać olbrzymie sumy, bo wydanie zbyt kosztowne, z kliszami kolorowymi, na pięknym papierze. Autor poetycznym stylem opisuje topienie statków ze zbożem i osnuwa dokoła „U. Boote“ legendę, bez której niema żadnej wielkiej rzezi. Podobno Napoleon zorganizował był w ministerstwie wojny osobne biuro legendy napoleońskiej. W dzisiejszej wojnie maszyn dostępują legendarności maszyny przedewszystkiem: moździerz 42 centymetry i łódź podwodna. Z ludzi dwóch głównie: Joffre i Hindenburg, pierwszy za „cud nad Marną“, drugi za jeziora mazurskie. Obok nich wysuwa się jeszcze hr. Dohna, który ze swoją „Mewą“ uprawiał wojenne korsarstwo po oceanach, oraz kapitan Wed-

digen, komendant jednej z łodzi nurkowych. Wydano o nim nawet parę książek, które przemawiają do sentymentu opisem zniszczenia, jakie szerzyło jego „U“ z podwodnej zasadzki.

Na kliszach naszej książeczki same storpedowane okręty, płomienie, które buchają z podziurawionych kadłubów i tonący ludzie. „Może kto z panów ma dzieci, ucieszą się obrazkami“, tłumaczy jeden z rozdawców, zachęcając, aby schować starannie ten gościniec.

Zajeżdżamy na dworzec bremeński i w szyby uderza już coś nakształt wiatru od morza, budząc uśpioną od lat czterech prawie nostalgię za oceanem. Są wśród nas tacy fanatycy morza, którym śniły się po nocach fale, mocujące się z brzegiem. Na peronie same ogorzałe twarze i granatowe kurtki na rozkołysanych trochę w chodzie korpusach. Wypogodziło się, powietrze ciepłe jak wczesną jesienią, wśród białych obłoków słońce na blado-niebieskim tle. Ktoś w silnie wyłożonym mundurze wyjechał naprzeciw nas, prezentacya. Ale ruszamy i niedługo trzeba wysiadać, bo już Wilhelms-haven, port wojenny Niemiec, arsenał, z którego wylatują torpedy na cały przestwór wodny dokoła Europy. Tutaj rozgościmy się na półtrzeciej doby.



Wilhelmshaven.

(W porcie wojennym Niemiec. — Jade. — Największy most. — W gnieździe dreadnoughtów. — Dawid i Goliat. — Miasto dla floty. — Bezpieczniej razem. — Wieczorem).

Mały dworzec największego portu wojennego Niemiec jest strzeżony pilnie. Po raz pierwszy znaleźliśmy się w ściślejszym obszarze wojennym, za który ogłoszono oczywiście kuźnię Wulkana, gdzie zbroi się ciągle na nowo morską potęgą Niemiec i gdzie się leczy, gdy armaty nieprzyjacielskie poranią jakiego pancernego olbrzyma. Z peronu wydostać się można tylko za pokazaniem „Ausweisu“, który dla każdej grupy uczestników jest w posiadaniu oficera komendującego. Posterunki pilnują wejść. Drugiego dnia oswoiły się już z anomalią, że ludzie nieumundurowani wchodzą na czujnie oglądany dworzec; zrazu jednak kontrola jest bardzo ostrą. Pierwsza przechadzka po mieście odbyła się też gremialnie, pod dowództwem marynarzy.

Nie stało się zadość życzeniu tych z pośród nas, którzy chcieli odrazu, mimo spóźnionego popołudnia, ukoić tęsknotę za morzem. Wytłomaczono im, że nie jesteśmy jeszcze na właściwym wybrzeżu i że woda, nad którą leży Wilhelmshaven jest słodką, a nazywa się zatoką Jade. Basen ten powstał w miejscu, gdzie do morza Północnego wpada rzeka Jade, która płynie nad

brzegiem w długości 22 km. i tworzy wgłębienie o powierzchni 190 kilometrów kwadratowych. Ściśle mówiąc, Jade nie utworzyła tego zalewu sama. Dopomogło jej w tem morze, które pokonało ląd piaszczysty kilkunastu atakami, powtarzającymi się co pewien czas od bardzo dawnej epoki. Pamięć najpotężniejszego szturmego przechowała się jeszcze do dziś dnia, aczkolwiek cztery wieki od niego upłynęły. Mianowicie 17 stycznia 1511 uderzyła na wybrzeże olbrzymia fala, niosąca na grzbiecie kry lodowe i pochłonięła potężny kawał lądu: pięć całych parafij, jak zapewniają źródła historyczne.

Tak powstał basen, jak stworzony na port dla wielkich statków. To też już w r. 1853 rząd pruski zakupił od księstwa oldenburskiego 340 hektarów pobrzeża, aby założyć na niem stację okrętową dla floty wojennej. W r. 1855 zaczęły się roboty nad portem, który powstał w całości w ciągu lat czterech, tak, że dopiero w r. 1869 mogło odbyć się uroczyste poświęcenie w obecności króla Wilhelma, późniejszego pierwszego cesarza Niemiec. Od niego też nazwano ten port: „Wilhelmshaven“.

Miał on podówczas przeszło 2 kilometry długości, składał się z „portu wstępnego“ (Vorhafen), z którego prowadziły dwie śluzy do portu środkowego (Binnenhafen) oraz do portu budowlanego: do doków i warsztatów. Był to załazek niejako olbrzymich dzisiejszych przestrzeni, które z biegiem czasu zajęto na rzecz floty. Dzisiejszy port główny ma 70,000 metrów kwadratowych powierzchni, zaś ośm metrów głębokości. Największe potwory stalowe mogą w nim spoczywać bezpiecznie, zwłaszcza, że szereg fortyfikacyj chroni to gniazdo dreadnoughtów od strony morza i od strony lądu. Z dawnym portem połączono go śluzami. Przebiega nad nim olbrzymi most obracalny, największy w Niemczech, zbudowany w r. 1907 i nazwany mostem cesarza Wilhelma.

Ów „port budowlany“, w którym mieszczą się doki, warsztaty budowy okrętów, magazyny itd. itd. otoczony jest potężnym murem, w którym wybito czternaście bram. Przy każdej posterunek, który wpuszcza tylko za najdokładniejszym wykazaniem się osobistem. Jest to „Die kaiserliche Werft“.

Ciemno już było, gdy gromadka nasza do stała się po pokonaniu trudności legitymacyjnych do tego Sezamu. Lekki deszczyk rozwiesił w powietrzu przejrzystą zasłonę, z za której wynurzały się tajemnicze zagajniki masztów z kulami i znakami sygnałowymi, poniżej zaś, na wodzie chlupiącej o deski pobrzeża, ciemne, płaskie ciała statków. Spoczywała tam flotyla torpedowa. W głębi ukazywały się światełka, znikające co chwila aby znowu zabłysnąć: sygnały świetlne. Jakaś czerwona latarka migotała niepewnym błyskiem. Szliśmy wzdłuż brzegu, ostrożnie stąpając na śliskich deskach i schodząc co chwila na trochę rozmokły grunt, aż stanęliśmy pod ciemnym łukiem, który rysował się potwornie prawie na tle pędzących chmur.

Za chwilę spostrzegliśmy, że ta masa nabiera ruchu. Łuk pękł cicho na połowę i zaczął wykręcać się ku naszej stronie, obracając się dokoła swej osi, niewidzialnej tak jak siła, która poruszała tę budowę żelazną bez jednego szelestu, bez zgrzytu czy turkotu kół. Za niedługą chwilę jedno ze skrzydeł ustawiło się prostopadle do brzegu, drugie zajęło podobną pozycję ze strony przeciwnej, ledwie widzialne w mgle i zmroku, a środkiem zionęła wyrwa, przez którą sunął mały holowiec, ciągnąc za sobą z trudem jakiś wielki statek.

Parowczyk znikał prawie przy olbrzymie stalowym, przypominał mrówkę, która wlecze za sobą ciężar przenoszący ją samą kilkakrotnie. Ale tutaj stosunek był jeszcze jaśkrawszy w kontraście masy. Mimo to stateczek nie uskarżał się zdyszczanym kaszlem

maszyny, jak to bywa zwykle w portach handlowych. Widocznie miał silne mięśnie i dobre płuca. Ciągnął za sobą stalowego olbrzyma prawie bez wysiłku, w zupełnej ciszy. Wyniosłe maszty przesunęły się między otwartymi skrzydłami mostu przenosząc je o wiele—i znikły. A wówczas rozdziawione polewy weszły znowu w ruch bezszelestny, zbliżając się pod naciskiem siły kierującej z ukrycia, aż zaskoczyły w siebie. Most był znów cały. Między żelazną koronką jego galerij ujrzeliśmy maleńkie czarne postaci uwijające się tam i napowrót. Komunikacja była znów otwarta, ludzie dopuszczeni do przejścia.

* * *

Przez jakąś z czternastu bram „Werftu“ przepuszczono nas z powrotem do miasteczka.

Kubek w kubek podobne do innych pruskich, tak samo wyciągniętych pod sznur, szarych i sztywnych, nosi Wilhelmshaven na twarzy jeszcze osobne piętno celowości. Znać, że powstało tylko dla tego, aby obok okrętów i ludzie mogli gdzieś się przytulić. Urząd pocztowy, filia banku państwa, gimnazjum, kościół, sklepy i parę hoteli — wszystko to narosło jak kryształki na oś główną, którą stworzyła stacya marynarki, dyrekcya warsztatów, komenda placu, skład artylerzycki i inne instancje zasadnicze. Tak zwany „przestwór Jade“ (Jadegebiet) miał w chwili nabycia go przez Prusy od księstwa oldenburskiego okrągło 109 mieszkańców. Dzisiaj miasteczko wraz z przyległymi samoistnymi osadami liczy około 70.000 dusz, które żyją niemal wyłącznie dla floty i z floty. Niewielu cywilnych płci męskiej widzieliśmy na ulicach. Same granatowe mundury i twarze wichrem osmalone. Nawet na oficerów piechoty, co z nami przyjechali, spoglądały oczy żołnierskie ciekawie i ze zdziwieniem: skąd wy tutaj, szczyry lądowe?

Wieczorem na ulicach ciemność prawie zupełna, nietyle może z oszczędności węgla, co celowo, aby nie ułatwiać zadania lotnikom nieprzyjacielskim, którzy mogliby zapędzić się aż do tego sanktuarium pływającej śmierci. Oficerowie napominali ustawicznie, aby trzymać się razem. Mieliśmy wrażenie, iż cała ludność cywilna jest ponumerowana i zaciągnięta w książkę sznurową, że każdy wie o drugim, czy ma prawo pozostawać w mieście, a zobaczywszy twarz nieznaną, zwróci się do najbliższego posterunku, aby spytał: kto zacz, skąd i po co? W samym porcie wprost usłyszeliśmy, że lepiej nie odłączać się od gromady, bo można być aresztowanym i przy sprzyjających okolicznościach spędzić noc w areszcie, zamiast w wagonie sypialnym.

Kupiliśmy się też troskliwie w czasie powrotu, który odbywał się nie bez potknięć w ciemnościach wojennych. Bez końca dłużyły się w nich szeregi domów, aż zabłysnęła zniemacka jasna, ale ciemno upstrzona plama. Wyglądało to tak, jak gdyby przez witraż kościelny wpadły promyki światła. Dostrzeżyliśmy kontury ostrołukowych okien, szybki prześwietlające ogniem z zewnątrz. Ulica załamała się i przeszła w placyk, na którym coś się poruszało w cieniu niespokojnie ale miarowo. Słychać było wykrzyki, stapania...

„To kościół garnizonowy — objaśnił oficer. — Dzisiaj „Busstag“, dzień modlitwy. Marynarze wracają z nabożeństwa do koszar“.

Gardlany okrzyk komendy rozbrzmiewał co kilka sekund w ciemnościach, z których wynurzyły się po chwili szeregi idące tym różnym rytmem „Drillu“, którym uderzają nogi żołnierza niemieckiego w koszarach, na Gallipoli, we Flandryi i w Mezopotamii, gdy odezwie się komenda. Brzymi on jak stuk tłoków maszyny wojennej, której częstkami są ludzie, sprowadzeni do funkcji trybu. Pa-

trzyliśmy chwilę na tę ruchliwą ciemność, przez którą świeciły już latarnie dworca. Chwila na zmianę pobłoconych ubrań i powędrowaliśmy w stronę kasyna oficerskiego. Nim zaszedliśmy przed wielki czerwony budynek, ktoś wskazał światło migocące w oknie jednego z domów, stojących przy zarzewionej ulicy:

— Tam mieszka admirał Scheer!

A ktoś drugi dodał:

— Dowódca z pod Skagerraku...

Tak. Dzisiejszy główny komendant floty Morza Północnego. Dowódca w tej jedynej większej bitwie morskiej od lat trzech, w której obie strony przypisują sobie sukces i popierają go szeregami cyfr. Oni stracili tyle, my tylko tyle... Oni zaatakowali, myśmy odparli... Oni nie czekali przyjazdu naszych wielkich jednostek bojowych i zawrócili... Ich wielkie jednostki bojowe nie zdążyły na czas...

Spór ten nigdy się nie rozstrzygnie, a floty stron obydwu są dzisiaj, w zasadzie biorąc, nietknięte, choć w tem zapalczywym starciu wykruszył się im niejeden ząb. Może nawet urosły jeszcze w siłę? Jutro przyjmie nas admirał Scheer na swym okręcie flagowym. Przedtem będziemy zwiedzali torpedowce, łodzie podwodne, statki wielkiego typu, warsztaty budowlane i doki. Tymczasem zaś czekał nas wieczór światła, ciepła i ciekawych opowiadań z życia morskiego.

Spędziliśmy go według programu, rozglądając się ciekawie po ścianach i twarzach, starając się wżyć trochę w duszę „człowieka morskiego“, tak różną od duszy lądowej. A nad dachem kabin, wagonowych, w których schroniliśmy się na zasłużony sen, łopotał przez noc całą gęsty, mocny wicher od morza, wiew tężyzny i swobody.

Śmierć wodna i napowietrzna.

W dokach. — Okręt na podłodze. — Jak powstaje statek? — Granaty z pod Skagerraku. — „Część żywa“ i „część martwa“. — W klatce hydroplanów. — Wielki wynalazek. — Z wody w powietrze.

Zwiedzanie Wilhelmshaven zaczęło się od portu „budowlanego“, gdzie nasamprzód zaprowadzono nas do doków.

Są ich dwa gatunki jak wiadomo: pływające i suche. Pierwsze to rodzaj obrzymich skrzyń, otwartych z jednej strony, które zanurzają się w wodę, aby mogły dnem podejść pod okręt. Gdy to się stanie, cała skrzynia wraz z okrętem podnosi się do góry za pomocą siły elektrycznej i statek osiada na jej dnie, z którego woda już spłynęła, obnażony zupełnie, gotów na przyjęcie robotników, którzy będą go naprawiali.

Dok taki jest osobnym domem sam dla siebie. W bocznych ścianach mieszczą się pokoje dla robotników, kuchnie, składy przyborów i narzędzi. Po wnętrzu okrętu rozbiega się stamtąd cała armia mrówek, które pracują na pokładzie, pod pokładem, uwieszają się na drabinach u stalowych boków, kują z ogłuszającym hałasem, albo płomieniem gazowym spajają rozluźnione i pogruchotane płyty. Statek, który nam pokazywano, lizał się z przygód pod Skagerrakiem, jak można było wyrozumieć z objaśnień. Gdzie na płytach, pomalowanych

szaro, widniały jaśniejsze linie, niby szramy po bliznach — tam zaszyto ranę, zadaną przez pocisk angielski. Gdzie widać było potężną plamę, tam uderzył granat wprost, „ein Volltreffer!“ — tłumaczyli oficerowie. Na innych miejscach, gdzie ukazywały się cętki i wgłębienia, tam zostały ślady mniejszych kalibrów, albo odłamki pękających pocisków.

Obeszliśmy wkoło, oglądając statek od olbrzymich śrub, których skrzydło ma chyba wysokość człowieka, aż do pokładu. Gdy wszystko będzie naprawione i konsylium inżyniersko-oficerskie zadekretuje, iż pacjent zdrowy, wówczas komory ścian bocznych doku wypełnia się znów wodą, cały gmach zanurzy się, okręt powoli spłynie i zainstaluje się w swym właściwym żywiole. Teraz, na suchej podłodze, wygląda olbrzymio i nieporadnie, jak gdyby w wodzie nie był czymś i lekkim mimo ogromu.

W doku widać dopiero, jak niewiele statku wojennego wystaje nad powierzchnię, a jak przeważna część spoczywa w wodzie. Te zanurzone trzy czwarte czy cztery piąte są istotą okrętu, one rozstrzygają o jego szybkości i wogóle o zaletach. Nadbudowa, którą widzimy powyżej wody, mało obchodzi w gruncie rzeczy inżyniera okrętowego. Dowiedzieliśmy się o tem później, w warsztatach. Część widzialna nad wodą ma w języku konstruktorów pogardliwą niemal nazwę „części martwej“. W tem zgodne są wszystkie języki ludów marynarskich, odnośne wyrażenie jest wszędzie dosłownym przekładem. Francuz nazywa tę część postonowaną „oeuvres mortes“, Anglik: „dead work“, Niemiec: „todtes Werk“. Natomiast to, co znajduje się pod powierzchnią morza, co pruje fale i w nich się nurza, to jest „częścią żywą“, „oeuvres vivantes“, „living work“, „lebendiges Werk“. Bo życiem okrętu jest ruch, a ten zawisł od profilu boków, od kształtu dna, od

drobnych nieraz zagieć linii, które decydują o tem, czy przesywana przez statek woda ześlizguje się dobrze po kadłubie, czy okręt tkwi mocno w morzu, oporny na straszliwą siłę wydźwigu, jaką mają kołyszące go płynne góry.

Warto słuchać tych objaśnień, udzielanych przez prawdziwie zamięłwanego marynarza — a innych jak zamięłowanych nie spotyka się pod żadną szerokością geograficzną, bo morze jest przez swych ludzi kochane do zapamiętania. Konstruktor taki ma w oczach dumę szczęśliwego ojcostwa. Pokazuje każdy szczegół, który dla laika jest i będzie zagadką mimo najtroskliwszych i najprzystępniejszych tłumaczeń; wodzi ręką po płycie stalowej jakby ją pieścił i nie strudzi się nigdy powtarzaniem, czemu taka czy inna odmiana w układzie „des oeuvres vivantes“, „części żywych“ szczególnie waży na jakości nawigacyjnej statku. Specjalizacya dochodzi tutaj do monomanii bez mała. Przeznaczenie okrętu, jego uzbrojenie, wartość bojowa, wszystko to usuwa się dla prawdziwego konstruktora gdzieś w tył, do najdalszych kątek zainteresowania. Jego obchodzi to, jak statek będzie płynął; co będzie robił, to już kłopot innych. I w tem pływaniu jest zakochany. Tak prawdziwy, zapalony fotograf-amator interesuje się swą pracą często dopóty tylko, dopóki nie wywołał kliszy; odbitka już go prawie nie zajmuje, chyba że może do niej znów przyłożyć ręki ze szczególnem technicznem staraniem.

Opodal spoczywał mniejszy statek w doku suchym. Jest to wielki basen wykopany w ziemi i wymurowany z boków oraz na dnie. Od wody oddzielają go śluzy, dno jego leży poniżej zwierciadła. Statek, który ma pójść na warsztat podpływa do śluzy, łączącej dok z portem. Gdy do niej wejdzie, wówczas olbrzymia głębia doku zaczyna łykać wodę, którą wtłaczają pompy o potężnej

sile ciśnienia; zwierciadło służy zrównywa się z zwierciadłem tak napełnionego doku i statek wpływa do basenu. Wówczas pompy wyciągają wodę i okręt powoli osiada na dnie. Idzie jednak o to, aby trzymał się dobrze na suchej podstawie, aby się nie chylił, bo groziłoby mu zdruzgotanie. W tym celu zdejmuje się poprzednio dokładny profil statku i buduje się na podłodze w basenie rusztowanie, które swemi liniami odpowiada zupełnie zarysom kadłuba. Praca ta wymaga ogromnej dokładności, pod grozą niebezpieczeństwa dla okrętu.

Po schodach kamiennych zeszliśmy w dół, gdzie na całym lesie podpór spoczywał uwięziony lewiatan, stercząc cielskiem na kilka pięter w górę. Mury basenu wznosiły się prostopadle szarym zwałem, niby jakiś grób dla olbrzymów. Statek miał trzy śruby, których potężne skrzydła, zamarłe w nieruchomości widmowej, wystawały daleko za tył kadłuba — oraz dwa stery: dwie ściany drewniane czy stalowe, okalające system śrub z każdej strony. Jeden ster to zamało dla takiego potwora. Potrzeba dwóch, chociaż manipulując zręcznie dwiema śrubami, można i bez steru okrętem kierować. Przed kilku laty jakiś kapitan Hamburg—Ameryka—Linie dostał wysoki order za to, że ze swym statkiem, skaleczonym w ster, przymanewrował tak z pod Antylli do Hamburga.

Zwiedziwszy klinikę statków, obejrzelismy ich kolebkę. Warsztaty budowy rozpoczynają się salą rysowniczą. Jest to rodzaj ogromnego strychu, o podłodze drewnianej, zamazanej tysiącem krzyżujących się linii. Gdy konstruktor narysuje plan statku w rzucie pionowym, rysownicy przenoszą go w rozmiarach naturalnych na powierzchnię tego gigantycznego rajzbretu. Rysować można kilka lub kilkanaście planów odrazu, wykreśla się je różnymi kolorami i różnym kreskowaniem. Według tego ostatecznego

schematu zaczynają swoją robotę cieśle, którzy przykrawają z drzewa części i części budowy, oraz spajają je razem, tak, iż statek, zanim powstanie w stali, jest nasamprzód cały zbudowany w drzewie. Taki model przenosi się dopiero na warsztat, znów rodzaj doku, gdzie na równi pochyłej, która sprowadzi go w morze, rośnie powoli okręt z kawałków stali i żelaza.

Wśród ogłuszającego hałasu nitują się ze sobą grube płyty. Ludzie powieszani nad przepaścią, która zieleje w głąb kadłuba, manipulują mechanicznymi młotkami i przyrządami do spajania przy pomocy gazu. Młoty terkoczą jak karabiny maszynowe, syczy niebieski płomień, echo powtarza huk i syk poczwórnym grzmotem. W tem piekle rodzi się nowy dreadnought. Budowa musi trwać lat parę. „Mam nadzieję, że w tej wojnie już nie będzie brał udziału — zauważa, śmiejąc się, inżynier, który pokazywał nam taką rozpczętą budowę—chyba w następnej...“ Dla ludzi, którzy z wojny żyją, pokój jest tylko nudną przerwą między dwiema kampaniami.

Tutaj także zaczynamy przekonywać się naocznie, czemu tak zwany „ciężki przemysł“ ma tyle wojennego animuszu. Każdy taki statek, to miliony zysku dla hut i walcowników. Rozbrojenie byłoby dla baronów stalowych tem samem, co jakiś „Czarny Piątek“ deruty na giełdzie. A każda klęska na morzu jest wygraną ich kas, bo im więcej okrętów pójdzie na dno, tem więcej zbuduje się na nowo i tem więcej złota napłynie im z pieniędzy podatkowych. Ale państwa wiedzą o tem i strzegą się ryzykować pływający kapitał flot. Eskadry chowają się troskliwie po Wilhelmshavenach i Rosythach i rzadko szukają starć. Niebezpieczną rozrywkę walki zostawia się mniejszym jednostkom bojowym, z którymi nie toną dziesiątki milionów od jednej torpedy, albo od jednego granatu, który uderzy w skład amunicyi czy w kotły.

Opodal właśnie leżała jakaś kupa gruzów, rdzą nadżartych. To kawały stali, wyszarpane granatami z żywego mięsa statków. Na każdym napis olejną farbą, pouczający, gdzie i kiedy padł cios. Parę z nich świadczy o straszliwości granatów angielskich z pod Skagerraku. Nieludzka moc pocięła złomy stalowe na grzebyczki i wyszarpała w nich koronkę. Widać, iż pocisk wchodził jak w masło, a rozbryzgując się, rwał czy topił płytę bez najmniejszego wysiłku. Mimowoli wpatrujemy się w czerwonawe, jak krwią zbryzgane strzepy, czy nie przywarł do nich skrawek munduru albo garstka włosów... Bo za tą ścianą, której szczątki objaśnia nam oficer z uśmiechem i z fachowym zapalem, znajdowali się ludzie, synowie swoich matek.

* * *

W przystani czeka łódź motorowa, aby powieść nas dalej, ku flocie i torpedowcom. Przecieliśmy szybko kawał portu, huczący od młotów i syczący parą i za chwilę wstąpiliśmy na torpedowce, które leżały obok siebie paru dziesiątkami.

Urosły bardzo od lat dwunastu, kiedy piszący te słowa miał sposobność zwiedzać flotę niemiecką w zatoce gdańskiej. Wówczas pokazywano nam mały stateczek, ledwie wystający nad morze, okolony baryerką, przez którą bez ceremonii skakały nawet szczupłe, podlotkowate fale Bałtyku, zwłaszcza gdy czółenka szło pełnym biegiem. Nie było to większe od dzisiejszej małej łodzi podwodnej i niewiele od niej nie wyższe. Dzisiaj torpedowiec pełnego morza (Hochseetorpedoboot) jest okrętem poważniejszych wymiarów wzdłuż i na wysokość, jeży się paru armatami nie najmniejszego kalibru oprócz dział szybkostrzelnych i karabinów maszynowych; posiada rury do wyrzucania torped w ilości znacznej i wogóle jest okrętem, nie jaszczurką, jak za swych skromnych początków. Smukły, gdyż musi

szybko przerzynać fale, sprawia wrażenie zwartej, skoncentrowanej siły rozpędu, także przez kominy, cofnięte w tył jak noga gimnastyka, który bierze rozpęd do skoku. W spoczynku wyglądają torpedowce tak, jak gdyby rwały się ciągle naprzód, niby konie wstrzymywane wędzidłem. Mają w sobie coś ze strzały, której przeznaczeniem jest szybkość.

Obeszliśmy taki statek od pokładu po magazyny torped, przypatrzyliśmy się manewrom artyleryjskim z armatą, umieszczoną na przodzie. Zwiedzanie nie było zbyt szczegółowe, gdyż wobec zapowiedzianej podróży na Helgoland, którą mieliśmy odbyć właśnie na torpedowcu, można było odłożyć zaznajomienie się z wnętrzem na owe dwie godziny, które trwać miała przeprawa. Teraz przepłynęliśmy szybko na drugą stronę, gdzie wznoszą się dwie obszerne szopy: stacya hydroplanów.

Pouczepiane za kadłuby, wiszą te drapieżce wojny morskiej dziobami do góry, ogonami ku posadze. Fantazya zoologa mogłaby tak wyobrazić sobie jakieś ważki przedpotopowe, które unosiły się nad mastodontami na ładzie i towarzyszyły ich tyosaurom w ich morskich wycieczkach. Przejrzyste żółtawe skrzydła w niewyraźne żyłki uzupełniają to złudzenie. Mimo rybiego kształtu korpusów wyglądają w spoczynku raczej na owady, niż na skrzydlate ryby, a najmniej już przypominają ptaki, zwłaszcza, że są uskrzydłone podwójnie: dwupłatowce. Szybkość ich dochodzi 160 km. na godzinę.

Typ bojowy, przeznaczony do walki z nieprzyjacielskimi hydroplanami, jest lżejszy, smuklejszy i odporniejszy od zwykłych wywiadowczych, a także złośliwszy. Jętki te są bardzo kąśliwe. Jedną pokazywano ze szczególną dumą, bo miała na sobie nietylko telegraf bez drutu, ale aż dwa karabiny maszynowe, opatrzone szczególnie wymyślnym

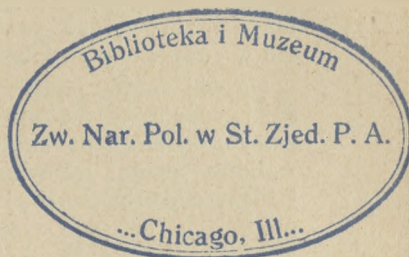
mechanizmem. Chodziło o to, aby umożliwić zamordowanie przeciwnika w locie, aczkolwiek hydroplan taki niesie tylko pilota, nie ma zaś miejsca na obserwatora, który zwyczajnie zajmuje się ewakuacją przeciwnika w lepsze światy, podczas gdy pilot tylko kieruje i patrząc ciągle przed siebie niema już czasu ani możliwości mordować skutecznie. Zresztą karabin maszynowy mieści się zwykle z tyłu, aby mieć lepsze pole strzału; pilot, siedzący przed samym śmigłem, musiałby strzelać przez nie, wiadomo zaś, że śruba obraca się z tak szaloną szybkością, iż jej wcale nie widać.

Zdawałoby się, że zagadnienie nie do rozwiązania. Jak doprowadzić do tego, aby jeden człowiek mógł równocześnie prowadzić aparat i zabijać? Ale niema takiej trudności, którejby nie pokonał duch ludzki, gdy raz skieruje się ku rzeczom wielkim. Na łeb hydroplanu nasadzono nie jeden, ale dwa karabiny maszynowe. Pilot ma je pod ręką, a mechanizm ich tak jest złączony z motorem, poruszającym śrubę popędową, że kule przechodzą przez świetlny krąg, który tworzy śmigło, z a w s z e w t y m u ł a m k u s e k u n d y, w k t ó r y m ś r u b a j u ż p r z e l e c i a ł a d a l e j w s w e j o k r ę z n e j d r o d z e. Jeśli pilot jest dobrym strzelcem, napewne rozłupie czaszkę człowiekowi na tamtym hydroplanie, albo wypuści mu kiszki. Ulepszenie to jest szczerą radością fachowców.

Z szopy wyprowadzono jeden statek powietrzno-wodny na równię pochyłą z desek, która prowadzi ku wodzie. Mielśmy ujrzeć wzlot, chociaż wiatr dał silnie, a szarpaniną, wśród nieregularnych podmuchów. Hydroplan zesunął się ku zatoce i za chwilę płynął już na dwóch hermetycznie zamkniętych czótenkach, które ma u dołu, tam, gdzie aeroplan dwa kółka z gumowymi obręczami.

Gdy śruba poszła w ruch, zaczął sunąć, potem oderwał się od wody delikatnie, prawie niewidzialnie i teraz dopiero z ważki

przemienił się w ptaka — i to wodnego, bo czółenka niósł pod sobą jak kaczka pletwy. Wkręcał się w powietrze coraz wyżej, aż do chmur, które szły nisko, a niespokojnie nad stalową falą; zataczał kręgi i furkotał niby bąk olbrzymi, póki nie wywieszono pilotowi sygnału: „Wracać!“. Wówczas motor przestał bić, ptaszysko zesunęło się spiralną linią w dół po powietrzu, jak gdyby to był ośrodek gęsty i twardy niemal; prawie widziało się serpentynę, po której zjeżdżał ku wodzie. Wreszcie osiadł delikatnie i spłynął, wsuwając się rozpedem na te same deski, z których wyruszył do chmur. Schwymano go i wprowadzono do klatki.



„U“.

Ku łodziom podwodnym. — W przystani. — Na pokładzie. — Trzeba być młodym. — Śmiercionośny zegarek. — W sztucznym powietrzu. — Wrogów dokoła. — „Zaostrzenie“. — Dementi przepowiedni. — U końca. — Nie miał szczęścia. — Cies z własnej dłoni. — Nowe typy. — Czego nie trzeba wiedzieć?

U brzegu, ku któremu zmierzała nasza łódź motorowa, leżał stateczek bardzo niski, o wypukłym pokładzie, z wieżyczką na środku, wązki a długi. Przez otwarte luki dochodziła z dołu urywkami piosenka, nuciła silnym głosem. Stalowe, na szaro pomalowane brzegi tego cygara nosiły ślady odbytej właśnie drogi, pokład był gdzieś jakby zlekka pocięty. Podpłynęliśmy. Była to łódź podwodna, jakieś „U“, o jakimś numerze porządkowym.

— Właśnie wróciła z wyprawy — objaśnił kapitan, kierujący naszym uświadomieniem marynarskiem. — Stop!

Na pokładzie przyjął gości młody porucznik, komendant owego „U“, w otoczeniu paru ludzi z załogi, również młodzieńskich. Wiek, w jakim jest się dopuszczonym do udziału w walce podmorskiej nie przekracza trzydziestki, jak się zdaje, a im od niej bardziej w tył się oddała, tem lepiej. „Do tego trzeba ludzi świeżych“ — tłumaczył kapitan, oprowadzający po porcie. — „Takich trudów nie wytrzymuje się w wieku późniejszym“.

Zrozumieliśmy to, obejrawszy owe ziszczone marzenie Juliusza Verne. Po zejściu do wnętrza, okazało się, czemu załoga takiego stateczku musi być gotową nie z łaski brzytwy, jak przeważnie marynarze, ale z cudnego przywileju młodości.

Dopóki łódź podwodna nie odpowiada swej nazwie, tj. dopóki płynie po wierzchu, załoga jej mogłaby składać się nawet z inwalidów, dzięki jędrnemu powietrzu morza, jakim oddycha się na wąskim, spadzistym pokładzie, dokoła wieżyczki komendanta, wznoszącej się dość wysoko i zakończonej, jakby kijem, peryskopem, tj. lunetą, która przez system pryzmatów i zwierciadeł sprowadza obraz horyzontu do oka, chociaż sterczy prostopadle w górę. Peryskop taki jest — mówiąc nawiasem — wynalazkiem dawnym, używa się go teraz i w rowach strzeleckich, aby widzieć teren, nie wystawiając głowy na powietrze, zaludnione kulami. Dla łodzi podwodnej, która skryła się w fale, peryskop jest jedynym punktem styczonym ze światem, który oddycha płucami, nie skrzelami. Bez niego łódź ślepnie i musi wypłynąć.

Otóż z chwilą zstąpienia w głąb, załoga łodzi podwodnej istotnie potrzebuje swych lat dwudziestu paru, aby wytrzymać wszystko, co ją czeka. O ciasnocie, jaka panuje w kadłubie, trudno dać wyobrażenie. Gdy nam wskazano uprzejmym gestem pierwsze otwory, któremi trzeba było zstępować do wnętrza, niełatwo było pogodzić się z faktem, że tamtędy w istocie może przedostać się ktoś będący człowiekiem, nie kotem. A całe urządzenie budzi ustawicznie myśl, iż obecność człowieka jest tam ledwie tolerowaną. Wszystko — dla ludzi tylko tyle miejsca, ile zostanie — oto zasada, jak gdyby wypisana na każdej ścianie. Ma się wrażenie pobytu w zegarku. Kolby, klamki, śruby, wolanty jak u samochodu, wentyle, rury, druty, splatają się w

gąszez nierozwikłaną na pozór. Wszystko lśni niklem, miedzią i lakierem różnych kolorów, gmatwa się w oczach, doprowadza niemal do bólu głowy na myśl, że są ludzie, którzy muszą znać przeznaczenie każdej śrubki i trafić do niej chociażby po ciemku, bo gdy zakręcić zły wolant, lub pociągnąć za niewłaściwą rączkę, to przekleście posłuszna maszyna wypełni ślepo rozkaz sobie wydany, a wówczas, przy pewnej złośliwości losu, może być bardzo nieprzyjemnie.

A duszno! Łódź jest teraz na powierzchni, wszystkimi lukami wpływa powietrze, maszyny w spoczynku, a jednak płuca pracują z wysiłkiem, ledwie łapiąc oddech zągęszony wyziewem smarów, a wymierzony tak szczupło w niewielkiej, maszyneryą zawalonej przestrzeni. Cóż musi dzieć się gdy do rezerwoarów bocznych wejdzie woda, gdy maszyny ropne staną, a stalowa ryba zacznie poruszać się siłą elektryczną pod falami? Jeżeli odliczymy powietrze, które odkrada mechanizm, meble, torpedy spiące pod podłogą czy zawieszzone niby w namakach, to bodaj czy dla jednych płuc zostałoby się czem odetchnąć przez pół godziny. A oddycha ich kilka dziesiątków, chociaż smarowidło tłoków i trybów zatrzuwa atmosferę, a wyziewy kuchni, oraz ciał w ciężkiej pracy również jej nie ulepszają. — Z pomocą przychodzi chemia. Powietrze zużyte filtruje się przez stosowne preparaty, które zabierają cząstki zepsute; butelki z tlenem zgęszczonym wyrównują to, co płuca spożyły. Ale czy ten surogat wojenny zastąpi powietrze prawdziwe? Trzeba w istocie mieć płuca nieużyte, zdrowe, aby zadowolily się tak rozpaczliwie spartańskiem odżywieniem. W głębi zaś siedzi się nieraz długo, bardzo długo, nim można wynurzyć się znów na świat i na światło. Czasem pędzi się godzinami za nieprzyjacielem, czasem nieprzyjaciel godzinami uganiania się za peryskopem, prującym wodę delikatną bru-

zda, która zdradza, że pod powierzchnią sunie najstraszniejszy rekin mórz dzisiejszych. Przez te godziny, wlokące się bez końca, pracuje się w ciasnocie która nie pozwala niemal na wyprostowanie grzbietu, pracuje się ciężko i ciężko oddycha powietrzem z flaszki. Młodym i zdrowym trzeba być na to — inaczej trzeba szukać śmierci gdzieś indziej.

Przeszliśmy ten straszny przyrząd w szerz, wzdłuż i w głąb, przeciskając się przez drzwiczki i chwytając różnych poręczy przy schodkach, będących miniaturowymi drabinkami. Oficer nie silił się nawet objaśniać szczegółów maszyneryi, którą ledwie fachowy mechanik mógłby po dłuższych studiach rozplątać tak, aby weszła mu w głowę. Tylko najgrubsze zarysy docierały nam do świadomości: tutaj motory ropne, tutaj kuchnia, na której gotuje się elektrycznością, tutaj motory elektryczne, tam rodzaj kojca, będący kajutą oficera dowodzącego, tam tłoczy się załoga wśród haków, śrub i torped. Ludzie rozbierają się do naga i potracają łokciami, jedzą, śpią nawet czasem i słuchają gramofonu, który z osobnej pułeczki wyśpiewuje im swoje trele: jedyna rozrywka pod wodą. I tak żyją, póki oficer u peryskopu nie da znać maszynistom, że już można opróżnić komory z balastu wodnego i wyjść na wierzch, ku słońcu.

Łódź, po której stąpamy, wróciła niedawno z oceanu. Odpocznie i znów wypłynie tam, gdzie jest ciągle myśliwym i zwierzyną zarazem. Szuka, coby ukąsiła na śmierć, ale równocześnie jest szukana. czekają na nią torpedy podwodnych koleżanek, „statki—pułapki“, krążowniki i kontrtorpedowce, wpatrzone paszczami w wodę, czy nie ukąże się jaki peryskop. Nad falami unosi się hydroplan i ślepiami swych lunet przewierca wodę, czy w głębi nie sunie złowroga ryba ze stali. Wróg to niebezpieczny, bo on jeden widzi przy dobrej pogodzie całą łódź

podwodną, z której tylko peryskop mogą wysledzić inni myśliwcy. On też kieruje na łuskę pancerną ogień swego karabinu maszynowego albo bombę, która może przelecieć przez stal i ugodzić maszynę w płuca. Pod wodą zaczęła się znów sieć druciana, której oczka chwytają potwora elektrycznego za łeb i nie puszczają, chociaż rzuca się w skurczach w tył i naprzód. Łódź podwodna jest ścigana tak jak okręt piracki; dzień, w którym wypływa na skrytobójczą podwodną zasadzkę jest jej dniem ostatnim z daleko większą szansą prawdopodobieństwa, niż przy każdym innym statku. Nie daje pardonu, więc go nie dostaje. Topi statki handlowe pod flagą nieprzyjacielską, topi neutralne, topi wszystko wogóle, co znajdzie się w obrębie jej rur torpedowych, a nie jest okrętem wojennym niemieckim lub sprzymierzonym. Bo od trzeciego sierpnia 1914 roku flaga handlowa niemiecka zniknęła z mórz, statki zostały zapędzone blokadą angielską w porty własne lub wówczas jeszcze neutralne, z których wybiera je teraz, jak ryby z saka, każde państwo, które wpisuje się kolejno na rejestr nieprzyjaciół Niemiec. Więc cokolwiek pokaże się w pasie pustki i śmierci, którym Niemcy usiłują zamknąć wybrzeża nieprzyjacielskie, to jest brane na cel, aby zapadło w mokraćnicę.

* * *

Pierwsze dni t. zw. zaostrej walki łodziami podwodnymi wstrząsnęły światem wojującym po tej i po tamtej stronie frontu. Gdy Niemcy zapowiedziały, iż będą topić w strefie oznaczonej wszystkie okręty handlowe i gdy oświadczyły, że statki, które w ten pas wjeżdżają, „czynią to na własną odpowiedzialność“, czyli, że mogą być topione razem ze załogami—świat napęłnił się hałasem, w którym dwa dominowały głosy. Po stronie koalicji protestowano przeciw takiej zmianie przepisów wojny morskiej. przeciw

przejściu do porządku nad zasadą, że statki handlowe neutralne przeszukuje się, jeżeli są podejrzane o kontrabandę i w danym razie odprowadza do portu, jak do areztu, zaś nawet na nieprzyjacielskich nie topi się załogi. Wewnątrz Niemiec podniósł się głos inny. Ludzie, którzy wierzą w przemoc, obwieszczali jej rychłe zwycięstwo. Było to 1 lutego 1917. Dzisiaj admirał Tirpitz i jego otoczenie polityczne zaprzeczają, jakoby ktokolwiek i kiedykolwiek zapowiadał wygłodzenie Anglii przez łodzie podwodne w ciągu kilku tygodni, czy kilku miesięcy. Dokumenty mówią co innego. W pierwszych dniach lutego, zaraz po zaostreniu walki podwodnej, złożył kanclerz w komisji głównej Sejmu Rzeszy oświadczenie, iż „sztab admiralicyi i flota wojenna żywią silne przekonanie wsparte doświadczeniami w wojnie podwodnej, iż Anglia będzie zmuszoną orężem do pokoju“. A poseł sejmowy pruski p. Willy Baemeister, lew aneksjonizmu i kapłan opancerzonej pięści, opublikował w „Das Groessere Deutschland“ z d. 10 lutego cytaty z memoriału sztabu admiralicyi, ułożonego jeszcze w lutym roku poprzedniego, 1916, w którym admiralicya oświadcza, iż przy bezwzględnem prowadzeniu walki łodziami podwodnymi „Anglia będzie zmuszona do pokoju w czasie możliwym do obliczenia (absehbar), najpóźniej w sześciu miesiącach“. A p. Baemeister dodawał od siebie, iż z braku tonażu do przewozu żywności Anglia będzie musiała nasamprzód zwinąć armię salonicką, gdyż nie będzie statków, aby ją zaprowiantować, następnie armię mezopotamijską; wreszcie armię na froncie francuskim. „A na tym ostatnim punkcie jest przymierze między członkami koalicyi — śmiertelne. Anglia zaś nie będzie mogła czekać dłużej jak parę miesięcy, potem zaś będzie musiała pomyśleć o osłabieniu tego frontu“. Wreszcie przypomniał p.

Bacmeister panikę wśród marynarzy, która sprawi, że statki neutralne będą się strzeżły wjeżdżania w strefę neutralną, zaś żegluga neutralna decyduje o 45 procent dowozu żywności dla Anglii. „To wszystko — kończył — i jeszcze wiele innych momentów daje nam pełną zaufania pewność, że teraz wojna światowa będzie wygrana przez Niemcy; będzie wygrana powaleniem Anglii na ziemię. Brak tonażu ją rozstrzygnie“.

Rok wkrótce upłynie, jak łódź podwodna raz po raz wyjeżdża spełnić tę misję. Bardzo często wraca. Dokładnych strat nie znamy, zapewniano nas, że są niewielkie. Długo topi „U“ handlowce i wymyka się śmierci, aż czasem odwraca się karta. Z pokładu barki, którą chybiła jej torpeda, odsloni się działo obronne i paru celnymi pociskami spłaci rachunek wszystkich handlowców neutralnych i nieprzyjacielskich, które poszły na dno razem z załogą. Pocisk przebija stalową płytę i eksploduje w ciasnocie mechanizmu, a wówczas przez ziejący otwór wpada morze. Wlewa się z sykiem, jak gdyby chichotało, iż nakoniec ma w swej mocy ten twór, który tak długo mu się opierał, tę istotę nie przez siebie wydaną, a jego płodom tak podobną, tę zuchwałą imitację żywego mieszkańca oceanowych głębin — rybę, wymyśloną przez człowieka. Fala wypełnia kadłub. Koniec zasadzek, koniec rozwozowi śmierci podwodnej. Dławi się wodą kunsztowny mechanizm, stają kółka, martwieją kolby, tknięte paraliżem, przestaje bić serce motoru; to, co przed chwilą było jeszcze żywym potworem, zjeżdża na dno jako stalowa trumna.

„...Jedna z naszych łodzi podwodnych nie wróciła do swej podstawy operacyjnej“.

* * *

Nasz oficerek prawi wesoło o ostatniej podróży; chociaż zatopił niewiele, coś parę statków tylko. Tamten obok miał więcej szczęścia. Wpadło mu pod torpedę kil-

kanaście tysięcy tonn. Ale wkrótce znów ruszy, może powiedzie się lepiej? Tymczasem przyjemnie odpocząć, odgrzyść się trochę, bo kuchnia podwodna nie bardzo urozmaicona. Człowiek zobaczy się ze znajomymi, pogada, pożartuje, a potem na ocean. Biorąc wszystko razem i jedno w drugie: piękne życie, tyle wrażeń...

Oficer ma okrągłą twarzyczkę, niemal buziak; oczy uśmiechnięte młodzieńczo cieszą się słońcem, które właśnie rozdarło chmury. Oparł się o wieżyczkę i objaśnia, jak trzeba skradać się pod statek płynący, celować i zatapiać. Widać, iż zadowolony ze swego zajęcia. Powinien być wdzięczny inżynierowi francuskiemu, Gustawowi Zeđe, że przed laty ziscił po raz pierwszy fantazyę Juliusza Verne, budując dla Francyi pierwszą łódź podmorską, a nie wiedząc z pewnością, jak przysłuży się admiralicyi niemieckiej. Bo podczas gdy marynarka francuska dogorywała na rękach bezmyślnego radykalizmu, w latach 1894 do 1904, wtedy właśnie Niemcy kuły oceanowy rynsztunek z całą metodyką swego „Sitzfleischu“. Kamil Pelletan, z rewolwerowego dziennikarzyny minister marynarki, obwoził po arsenałach swoją obficie winem zlewanaą brodę i przyjmowany przez robotników wojskowych pokłonem czerwonego sztandaru odprawiał libacye na cześć wiecznego pokoju. W sztabie admiralicyi niemieckiej studyowano tymczasem łodzie podwodne, próbowano typy, budowano pilnie, niszczone, aby zbudować lepsze. Jak rzadko słyszy się dzisiaj o tulońskich „sous-marins“. Za to Francya i Anglia razem wzięte muszą wytrzymywać dzisiaj ciosy, zadawane przez geniusz francuski dłońią niemieckiej zdolności przyswajania sobie pomysłów i świadomości celu, którym była odległa jeszcze wojna...

Długo prawil nasz przewodnik o nowych typach łodzi podwodnych, które coraz się powiększa i ulepsza. Są dzisiaj daleko dłuż-

sze i pojemniejsze od tej, na której stoimy. Mają działa i karabiny maszynowe, mogą odpływać od podstawy operacyjnej bardzo daleko. Nie lękają się burzy, bo dość zjechać kilka metrów pod szalejące fale, aby znaleźć spokój jak na najcichszym stawie. Niemcy zawdzięczały im w najtrudniejszych czasach oparcie moralne, które płynęło z nadziei, iż te małe stateczki zatryumfują nad Anglią, gdyż za głodową jej blokadę odpłacą wygłodzeniem. A nie mówi się prawie o tem, że zawdzięczają im także wojnę z Ameryką, wojnę, którą prezydent Wilson ogłosił jako krucyatę przeciw „zaostrzonej walce podwodnej“. Ameryka? I z nią się spróbujemy — dopowiadają w oczach szefa „U“ błyski stalowe, które ten nawpół dziecinny wzrok zaprawiają nagle czemś ostrym i zaciekłym. Tak musi wyglądać nasz młodzieniaszek, gdy zobaczy w peryskopie żer dla swej torpedy.

Ale to tylko chwila. Teraz ma znów lat dwadzieścia parę, cieszy się na porządny obiadek, a wieczorem w kasynie będzie śmiał się z anegdotek tak serdecznie, jak gdyby całe życie miało spłynąć mu w fotelu bujającym, nie na milimetr od śmierci. I to jakiej! Marynarz na tonącym pancerniku ma nad sobą niebo, pod nogami deskę, która może go jeszcze ocalić, w płucach powietrze, którem żyje. Na sekundę przed śmiercią, chwytając ostatni wdech, może pomyśleć sobie: jeszcze nie wszystko stracone. *Dum spiro, spero.* „U“ sunie pod wodą. Nie ma powietrza, nie ma słońca, nie ma nawet ostatniego spojrzenia na świat, gdy trzask fatalny pobielł twarz świadomością, że już się stało. Słony potop zalewa ciasnotę, krzyk zamiera w ohydny bulgocie, ludzie idą z pod wody na dno, ze swym statkiem u szyi...

„Młodym być trzeba, aby wytrzymać takie trudy służby“ — powtórzył szpakowaty kapitan, gdy nasza łódź motorowa odbijała

od „U“. Młodym być trzeba — dopowiedzieliśmy sobie — aby wytrzymać ucisk psychiczny takiej służby, a raczej, aby go nie czuć. Trzeba nie wiedzieć jeszcze, iż życie jest tak nie nie warte i tak bezcenne, że się je tak przeklina i tak namiętnie kocha. Jednym słowem: trzeba go nie znać.

Na Helgoland.

Na torpedowcu. — Flota. — Odwiedziny „Baden“. — W kazamacie pancernej. — Pełne morze. — Wśród tańca fal. — Na pokładzie i na dole. — Łąd!

Torpedowiec, którym wyruszyliśmy z Wilhelmshaven ku Helgolandowi, sunął tak spokojnie, iż na obliczach niektórych towarzyszy wycieczki poczęły zapalać się uśmiechy, wycelowane złośliwie w nas niewielu, którzyśmy wróżyli — nie bez pewnej uciechy — że Neptun będzie zbierał sute obietty od niewdrożonych jeszcze w jego służbę, bo wiatr dmie i morze na pewne potańczy. Żartowano z nas i naszych przepowiedni. Wiedeńczycy i Peszteńcy, którzy zrazu odnosili się do morza z ostrożną sympatją, poczęli się z niem bratać. Ten i ów nasunął czapkę bardziej na bakier, paru zapaliło bez ceremonii ogromne cygara i rozstawiwszy szeroko nogi dowcipkowali na temat „wilków morskich z Galicyi“, co to straszą Bóg wie czem, podczas gdy na statku jest równie przyjemnie, jak na lądzie.

Po bokach uciekał tymczasem port zamknięty. Jeszcze ciągle port, chociaż dobre dwadzieścia minut byliśmy już na pokładzie i chociaż brzegów nie można było rozróżnić w mgłę porannej. Płynęliśmy jak w szpale-rze stalowym, bo środkiem eskadry, która właśnie otrzymała była rozkaz wyruszenia na pełne morze. Pancerniki wyciągnęły się

w dwie linie, jeden za drugim w odstępach matematycznie wymierzonych, jak się здаwało, każdy w pięknym pióropuszu czarnego dymu. Cicho posuwało się naprzód to miasto z żelaznych kamienie, szare i zwaliste, obwieszane chorągiewkami, które furkotały na wietrze. Majtkowie wyliczali poszczególne „klasy“, czyli typy okrętów i nazywali każdego giganta po imieniu. Na niektórych widziało się głębokie szeregi marynarzy, którzy robili ćwiczenia gimnastyczne. Wysoko nad pokładem ukazywał się czasem żołnierz z chorągiewką w każdym ręku: sygnalista, który, jak żywy semafor, wymachiwał bezustannie ramionami. Statek wyglądał wówczas jak chrząszcz, ruszający wąsami.

Największego z tych olbrzymów, statek liniowy „Baden“, zwiedziliśmy właśnie podczas przyjęcia u admirała-komendanta Scheera. Z krótkiego pobytu została nam pamięć ogromu, porządku i stuku. Prowadzono nas przez długie korytarze do składów torped, gdzie u sufitu wiszą na windach cygara stalowe. W kuchni przez drzwi uchylone widzieliśmy kotły makaronu włoskiego, który obficie zadowalał apetyt marynarzy, rozbudzony morskiem powietrzem. Weszliśmy do pancernego sanktuarium, w którym przebywają w czasie bitwy dowodzący oficerowie. Wieża jest tak ciasna, że muszą stać obok siebie, łokciami prawie się stykając, każdy przy aparacie, który jest mu powierzony. Są to przyrządy do przyjmowania i podawania komend: puszki oszklone, w których na ciemnym tle ukazują się jasne litery i znaki; słuchawki telefoniczne; tuby do rozmowy z maszynami. A w tej forteczce znajduje się jeszcze jedna, wewnętrzna, schowek, do którego pakuje się na czas bitwy admirał, dowodzącego eskadrą, bo on jest mózgiem wspólnym tych wszystkich statków, więc nakłada się mu niby podwójny hełm ze stali.

Wreszcie zademonstrowano ćwiczenie z nabijaniem armat w kazamacie pancernej na przodzie statku. Obracalna kopuła przykrywa dość obszerną przestrzeń, w którą sterczą dwa bloki stali: dwa zamki dział o kalibrze 38.5 centymetra. Na przesywający gwizd podoficera, żołnierze, którzy majstrowali coś na boku, przyskakują do armaty, każdy na wyznaczone miejsce i stają jak wryci w stalową podłogę. Jest ich ośmiu czy dziesięciu. Drugi gwizd. Jakiś wykrzyk. Zrywa się łomot i huk. Jakieś łańcuchy chrzęszczą o siebie, podłoga otwiera się, z boku wyskakują windy czy szczypcę, kawał armaty odpada od dołu i zwisa, ukazując ziejącą dziurę, w którą ma wleźć pocisk i worek z prochem. Po sekundzie, gdy żołnierze wykonali ruchy ładowania z precyzją i martwością automatów, wszystko zamyka się znowu, armata gotowa do strzału. Chwila na wypalenie i znów piekielna trzaskanina metalu o metal daje znać, że nowy pocisk w przygotowaniu. Jest się jak w środku burzy z nieustannym grzotem, kopuła jeździ na prawo i lewo, armaty podnoszą się i zniżają, przeszukując paszczami horyzont, który mogą zarzucić granatami potwornej wielkości. Niosą dalej, aniżeli widać na morzu — jak określił oficer-artyleryzista. Czyli, że są zanadto dalekonośne?!

W salonie krótko przemówił admirał Scheer, wzmiankując paru słowami o bitwie pod Skagerrakiem, bez przechwałek, bez powtarzania co chwila „wielkie zwycięstwo“. Widać, że reklamy zostawia się dziennikarzom, zgodnie z duchem podziału pracy i organizacji. Admirał Scheer wspomniął raczej, że flota niemiecka nie dała się pokonać, czy coś w tym rodzaju i wogóle przemawiał bez frazesów, spokojnie. Spokój jest główną cechą żołnierza-marynarza i to nie taki, który otrzymuje się przez tłumienie niepokoju wysiłkiem woli, lecz istotny, z którego wypłuto nerwy do ostatniego włókienka.

Mijamy teraz ostatnie pancerniki, bo torpedowiec pędzi od nich szybciej. Ukazuje się szereg statków nieruchomych na wodzie, rozstawionych w wymierzonym dystansie. „To pontony, które trzymają sieć, zamykającą port przed łodziami podwodnymi“ — objaśnia kapitan. — „Wjeżdżamy na pełne morze...”

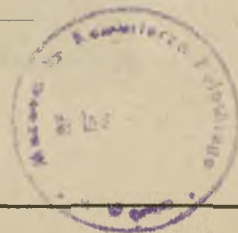
Objaśnienie przyszło o sekundę za późno, fala była już na pokładzie i na naszych palotach. Z lewego brzegu torpedowca trysnęło to jak fontanna i z pluskiem ochrzciło niejednego reprezentanta Austrii i Węgier. Statek podniósł się elegancko do góry, potem zjechał nosem w spienioną wyrwę i znów umył się od stóp do głów, otrząsając się jak gdyby z lubością, że woda taka zimna i orzeźwiająca. Po butach ciekły strugi, czapki przyległy do włosów, a z pod czapek strzelał wzrok nie tak rycerski, jak w zaciszy portu... Chwila zdradzieckiego spokoju, potem nowy skok i dwie odrazu fontanny, potem długie, powolne spadanie w przepaść, potem huśtawka na jeden bok i na drugi i — rezultat: ręce szarpiące kureczowo poręcz, wytrzeszczone oczy, „gdzie tu się idzie do kajuty?“, „niech to jasne piorny...!“ Marynarze miłośnierze wspierali nieszczęśliwych, piesek okrętowy obwąchiwał ich z oznakami żywego współczucia i tak opróżniło się trochę na pokładzie. Odporniejsi zostali na wierzchu, dotrzymując towarzystwa „wilkom morskim“, wyszydzanym zlekka, a przed czasem, w kajucie zaś dopełniały się losy tych, którym nie przypało w udziale „władztwo mórz“ pod kątem wytrzymałości żołądka.

Mieli czego żałować. Morze wystąpiło z dużą okazałością, nie szzczędząc kosztów na fale i na pianę. Torpedowiec skakał z wału na wał, nurzał się i podnosił, tańcząc przy muzyce wichru bez chwili wytchnienia. Słone kosmyki latały w powietrzu, bryzg za bryzgiem smagał baryerę i pokład, jakby

niewidzialna ręka zaciniała batem pędzący stateczek. A od dołu wznosiła się i opadała toń ciemno-zielona, niby olbrzymia sztuka materyi obramowanej białą koronką, mieniąca się pawio na każdym fałdzie. Wpartszy się w pokład, wpół ogłuszeni i wpół oślepieni wciągaliśmy wszystkimi zmysłami potęgę morza. W północy prawie mijały kwadransy, potem godziny; nie opatrzyliśmy się nawet, jak mgła przed nami zaczęła zgęszczać się w jakiś kształt twardszy, aż wreszcie zabłysnęła jasną czerwienią.

„Dopływamy!“ — wrzasnął ktoś, przerykując szum i gwizd przestrzeni. Z morza wyrastał prostopadle jakby szczyt zatopionej góry, czerwonawy, upstrzony w kreski i placki, zblizka już wyraźnie trójkolorowy.

„Rot ist die Wand, grün ist der Strand, weiss ist der Sand — das sind die Farben von Helgoland.“ Tak zadeklamowała postać o wymownie zielonej cerze i oczach podkrążonych, wylaząc mężnie z pod pokładu i usiłując wydobyć z siebie głos prądem nieprzerwanym, chociaż torpedowiec hulał jeszcze z dużą ochotą i nie wskazywało na to, aby zaraz miała ustać przyczyna dotychczasowych skutków. Rychło też przerwała się deklamacya i dobry kwadrans upłynął, nim dobiliśmy do brzegu. Niektórzy z pod pokładu mieli taką minę, jak gdyby z trudem powstrzymywali się przed ucałowaniem zacnej, nieruszającej się matki ziemi. Ale dotknąwszy jej, poczuli w sobie moc Anteusza i wielką rycerskość na morskie przygody. Męstwo to nie opuściło ich aż do wejścia na statek z powrotem. To znaczy przez pół dnia, które spędziliśmy na Helgolandzie.



„Czerwona Skala“.

Zły interes. — Cierń. — Wyspa-forteca. — Dr E. B. — Niespodzianka. — Armaty i kultura. — Wśród przechadzki. — Pustka. — Wolność mórz. —
Może w Paryżu?

Dzień, w którym Anglicy sprzedali Helgoland Niemcom za pewne ustępstwa w Afryce był jednym z tych niewielu dni, w których najlepsi kupcy świata zrobili lichy interes. Niewiele lat upłynęło od podpisania tego kontraktu, a już przekonano się w Londynie, że racyę mieli ci, co chcieli zatrzymać w ręku ów kawał czerwonej skały, który sterczy z morza przed samem wejściem do Wilhelmshaven i broni dziś wstępu do azylu niemieckiej floty wojennej z taką samą niewzruszonością, z jaką służyłby dzisiaj za podstawę do ataków na to gniazdo pancerników, gdyby był w ręku Anglii. Helgoland mógł być ciemiem w żywym ciele potęgi morskiej Niemiec — stał się jej tarczą.

Podobno w czasie układów o tę niefortuną transakcyę tłómaczyły dzienniki angielskie, iż Helgoland i tak niedługo pożyje, gdyż fale kruszą go kamień za kamieniem. Jeżeli Niemcy chcą go kupić — tem lepiej. Kupią kawałek lodu, który topnieje w palcach. Wiemy z trzyletnich doświadczeń, że dziennikom nigdy nie braknie na genialnych argumentach. Cóż jednak z racyi dyalektycznej, skoro fakty przeciw niej się obróca? Helgoland istotnie kruszył się, lecz przestał. Dano mu przewiązki z muru, zagipsowano stopy cementem i staruszek już się nie roz-

klei. Co więcej: zaczął rosnąć. Niestychającym wysiłkiem pracy i pieniędzy wydarto morzu kawały brzegu i wyspa jest dzisiaj większą, niż w chwili nabycia. Wszędzie zaś, gdzie tylko znalazł się kawałek skały nadbrzeżnej — a Helgoland jest właściwie cały jednym brzegiem — nasadzono go fortami, forty naszpikowano rurami armatnimi i dzisiaj Helgoland leży u wrót morskich do Niemiec, jak złośliwy brytan, tocząc w koło ślepiami lunet, gotów ukąsić granatem każdego, ktoby postawił nogę na odległość jego paszczy.

Z dolnych budynków portowych, gdzie demonstrowano nam trudności robót około tego ustalenia wyspy, zjadanej przez morze, pojechaliśmy kolejką nadbrzeżną ku miasteczku, które wspięło się na skały kilku dziesiątkami domków, może setką. Białe chałupki z czerwonymi dachami przyłgnęły do skał. Na każdej prawie sztyd restauracyi, pracowni fotograficznej, jakiegoś sklepiku. Dziś wszystko to zamarło. Ludność cywilna prawie cała wyewakuowana, pozostali tylko robotnicy i marynarze, pochowani w kuzmatach skalnych i w małych koszarach koło fortów. Ośrodkiem życia jest naturalnie kasyno oficerskie, gdzie zbiera się na posiłek dowództwo tej kordegardy w morzu. Tam też zaprowadzono oczekiwanych gości, aby skrzepili się przed spacerem po groźnej wyście.

Przyjęcie to nie różniłoby się wiele — przynajmniej dla piszącego te notatki — od wszystkich innych, które już przebyliśmy i które jeszcze nas czekały, gdyby nie przypadek, który dziwnie czasem rozrządza się biletami wizytowymi i tym razem kartkę z nazwiskiem W. N. umieścił obok kawałka bristolu, zapisanego słowami: „Dr E. B. Leutenant d. R.“. Ostatnie dwie litery były już odrazu czemś sympatycznym: porucznik rezerwowy, więc człowiek cywilny w mundurze — w dodatku doktor? Jakiż to fakul-

tet wydelegował na Helgoland swego przedstawiciela, na przyjęcie podróżnika z bardzo dalekiej strony?

Przed biletem usiadł człowiek młody, lat trzydziestu może, o twarzy zupełnie cywilnej, z oczami marzyciela lub uczonego lub uczonego marzyciela. Wymiana nazwisk nastąpiła po stronie umundurowanej w tonie wcale nie tak groźnym, jak tego wymaga dystynkcyja Prus militarynych — więc inaugurowała tembardziej obiecującą rozmowę, której wstęp najwygodniejszy dawno już podszeptało gościom doświadczenie, zdobyte na „jedzeniach uroczystych“ (Festessen). Początek taki otwiera szerokie perspektywy na elokwencyę zapytanego, a brzmi krótko:

— Jak pan tu dawno stacyonuje, panie...?

Tutaj tytuł: poruczniku, majorze, pułkowniku, aż do ekscelencyi wzwyż. Poczem na twarzy zapytanego maluje się niewypowiedziana radość, że nie potrzebuje łamać sobie głowy nad zabawianiem gościa — na to go przecież posadzono — zaś gość ma najmniej trzy minuty spokoju na zjedzenie zupy, a zarazem na obmyślenie, o którą część odpowiedzi zacząć dalsze, równie w plon obfite pytanie?

Ziarnko to posiane na Helgolandzie weszło jednak plonem przewrotnym. Zapytany odpowiedział krótko, ale tak, iż pytający z całą przyjemnością poświęcił znaczne ilości zupy i potraw następnych, aby mieć czas na dalsze kwestyonowanie i na rozmowę.

Okazało się, iż dr E. B., który od lat trzech wypatruje sobie na Helgolandzie oczy, czy nie nadpływają statki angielskie, lub czy nie nadlatują francuscy lotnicy, wolałby — gdyby to było możliwe — psuć sobie wzrok nad angielskiem wydaniem Szekspira, albo nad dobrym komentarzem do Moliere'a. Jest bowiem z zawodu profesorem gimnazyalnym (Oberlehrer), a to romanistą, z dodatkiem angielszczyzny, przedmiot swój

uwielbia i nawet urządził tutaj, na uzbrojonej skale, kursy tych języków, aby czas między wartami i ćwiczeniami jakoś spożytkować dla kultury...

Rozmowa lotem hydroplanu sfrunęła z fortyfikacyj Helgolandu na Paryż, Londyn, Rzym... Przetrwała rybę, pieczeń i „Kuchen“. A gdy po kawie całą wycieczkę popędzono ku nadbrzeżnym armatom, oficer-romanista upewnił się delikatnie, czy dziennikarz bardzo jest spragniony ewolucyj przy lądowaniu i celowaniu, a otrzymawszy odpowiedź jasną, zaproponował wizytę u pani natury: przechadzkę po wyspie, rodzaj tour de propriétaire, jeżeli entuzyastę pejzażu weźmiemy prawniczo za jego właściciela. Uprzejmości tej zawdzięcza dziennikarz najmilsze może wrażenie ze wszystkich, jakie mu pozostawiła czternastodniowa wędrówka między armatami i toastami. Jest to wspomnienie, jak w samym środku fortecy zapomniał o wojnie, przy żołnierzu — o nienawiści, a pośród armat przypomniał sobie kulturę.

* * *

Więc Helgoland jest to jedna ogromna skała. U stóp jej rozbijają się ciemno-zielone fale, które tego dnia pędził wicher zachodni na prostopadły prawie brzeg i rozbijał na nim wśród pogwizdu i szumu. Morze Północne ma na czole zawsze takiego marsa, że dzień podobny nazywa się pięknym, niemal cichym, choć człowiek lądowy nigdyby nie wpadł na takie określenie, widząc horyzont jak pocięty w zęby i białe stada baranków na każdym wale wodnym. Wicher hulał tak, że wyszedłszy na ścieżkę, która obiega wyspę dokoła samym szczytem, musieliśmy co chwila chwytać za żelazną balustradę, bo inaczej trzebaby pogodzić się z pozycją leżącą.

Skałę pokrywa tu i ówdzie garść ziemi, prawdopodobnie nawiezionej, a obrosłej suchotniczą trawą. Tworzy ona plamy na sza-

rawo-czerwonej pustce. Przeszliśmy koło grupy domków, wybiegającej od miasteczka ku wybrzeżu. Wszystkie mają teraz płaski dach, a właściwie nie mają go wcale. Wiązanie dachowe zgolono razem z blachą pokrycia, gdyż przeszkadzało armatom patrzeć na drugą stronę i może utrudniało obserwację morza. Brzeg sam pusty zupełnie. Tak przynajmniej wydawało się, póki na ziemi nie zaczęły migać jakieś zamazane kształty. Ruch był regularny i powolny, trudny do określenia. Zbliżka okazało się, że mamy przed sobą kopuły pancerne, osiadłe przy ziemi jak olbrzymie grzyby bez trzona. Z kopuł tych sterczały długie armaty pomalowane na jasno-zielono, tak, jak ich domostwa. Całkiem z bliska, gdy zaczęto ćwiczenia w celowaniu, miało się wrażenie, iż to ruszają się wasy jakiegoś potwornego chrabąszcza.

Helgoland jest obstawiony takimi kazamatami raz przy raze. Osobno stoją w do-brem schowaniu baterie ciężkich haubic i działa do obrony przed lotnikami, tak zwane „flaki“ — (Flug-Abwehr-Kanonen). W niskich barakach lub pod ziemią mieszka ich obsługa. Widzieliśmy oddział taki ćwiczący się w maskach gazowych, które do twarzy przyprowadzają długi ruchomy nos, i robią z człowieka coś w rodzaju tapira, któremu wdziano okulary. Baterie i wieże pancerne przywarły do ziemi; z wierzchu pociągnięto je farbą jasno-zieloną, na której wyskakują czerwone zygzaki. Idzie o to, aby lotnicy i kanonierzy na statkach nieprzyjacielskich nie mogli rozróżnić tych schowań od skały, więc miesza się jasno-zielone plamy z czerwonymi, co zdaleka zlewa się w jeden ton czerwony, jak tłumaczył mój profesor-oficer. Impresyonizm na usługach wojny.

Niedługo oglądaliśmy te skarby cywilizacji militarnej. Armaty są dziwnie do siebie podobne, kazamaty taksamo, zwłaszcza gdy ogląda się je okiem dyletanta, któremu nic

nie zdoła uprzystępnąć wdzięku zaklętego w mózdzierzu wielkiego kalibru. I zwłaszcza gdy patrząc w lewo, zamiast w prawo, ma się przed oczyma chmury i bezkres morza, a rozmowa dotyka ententy nie z punktu widzenia jej armat, ale obraca się dokoła Molière'a, Szekspira i Romain Rollanda.

Mój przewodnik ożywił się sympatycznie. Nad Moliere'iem pracował długo, zdaje się, że temu wysiłkowi zawdzięcza swoją pracę doktorską. A Romain Rolland?... Tak, zna, naturalnie... Uderzyła go próba syntezy w jaką chciał autor ująć kulturę romańską i germańską. Nie godzi się, przynajmniej z zastrzeżeniami, na to, aby Jean Christophe był jedyną książką dla całej Europy od „Fausta“, Goethego. „Faust“... tak... to znów co innego... Niema kwestyi, Romain Rolland jest Europejczykiem w dobrem znaczeniu słowa, czyli raczej był nim — tu chwila wahania — bo teraz, od wybuchu wojny, podobno coś się w nim przemieniło... Nie? Naprawdę? Bo dzienniki pisały, iż nie zachował wobec Niemiec tak... powiedzmy... tak obiektywnego stanowiska, jakby należało. Siedzi nie w Paryżu? w Szwajcaryi? Napisał „Au dessus de la mêlée“? Tego nie czytał. Ani artykułów w pismach szwajcarskich, bo te na Helgoland nie dochodzą. Więc Rolland powiada, iż narody europejskie zbliżają się do siebie właśnie w tej wojnie bardziej, niż kiedykolwiek, chociaż na pozór się oddaliły? Niby, że poznają się głębiej? prawda? Zbliżenie przez to, że się wodzą za łby?...

Porucznik śmieje się szczerze i młodzieńczo. Więc pan jest Polakiem? Oh, wy podobno cali tkwiecie w kulturze francuskiej, entuzyaści latynizmu. A przecież siedzicie z nami przez ścianę, więc i niemiecka kultura powinna wam nie być obcą... Mamy takie skarby... Więc Polacy je znają dokładnie, naprawdę? Posiadacie fachowych germanistów?... I rozmowa schodzi na studia uniwersyteckie.

Nielatwo mój porucznik został „Oberlehrerem“ jak się okazuje. Gimnazjum, potem siedm czy więcej lat uniwersytetu, a raczej uniwersytetów, bo na różne przedmioty wędruje się do różnych wielkich profesorów, potem egzamina, potem praktyka bezpłatna, a gdy już ma się za sobą wszystko: doktorat, „Pruefungi“, tz. kandydaturę stanu nauczycielskiego, samodzielne studia, prace naukowe, wówczas wiedza zaczyna żywić swego adepta za cenę stu czy stukilkudziesięciu marek miesięcznie. Potem się awansuje, oczywiście. Po latach można dojść do paruset marek, jakich pięćset jest pewne...

Umundurowany profesor zapala się, mówiąc o tem. Bieda? No... tak, przepychu niema, ale za to pracować w tem, co się ukochało całą duszą, żyć pięknem, to także coś warte, nieprawda? Przy tem w Niemczech żyje się ostatecznie niedrogo, więc troski tak dalece głowy nie zaprzatają, jeżeli ktoś sam nie myśli o materyalnej stronie życia, nie tęskni do zbytku... Niemcy zmateryalizowały się? Bezsprzecznie, pęd do zrobienia majątku rozechwałcił się bardzo, ale idealizm także nie zeszedł ze świata bezpotomnie, zwłaszcza gdy idzie o pracę naukową. Gość zdaleka powinien temu wierzyć, naprawdę. O Niemcach mówi się teraz wiele złego, generalizuje się, ale trzeba znać duszę narodu. Krążą w niej różne prądy, tak jak tu, na tem morzu, więc jednego nie bierzmy za jedyny, chociażby się wydawał głównym. Trzeba być sprawiedliwym, zwłaszcza teraz, gdy nienawiści tak zderzają się ze sobą jak pociągi w pełnym biegu. Po wojnie przyjdzie czas na sądy zrównoważone, tego trzeba spodziewać się w imię kultury, która ludzi łączyła i potem złączy na nowo, choć teraz krew ich rozdziela...

Morze rozbijało się oskały i szumiało coraz bardziej basowo. Dygotały pod wichrem ubozuchne trawy, zgięte ku ziemi, jak gdyby szukały ochrony przed wiejaczem zimnem.

Zatrzymywaliśmy się co kilka kroków nad gębą, śląc oko na faliste pustkowie. Jak wzrokiem sięgnąć ani żagla, ani dymu. Statki angielskie tu się nie zapuszczają; jeżeli flota niemiecka nie wypływa, albo hydroplany nie wzlatają do chmur, to nie widać nic prócz nieba i wody. Porucznik wie najlepiej, bo w tej oto wieży spędził dwa lata przy lunecie, był okiem wyspy. Statki handlowe nie płyną z Niemiec ani do Niemiec, bo blokada. A na blokadę odpowiedziała wojna podwodna, pod której naciskiem mają cpustoszeć wody niezblokowane...

Flota wojenna — brzmi aksjomat militarzmu — jest konieczną do obrony handlu zamorskiego. Kto chce prowadzić handel taki, musi mieć dużo pancerników. Handel w czasie wojny? Dzisiaj Niemcy mają flotę ogromną — i ani jednego statku handlowego na żadnym morzu. Anglia zastawie może dreadnoughtami mile kwadratowe — i z wysiłkiem utrzymuje komunikację handlową, gdyż podcinają ją łodzie podwodne. A chyba w pokoju nie eskortuje się handlowców pancernikami? Qui trompe-on ici? Więc chyba w przyszłości wszystko zejdzie pod wodę: flota wojenna i flota handlowa? Wówczas może ziści się tak zwana „wolność mórz“?

O tem nie mówiliśmy z porucznikiem-romanistą, a to dlatego, że był także marynarzem i to marynarzem niemieckim, zaś „wolność mórz“ jest teraz w Niemczech na ustach wszystkich, chociaż nikt prawie nie zdaje sobie sprawy, co ten wyraz ma oznaczać. Ciekawy los tej zagadki, której rozwiązywanie jest dość skomplikowaną robotą. Najlepszy dowód, iż może zająć całą przeprawę z Helgolandu do Wilhelmshaven i wiele, wiele godzin w różnych dniach.

A z porucznikiem pożegnaliśmy się dobrą uściśnieniem dłoni. Może spotkamy się kiedy w Paryżu?

Ludzie morza.

Po przeprawie. — Okręty rozmawiają. — Za lotnikami. — Najmłodsza flota i najmłodsza załoga. — Morze urabia ludzi. — W jednej szkole. — Wielka rodzina. — Życie i fala. — Szerszy horyzont. — Odświeżenie.

Wchodziliśmy do wielkiej sali kasyna oficerskiego w Wilhelmshaven jeszcze trochę ogłuszeni przeprawą wieczorną z Helgolandu, z uszami pełnymi szumu, z oczyma pełnymi ciemności, które zalegały port za naszym przybiciem do brzegu, a przerywały się tylko sygnałami na statkach i reflektorami na niebie. Statki rozmawiają z sobą w dzień chorągiewkami na migi, w nocy mruganiem światełek. Dwie lampki wysoko na maszcie zapalają się i gasną w odstępach miarowych. Okrętu nie widać. Wygląda to zdaleka tak, jak gdyby dwoje oczu mrużyło się i otwierało. Fantazja dorabia do tego twarz niewidzialną, a wszystko razem przypomina ową dynię ze świeczką w środku, którą umieszcza się na tyczce okrytej prześcieradłem i obnosi w nocy po cgrodzie, aby „straszyć“.

Reflektory nad portem szperają ciągle w chmurach. Skądsis wyskakuje biała smuga, rozszerzająca się na końcu w kółko. Ostrożnie sunie po chmurach. Gdzie obłoki się zagęściły, tam zostaje chwilę, jak gdyby chciała przeniknąć w głąb. W tej chwili doskakuje druga, czasem trzecia, schodzą się na podejrzanym punkcie, spa-

cerują po nim chwilę i nagle rozbiegają się w przeciwne strony, jak gdyby powiedziały sobie: nie, tu nic niema. A za chwilę nowa kometa zaczyna śledzić czy lotnik angielski nie poluje na dreadnoughty.

W kasynie „Bierabend“. Na balkonie orkiestra, dołem nieskończony szereg stołów, na ścianach olbrzymie obrazy: na jednym dwa żaglowce, a na drugim eskadra pancerników, więc jakby pogląd na rozwój floty nie mieckiej. Ale i owe stalowe okręty już są przestarzałe, jak tłumaczy fachowo kapitan. Model już przeżyty, w eskadrze takich niema... Mody pancerników zmieniają się widocznie tak jak sukien damskich. A jednak nie upłynęło jeszcze lat siedmdziesięciu, jak na sejmie frankfurckim postawił poseł Hannibal Fischer wniosek, aby jedyny okręt wojenny marynarki pruskiej sprzedać przez licytację. I poszedł pod młotek. W niecałe pół wieku potem powtarzano sobie od Kłajpedy po Monachium, że „przyszłość Niemiec leży na wodzie“, równocześnie flota niemiecka wypierała francuską z drugiego miejsca po angielskiej, a w fabryce pruskiego „Drillu“ kończono wyrabiać dla najmłodszych pancerników świata najmłodszą załogę, która dzisiaj, zgodną opinią wszystkich, nie ustępuje żadnej innej. Claude Farrere, kolega Piotra Lotiego po epoletach oficera marynarki i po literaturze, jest może dostateczną w tem powagą. A gdy chwali coś we flocie wojennej swego kraju, wówczas mówi: „lepiej nie zrobiliby Niemcy“, Niemcy, którzy nie byli urodzonymi marynarzami, ale zostali nimi przez pilność, zjadł wzorując się na współzawodnikach.

Gdybyśmy nie wiedzieli skądinąd, jak morze wyrabia sobie ludzi, jak ich modeluje według jednego schematu, to przekonaliśmy się na tej sali, przejrzawszy owe parę czy kilka setek oficerów niemieckich, którzy na pierwszy rzut oka mogliby być równie dobrze Anglikami, Amerykanami,

nawet od biedy Francuzami w niektórych egzemplarzach. Kto odróżni w Chinach porucznika marynarki niemieckiej od kolegi z „His Majestys Navy“? Zbliża ich nie tylko mundur, jeden i ten sam gramat ze złotem dla wszystkich, ale to co w mundurze i to co ponad nim. Ten sam mniej więcej zarys linii w budowie ciała, prawie te same twarze, jak gdyby wiatr morski obciosywał je z cech nazbyt plemiennych i rzeźbił według jednego schematu, ten sam, przedewszystkiem, wzrok: jasny, spokojny i przenikliwy, wzrok ludzi, którzy przywykli sięgać okiem daleko, ten sam wreszcie spokój zachowania i międzynarodowy typ bycia. Głęboko musi sięgać w naturę ludzką wpływ morza, jeśli oficer marynarki niemieckiej tak różni się od oficera niemieckiej piechoty czy konnicy, jeśli ma ruchy okrągłejsze, nie tak kanciaste, jeśli mówi ciszej i nie wyrzuca słów jak z procy jedno za drugim, jeżeli wogóle ma pewność siebie chłodną i miękką z pozorów, nie hałaśliwą i „ciętą“, jeśli wogóle przypomina wszystko inne z wyjątkiem koszar. Oficer lądowy jest w swem obcowaniu na ogół sztywny i „zaprasowany“ tak jak nowiutki ubranie berlińskiego eleganta; *savoir vivre* oficera morskiego przypomina dobry garnitur angielski: niedbały napozór, prawie wymięty, ale wytworny przez krój i przypasowanie.

Nikt nie może twierdzić, aby w paru dniowem ceremonialnem na ogół obcowaniu z ludźmi pewej kasty mógł zgłębić ich psychikę. Pewne zarysy jednak uderzają odrazu. Tutaj odczuwa się przy pierwszym bliższem zetknięciu pewną szerokość poglądów i pewne pogłębienie myśli, tak naturalne u ludzi, którzy więcej widzą, obserwują i porównują, niż ktoś przykuty do biurka czy do podwórza koszar. Jeżeli człowiek zdobywa doświadczenie życiowe między Patagonią a Morzem Białym, to ma wszelkie szanse nabyć go więcej i w lepszym ga-

tunku, niż ktoś spędzający życie chociażby w dziesięciu różnych garnizonach tego samego kraju. Uczy się zaglądać ludziom pod skórę, a znalazłszy pod nią wszędzie to samo, czy jest żółta, biała, czy czerwona, nabiera pobłażliwości dla wszyskiego, co człowiecze i zaczyna patrzeć filozoficznie.

A pogłębia się też w innym kierunku. Głębia człowieka i przeważna część jego wartości moralnej zawisła od tego, jak często i jak gruntownie myśli o rzeczach wiecznych. Czy można patrzeć ciągle w zwierciadło nieskończoności, jakim jest morze, a tkwić tylko w drobiazgach życiowych, które na oceanie, między niebem a wodą, maleją do atomu? Marynarz jest daleko więcej samotnikiem, niż człowiek lądowy, a kto jest samotnikiem ten zostaje myślicielem prędzej czy później, jeśli już nie stał się pierwszym dla tego tylko, że drugim był z urodzenia.

I tak wytworzyła się na świecie jedna wielka rodzina ludzi morza, złączona obyczajami, które zbierali po okruchu na całym globie, i nauką życia, którą czerpali w jednej wielkiej szkole. I jednym jeszcze. Któż inny może powiedzieć o sobie, że przez całe życie patrzył ciągle śmierci w oczy? W okresie lat pięćdziesięciu bez mała, który zaczął się z pokojem frankfurckim r. 1871, życie ludzkie poszło na zwyżkę tak, jak papiery spekulacyjne w czasach „gründerstwa“. Teraz dopiero spadło odrazu poniżej p a r i. Otóż w tym czasie jeden jedyny marynarz wiedział, że w każdej chwili tylko jedna deska dzieli go od śmierci. Czuł to, myślał o tem i przez tę myśl na świat patrzył. I jeżeli wziąć literaturę „morską“ wszystkich ludów, to z każdej kartki patrzy na nas ten sam portret duchowy człowieka pogłębionego o całe poczucie, iż życie, to rzecz właściwie drobna w stosunku do nieba usianego gwiazdami i bardzo krucha w stosunku do fali. Nie wiedział o tem, jako chłopiec okrętowy, ale jako kadet miał już

pewne przecucie, zaś z drugim złotym galonem stracił ostatnią pewnie wątpliwość.

A razem z tym procesem rodziła się w nim pewna właściwość, którą możnaby nazwać łatwością bohaterstwa. Kto kładzie życie na kartę codziennie i stale, ten łatwo je zahazarduje trochę ryzykowniej. A jeżeli komu, to marynarzowi nie brakło nigdy okazji, aby stawkę rzucić. Był to człowiek ciągłej walki o życie, wiecznego pojedynku z żywiołem, człowiek mężny.

* * *

W dymie, muzyce i gwarze „Bierabendu“ goście przybyli zdaleka krążyli od stołu do stołu, zapraszani ceremonialnie tu, to tam. Chciano im ułatwić znajomości, zmianę rozmowy — i wogóle dać się poznać. Otóż przy całej rezerwie towarzyskiej nie można było nie wynieść wrażenia, że nad tą salą rozpiną się horyzont daleko szerszy aniżeli nad każdym innym zbiorowiskiem ludzi jednego zawodu — horyzont świeżości, energii, a przede wszystkim poczucia swobody, którą marynarz czerpie z oceanowych bezkresów. Poczucie to łądzi do pewnego stopnia nawet tę więź dyscypliny, jaka opasuje niemiecką armię lądową i morską bez różnicy — a może z przewagą jeszcze na stronę okrętu. Obcowanie podwładnych z przełożonymi wydaje się jak gdyby miększe o jeden mineralogiczny stopień twardości, mniej tu krochmalnej hierarchii, więcej koleżeństwa. Widzieliśmy też więcej łagodnego humoru, niż hałaśliwej wesołości, chociaż w szklankach jaśniał często marynarski grog, który więcej niż piwo sprzyja krzykliwym śmiechom.

Gdy zaś padło słowo o bieżącej polityce, nie czuło się pod niem tyle twardej zawziętości, ile jej czasem błyska w żołnierzu niemieckim, który lubi sumować ilość krwi, przelanej w tej wojnie i mierzyć jej miarą haracz, jaki zwycięzcom się należy w krajach i pieniądzech. Świat marynarza nie za-

myka się w granicach ojczyzny, chociażby był najgorętszym patryotą. Wiatr oceanu przewiał mu czaszkę, a życie odjęło szczyptę nacjonalizmu, dodając w zamian nieco „Weltbürgertum“. Żyje on dla kraju i gotów dlań umrzeć w każdej chwili, lecz ocean wpoił mu głęboko krzepką dewizę „Hamburg-Amerika-Linie“: „Mojem polem jest świat“. „Mein Feld ist die Welt“.

Warto obcować z marynarzami. To odświeża.

W Belgii nadzieimnej.

Po wierzchu. — Miasto stoi. — Szczęśliwsi? —
Praca administracyi niemieckiej. — Niedobra
redakcyja. — Było źle, jest świetnie. — Szczęśli-
wy kraj. — Świat żywi Belgię. — Samopomoc. —
Pszczołki. — Grosz polski.

Ci, którzy przedtem znali Brukselę, utrzymują, że wygląd miasta nie zmienił się wcale pod okupacyą, która zaczęła właśnie czwarty rok nieoczekiwanego istnienia. Kto nie ma takiego kryteryum, musi zadowolnić się stwierdzeniem, że budynki stoją na tem samym miejscu, na którym je wskazuje Baedeker i że nie widać ruin, bo miasto, jako otwarte, nie było bronione przed najazdem — ze wreszcie sklepy są otwarte i ludzie chodzą po ulicach. Jeżeli przespacerował się dłużej, doda jeszcze, iż magazyny spożywcze pełne towaru — prawda, że po cenach o jakich nawet w Krakowie się nie śniło — iż trotoary o pewnych porach roją się tłumem, iż teatry sprzedane co wieczora, kawiarnie pełne, w restauracyach zaś jada się równie wytwornie, jak drogo. Ktoś porównał Brukselę z Warszawą, która w rok bez mała po stolicy Belgii podzieliła jej los. To samo życie, które pulsuje mocno mimo chronicznej klęski, ten sam temperament, ta sama, jakby się zdawało, obfitość pieniądza w warstwach wyższych i średnich i ta sama szybkość, z jaką wytacza się z kieszeni, aby sprostac drożyznie. Nie wiadomo, czy porównanie da się przeciągnąć dalej: czy w suterenach bru-

kselskich głód i zimno, czy pogotowie ratunkowe zbiera po zaułkach widma zmożone nędzą i czy błyszczący paltot, w jakim chodzi Bruksela, nie pokrywa bolesnych łachmanów.

O tem wszystkim wiedzą goście parudniowi właśnie tyle, ile dowiedzieli się o stanie finansowym magazynu, gdy przejrzeni się w jego lustrzanej szybie. Może stoi na pewnych nogach, może już bankrutuje? O tem nie może pouczyć ani wizyta u generał-gubernatora, ani śniadanie w Palace Hotelu, gdzie przed szarymi mundurami piętrzą się skorupy z ostryg i lśni rubinowe wino, nalewane ostrożnie z butelek włożonych w srebrne koszyczki, aby spoczywało leżąc i nie zmaciło się przed spełnieniem swych nieoczekiwanych przeznaczeń. Trudno zaś było o informacye inne, choćby dla tego, że program każdego dnia był równie obfity, jak ściśle dotrzymywany; wycieczkę prowadzono przeważnie in gremio to tu, to tam, aby zobaczyła to, co zobaczyć powinna. Jeżeliby nawet było poszukać zetknięcia z ludnością miejscową w tych paru godzinach, jakie pozostawały na przechadzkę bez asysty, to obcy akcent francuszczyzny stawiał między pytających a pytanych nieufność, podejrzliwość, może obawę, tak, że poza grzechnymi banalnościami nic się nie słyszało właściwie. Belgię nadzienną widzieliśmy. Ale co się kryje pod powierzchnią?

Być może, iż inni członkowie wycieczki byli szczęśliwsi w swych interwiewach. Jeden z nich, wygłaszając jakąś przemowę, zapewnił nawet, że ludność jest niezwykle zadowolona i czuje się wybornie. Z tego zapewnienia, które zaraz roztelegrafował Wolff, trzeba się domyślić, że gość rozmawiał z Belgią długo i szeroko, oczywiście po francusku, nie na migi, że zachodził do stowarzyszeń, wypytywał ludzi poważnych i znających stosunki od urodzenia — że, jednym słowem udało się mu to, co według wszel-

kiego prawdopodobieństwa nikomu prócz niego się nie powiodło. Szkoda, że innym swej tajemnicy nie udzielił, widocznie przez emulację zawodową; mieliby informacje szersze niż te, które otrzymywali od niemieckich urzędników i niemieckich oficerów.

Ta powierzchowność zwiedzania pozwoliła jednostkom mniej uprzywilejowanym stwierdzić tylko tyle, iż Paryż belgijski wygląda z zewnątrz wesoło — mniej więcej znów tak jak Paryż północy — Warszawa. Po szarej ciężkości Berlina przyjemnie oddycha się powietrzem szerokich, jasnych bulwarów, które okalają parki, a w lecie muszą zielenieć i pachnąć; z ulgą puszcza się wzrok po skromnej w gruncie rzeczy ale wytwornej architekturze kamienic, które również mogłyby przenieść się na lewy brzeg Sekwany, jeżeli już nie na prawy. Nad ulicą, nad sklepem, nad kawiarnią, nad życiem wieje powietrze romańskie, którego prąd idzie z la Ville-lumiere...

Ludziom wchodzi tutaj z niem w płuća od urodzenia pierwiastki starej, świetnej kultury, a zarazem sztuka cieszenia się życiem, łagodny pogląd na świat, jako na instytucję stworzoną po to, aby człowiekowi było z nim jako tako.

* * *

Na taki kraj ludny, bogaty, zagospodarowany, gdzie żyło się swobodnie, wygodnie i tanio, jak nigdzie w Europie, a który czuł się bezpiecznym w swej neutralności, poręczonej uroczyście przez wszystkich sąsiadów — na kraj ten zważyło się latem 1914 nieszczęście dziejowe. Wojska niemieckie przemierzyły go swemi stopami. Padły twierdze, polała się krew znękanych obrońców, zajaśniały luny, świat wstrząsnął się od nadlatujących wieści. „Wir haben ein Unrecht gethan“ — określił ten czas p. Bethmann Hollweg gdy przemawiał w parlamencie niemieckim. — I zapewnił, że to konieczne, jak

mówił, bezprawie będzie wyrównane. Wexsel ten czeka, aby go spłacono.

Ile wynosi — oczywiście tylko w dobrach materialnych — tego nikt jeszcze nie wie. Trzebaby zliczyć wszystkie wagony, które powędrowały do Niemiec wyładowane surowcami i towarem gotowym; trzebaby zesumować straty, jakie poniósł olbrzymi przed wojną przemysł, który dzisiaj bądź zamarł, bądź pracuje dla armii niemieckiej. To byłaby cząstka. Dodać musiałoby się stracone korzyści, zrujnowany eksport i wreszcie straty doraźne, w spalonych wsiach i zestrzelanych miastach. Co poszło w gruzy i w jakie — o tem znów nie wiadomo podróżnikom, którzy przejeżdżali kraj w wagonie sypialnym. W Lowanium, korzystając z przystanku, pokazano nam jedną ulicę... odbudowaną. Dzisiaj pewnie już takich więcej, bo rany wojny zamyka szybko przedsiębiorczość i praca. O zniszczeniu Belgii wie taka wycieczka, jak nasza, tyle samo, co o jej odżywieniu lub o nastroju jej mieszkańców. Ten ostatni zresztą wystarczy odgadywać, w czem Polacy mają nawet pewne ułatwienie.

Brakiem obiektywności byłoby jednak nie stwierdzić, że administracja Belgii jest dla władz okupacyjnych zadaniem poważnem i że przeprowadzenie go wymaga wiele pracy. Pod tytułem „Generallgouvernement Belgien“ wyszedł w Lipsku rodzaj monografii, pióra p. Volkmana, która zawiera wiele szczegółów i mogłaby służyć za źródło informacyjne, gdyby nie metoda przedstawiania stosunków, którą można ze stanowiska niemieckiego zrozumieć, lecz która budzi powątpiewania. Mniejsza, że kraj zagarnięty przemocą oręza nazywa się ustawicznie „dobrem powierzonym“ (das anvertraute Gut) chociaż eufemizm to doprawdy zbyt czyny; trudno jednak mówić np. na stronie 56 o wyciśnięciu 480 milionów franków kontrybucyi wojennej, zaś na dwie stronicie

przedtem atakować rząd belgijski za to, że polecił bankowi narodowemu uciec przed najeźdźcą i zabrać złoto, banknoty, papiery wartościowe, więc „zostawił kraj bez środków“... Ogółem książka jest pisana w takim tonie, jak gdyby zarząd Belgii był dla Niemiec przykrym a niezasłużonym ciężarem; rządowi belgijskiemu dostają się admonicye tak prawie wystylizowane, jakgdyby rząd ten uciekł z kraju bez żadnej przyczyny, opuszczając go w napadzie histeryi.

Spokojne, obiektywne przedstawienie stosunków, bez upiększania i bez wykrętów stylistycznych byłoby może pożyteczniejszem skoro pragnie się prostować opinię zagranicy. Za przykład może posłużyć chociażby króciuchna wzmianka o zniszczeniu miasta Lowanium. Chociaż się przyjmie w dobrej wierze to, co twierdzą Niemcy: że w Lowanium strzelano z okiem do żołnierzy, co wywołało represalia, to jeszcze trudno zrozumieć opis, jaki znajduje się w owej książce na stronie 14 i zbywa te straszne dni wzmianką, iż 25 i 26 sierpnia „odbył się zdraziecki napad w Lowanium, zajętem od kilku dni i napozór zupełnie spokojnem, którego to ofiarą padła część miasta oraz niestety także kosztowna biblioteka uniwersytecka“. Wynikałoby stąd, że to mieszkańcy Lowanium napadli na własne miasto. Autor takich zwrotów nie może mieć pretensyi, aby je brano za podkład do wnioskania i namyśliwszy się, przyzna sam, że tak się historyi nie pisze.

Trudno więc z takim materiałem ocenić korzyści, jakie spadły na Belgię z rąk administracyi niemieckiej. Że okupacja działa sprężyscie, na to można przysięgać, nawet nie postawiwszy nogi na ziemi belgijskiej. Kto starał się zagłębić choć trochę w psychologię niemczyzny, ten również zrozumie ciągłą radość autora, że administracya belgijska nigdy nie była tak wyborna, jak teraz. Z jednej strony bowiem jest p. Volkmann szcze-

rze przekonany, iż ten kwitnący kraj był rządzony jak najgorzej, z drugiej zaś ma niewzruszoną wiarę, iż cywilizacja niemiecka jest najdoskonalszą na świecie. Pisze więc z głębi przekonania, które tak dobrze charakteryzuje stosunek przeciętnego Niemca do zagranicy. „Deutschland in der Welt voran!“ — mówi uczony niemiecki. „Am deutschen Wesen wird die Welt genesen!“ — dodaje inny idealista, który chciałby szerze doprowadzić świat do normy. „Europa muss unter deutsche Aufsicht kommen!“ — pisze grenadyer pruski na wagonie, którym jedzie ku Verdun. Ten wyciągnął wniosek polityczny.

* * *

W Brukseli nie można nie przystanąć przed dwoma rodzajami sklepów: przed koronkami, które zadziwiają taniością i przed artykułami żywności, które zdumiewają drożyzną. Szynka, kielbasa, pasztety, cukierki, pieczywo, wszystko to piętrzy się stosami, ale wędliny i mięso dosięgają kilku dziesiątków franków za kilogram, cukierki i czekolada dochodzą setki. Słodyczami nie żywi się proletaryusz brukselski, lecz jakim sposobem kupi kawałek mięsa?

Problem ten rozwiązało miłosierdzie zagranicy. Belgia jest żywiona przez ludy kulturalne obu półkul świata. Pierwsza Ameryka, wówczas jeszcze neutralna, postanowiła nie dopuścić, aby Belgowie marli z głodu. Z inicjatywy posła amerykańskiego i posła hiszpańskiego w Brukseli powstał komitet pomocy, *tz. commission for relief in Belgium*, który wydał apel do świata cywilizowanego i otrzymał jako pierwszą odpowiedź 32 i pół miliona franków, które zaświadczyły o uczuciach ludzkich Ameryki, Kanady, Australii, Nowej Zelandyi, Włoch i Hiszpanii. Francya i Anglia oczywiście nie pozostały w tyle. Rządy tych krajów otworzyły szeroko kasę, An-

glia zaś postanowiła przepuszczać przez swą blokadę statki, wiozące chleb dla nieszczęśliwych, gdy Niemcy, po długich a uciążliwych rokowaniach poddały się nakoniec pewnej kontroli międzynarodowej, która w granicach możliwości bada, czy nie wywozi się z Belgii żywności miejscowej i jałmużny zagranicznej, oraz czy wojsko okupacyjne aprowiduje się z Niemiec, nie z kraju.

Siedzibą komitetu jest Londyn. Dowóz odbywa się przez Rotterdam. Rozdział objęła sama Belgia, składając nim dowód sprężystości organizacyjnej i niezmożonego niezłomności ducha obywatelskiego. Dokonywa go *comite national de secours et d'alimentation*. Środki żywności, zakupione przez instytucję londyńską i przez rząd belgijski w Hawrze rozdziela się między poszczególne filie komitetu belgijskiego. Nie sam jednak rozdział jest argumentem za dzielnością Belgów, lecz ludzki i społeczny kąt widzenia, pod jakim go się przedsięwzięte. Sfery korzystające z dowozu, podzielono na dwie klasy: zamożniejsi płacą za towar ceny podwyższone, aby biedacy mogli otrzymywać go zupełnie darmo. Ze zysku opędza się zatem koszta wyżywienia tych, którzy nic nie mają. W samej Brukseli rozdaje się dziennie około pół miliona porcji ciepłej zupy. W podobny sposób dostarcza się odzienia i bielizny. Ofiarność prywatna jest przykładową. Niezliczone komitety i stowarzyszenia dają pracę bezrobotnym, badają nędzę wyjątkową i dopomagają z funduszów składkowych i publicznych. Belgia nie tylko przyjmuje miłosierdzie świata cywilizowanego, lecz ratuje się sama.

Na jeden widoczny ślad tego męstwa natrafiliśmy przypadkiem. Był to „dzień zabawek“, „la journee du jouet belge“. Na jasne ulice Brukseli wyleciał rój dziewczynek z koszyczkami, w których wyglądały zabawki, sporządzone przez inwalidów armii obronnej — zabawki nader artystyczne, peł-

ne gustu i wdzięku: drzewka wycinane pileczką i malowane w dyskretne kolory, zwierzęta stylizowane w sylwetkach, wreszcie kartki korespondencyjne z rysunkami dobrych artystów. „Pour les prisonniers belges, s'il Vous plait!“ brzęczały głosiki z pod kokieteryjnie nałożonych kapturków — bo nigdzie może nie dba się tak o ubranko dziecinne, jak w Brukseli.

Na jeńców belgijskich... „Pszczołki“, „les abeilles“, bo tak nazywają się urzędowo te małoletnie służki miłosierdzia, nie potrzebowały uciekać się do karoty. Nie zauważyło się przechodnia, któryby nie otworzył portmonetki. A my, w naszej polskiej grupce, nie bez wzruszenia rzucaliśmy grosz do koszyczków, które podsuwała nam małeńka rączyna. Z ofiarą miłosierdzia belgijskiego połączyły się i nasze franki, aby ulżyć doli tych żołnierzy, którzy są w niewoli dla tego, że nie chcieli wojny i że przeciw wojnie musieli walczyć, broniąc neutralności swego kraju.

Uciśnieni Flamandzi.

Rada flandryjska. — Heloci? — Jak to było. — Walloni i Flamandzi. — Ucięta kultura. — Język dziś a dawniej. — Równouprawnienie. — Większość w parlamencie. — Małe porównanie. —
Za kulisy.

— Tak, moi panowie, teraz wiecie już wszystko! Weźcie do swej pięknej ojezyny świadomość, że tutaj kilkumilionowy naród podniósł się z niewoli dzięki prawdziwym obrońcom małych narodowości: dzięki Niemcom. Kilkadziesiąt lat byliśmy gnębieni i wynaradawiani przemocą, przez żywioł francuski, który rozumiał dobrze, iż my tutaj jesteśmy przednią strażą germanizmu. Teraz ten straszny czas zapadł w przeszłość. Żyjemy, będziemy żyli!

Było to w Brukseli, na konferencji, jaką urządzono w celu zapoznania przybyłych dziennikarzy z „radą flandryjską“, przedstawicielką tych Flamandów, którzy idą ręką w rękę z okupantami niemieckimi i proszą ich o mieszanie się w stosunki narodowe Belgii. Mowca, który temi mniej więcej słowami skończył swe wystąpienie, był drugim z rzędu. Poprzednik jego wygłaszał rodzaj expose pełnego dat i cyfr; ten apelował do uczucia i z wiecowym trochę patosem atakował rządy „francuskie“, które, chwala Bogu, zapadły w nicość dzięki najazdowi niemieckiemu.

Słowa nie układały się może z taką wyrazistością, lecz z tonu i z treści wyraźnie to wynikało.

Gdy skończono mowy, zaczęła się swobodna pogawędka z „radcami“; można było prosić o dalsze wyjaśnienia. A że na wychodnem wręczono nam książki i broszury, więc w ciszy wieczoru wertowało się chciwie ten materyał, aby umocnić w sobie przeświadczenie, iż to naprawdę nie sen, cośmy słyszeli: że w Belgii dokonał się istotnie fakt bez precedensu, za jaki trzeba uznać oswo-bodzenie narodu przez władzę obcą z pod ucisku, jaki cierpiał od swej własnej. Musieliśmy wgłębić się w tę niesłychaną sytuację, jaką nam przedstawiono: że szcep flamandzki, stanowiący w Belgii większość, był helotą na własnej ziemi, a garść Wallo-nów-Francuzów niszczyła jego kulturę i narzucała obcą. Nam, Polakom, szczególniejszym rytmem musiało uderzyć serce na myśl o takim gwałcie.

Im dłużej jednak wgłębialiśmy się w otrzymany materyał — tem zawikłańszą wy-dawała się nam sprawa, przedstawiona przez mowców tak poprostu. A że nie ma takich zagmatwań, którychby przy pewnym wysiłku nie można rozwikłać, więc nawet w dostarczonych nam książkach niemieckich wy-czytaliśmy w końcu istotny stan rzeczy. Przedstawić go obiektywnie jest obowiązkiem dziennikarza, a już polskiego przede-wszystkiem. Bo polska publicystyka nabyła chyba pewnych kwalifikacyj w ocenianiu ucisku i przemocy?

Oto co było w Belgii.

* * *

Państwo belgijskie, które powstało w r. 1830 wskutek rewolucyi przeciw panowaniu niderlandzkiemu, łączy w swym organizmie dwa różne szczepy: flamandzki i walloński. Pierwszy germański, drugi romański, pierwszy mówiący dyalektem dolno-niemieckim

zbliżonym do holenderszczyzny, drugi językiem francuskim.

Do tego małżeństwa politycznego wniosły obydwie strony różny posąg kultury i politycznego znaczenia. Na Wallonów oddziaływała od najdawniejszego czasu, od wieku czternastego, cywilizacja francuska, z której mają język, obyczaj, cały rozwój umysłowy. Strumień ten nie wyschnął ani razu, a zwłaszcza w wieku ósmnastym i w początku dziewiętnastego płynął prądem nieprzerwanym. Walloni są społecznie wykształceni zupełnie: mają lud, warstwy średnie i wyższe, wszystkie mówiące jednym językiem i wychowane w tych samych pojęciach kulturalnych.

Flamandzi weszli natomiast do państwa belgijskiego — jeżeli idzie o uświadomienie narodowe i kulturalne — jako społeczeństwo o jednej warstwie: jako proletaryat rolny, jako proletaryat analfabetów, bo rzadko który umiał czytać i pisać, jako proletaryat nie mający jednolitego języka, gdyż składa się nań kilkanaście, czy nawet kilka dziesiątków dyalektów. Bo kultura ich — w średniowieczu wysoka i własna — urwała się nagle przy końcu szesnastego stulecia, w ucisku hiszpańskim i w wewnętrznych zamieszkach religijnych. Wyginęła wówczas inteligencja flamandzka, lub poszła na wygnanie. Został tylko chłop i rzemieślnik drobny po miastach — a i ten ostatni w końcu ósmnastego wieku i z początkiem dziewiętnastego zerwał ze swym dyalektem i przyswoił sobie język francuski, gdyż cała Flandrya od r. 1794 do 1815 była częścią państwa francuskiego. Więc do Belgii wszedł ze swem narzeczem tylko chłop — ciemny, biedny i narodowo nijaki, jeżeli uświadomienie jego zmierzym skalą wymagań, jakie narodowi stawia nacjonalizm współczesny.

Dodajmy, że kultura Flandryi, która zaginęła z końcem szesnastego stulecia, nie była związaną ściśle z językiem. Od czasów

burgundzkich — od wieku czternastego — francuszczyzna była mową dworu, szlachty, potem i patrycyatu. Architektura flamandzka, której najpiękniejsze pomniki niszczeją teraz pod barbarzyństwem wojny, wyrosła, równie jak malarstwo, z narodu, którego warstwy oświecone coraz to głębiej przemawiały się użyciem języka francuskiego. Wówczas można było mówić językiem romańskim, a być germanem w duchu i w kulturze. Narodowość, jako jednostka cywilizacyjna, i język nie musiały koniecznie pokrywać się ze sobą. To zapamiętajmy, aby nie popaść w błąd, jakim byłoby przykładanie dzisiejszego nacjonalizmu i jego językowych wymagań do stosunków ówczesnych.

Tak nierównie uposażeni weszli Flamandzi w r. 1830 w polityczne współzycie z Wallonami. A w pierwszym dniu wojny, więc po latach ośmdziesięciu czterech, polityczny ich stan posiadania przedstawiał się tak:

Belgia była krajem dwujęzycznym. Ustawy krajowe ogłaszano w obydwu językach, tj. po francusku i po holendersku, bo języka flamandzkiego literackiego właściwie niema, istnieją tylko różne narzecza i jedynie część nieprzejeđnanych nacjonalistów chce gwałtem wytworzyć osobny język literacki flamandzki, podczas gdy większość trzyma się holenderszczyzny. Prowincye flamandzkie miały język ten w sądownictwie i w administracyi, monety miały napisy dwujęzyczne, marki i stemple pocztowe taksamo, dwujęzycznym był urzędowy rozkład jazdy na kolejach, podoficerowie i oficerowie składali egzaminy z obydwu i w obydwóch językach. A wreszcie w szkolnictwie zapanowało z ustawą roku 1914 zupełne równouprawnienie, bo chociaż język holenderski nie został w prowincyach flamandzkich uznany za przymusowy język wykładu, lecz nie Walloni byli tego przeszkodą. W parlamencie wniosek odnośny upadł 114 głosami przeciw

56 — ale wśród tych 114 znajdowało się 42 posłów flamandzkich, którzy głosowali przeciw holenderszczyźnie jako językowi wykładowemu! Czy to nie objaśnia trochę ucisku i gwałtu, o którym mówili członkowie rady flandryjskiej?

Bo uciśnieni Flamandzi posiadali w parlamencie... większość. W różnych partyach było ich 98, na 72 tylko Wallonów, czyli, że gdyby do pewnego stopnia godzili się na jedno i poszli solidarnie, to mogliby zawsze przegłosować swych — ciemieżycieli! A tam, gdzie idzie o obronę przeciw wynarodowieniu, o zdobycie praw zasadniczych, o walkę na śmierć i życie, tam zbraknie solidarności narodowej, w momencie decydującym, wówczas chyba, gdy to, co chce uchodzić za naród — nie jest nim w ścisłym znaczeniu. Czy może kto wyobrazić sobie, że w Sejmie pruskim Polacy głosują przeciw językowi polskiemu?

* * *

Oto stan faktyczny. Wynika z niego, że naród nie posiadający inteligencji — bo inteligencya flamandzka do dziś dnia mówi po francusku z niewielu wyjątkami — naród nie posiadający własnego literackiego języka, naród, który utracił własną kulturę przed trzema wiekami z górą i już jej nie odzyskał — naród ten znalazł się w Belgii pod takim uciskiem, że w ciągu lat 84 zyskał równouprawnienie z żywiołem o kulturze ciągłej i nieprzerwanej, opartym o taki granit cywilizacyjny, jak Francya i z jej niewyczerpanego skarbcza ciągle zasilanym.

Fakty te były nam po części znane, gdyśmy szli na rozmowę z flandryjskimi radcami, więc można było zadać im różne pytania. Odpowiedź była zawsze jedna: równouprawnienie istniało w teorii, nie istniało w rzeczywistości.

Im częściej się ją słyszało, tem większego nabierało się zdumienia. Jak to? W państwie praworządnem, w państwie gdzie „uciskani“

mają większość w parlamencie, kontrolującym każdy krok rządu, w państwie takim mogą ustawy istnieć tylko na papierze, a działa się wbrew nim, w biały dzień, bez protestu? Coraz to silniej musiało utrwalić się w słuchaczu przekonanie, że w tem, co nam radcy flandryjscy opowiadają, trzeba poszperać dobrze, a dopiero znajdzie się prawdę.

Do prawdy tej trzeba było dojść i okazało się — jak widzieliśmy — że dojść można. Powrócimy do niej. Ale dziwnym był nastrój, w jakim dziennikarz polski słuchał tych wyrzekań, jakie przed obcem audytoryum padały przeciw rządowi własnemu, z kraju wygnanemu i tych skarżeń na współżyjący politycznie szczepek drugi, miotaający: w chwili, gdy najechany kraj okupują władze obce. Bo wiemy już, że ci ciemiężeni mieli prawa językowe w urzędzie, szkole, wojsku, sądzie, mieli katedry własne na uniwersytetach, akademię flamandzką w Brukseli, własne konserwatorium, teatry, prasę, i... większość w parlamencie, a wszystko to otrzymali od państwa ciemiężącego w ciągu lat ośmdziesięciu czterech, zaczawszy z garstką agitatorów, mówiącą w imieniu proletaryatu analfabetów.

Świadczy to o ich niezmożonej energii. Tak. Ale czy nie mówi niczego o państwie, w którym coś podobnego mogło stać się rzeczywistością? Bo wszystko to zdobyli Flamandzi w tejsamej epoce, w której gdzieindziej szalał rozbójniczy nacjonalizm. Co działo się z nami, Polakami, od roku 1830 do roku 1914? Cośmy zapisywali w tych właśnie latach my, naród dwudziestomilionowy bez mała, naród, który nie skamieniał przed wiekami, ale był duszony żywcem, w najświetniejszym rozkwicie? Naród, który właśnie po roku 1830 wydał najpotężniejszą uczuciem poezję Europy i lał krew za swą wolność? Cośmy notowali w naszej księdze narodowej? Równouprawnienie szkolne, czy

Apuchtina i Wrześnię? Akademię Nauk, czy Syberyę i rugi bismarkowskie? Własne katedry uniwersyteckie w Warszawie i w Poznaniu, czy kolonizacyę i wywłaszczenie?!

Wszystko to przypominało się nam, gdyśmy słyszeli żale radców flamandzkich. I nikt, kto zna nasze dzieje, nie zdziwi się, że ich hałas zaczął wydawać się nam w końcu przesadą i prawie bluźnierstwem, a przynajmniej fanatyzmem agitatorskim, którego sprężyn trzeba poszukać uważnie, a bez złudzeń. Zwłaszcza, że nie wszyscy Flamandzi idą z rządem okupacyjnym przeciw wygnanemu własnemu, że poza krajem znajdują się pisma flamandzkie i politycy flamandzcy w znacznej i poważnej liczbie, a w kraju, jak nas uczyli sami urzędnicy okupacyi niemieckiej: „die Herren vom Flandrischen Rat sind in der Minoritaet“. To zapiszmy na chlubę Flamandów.

„Jesteśmy tu forpocztami germanizmu“ — stwierdził głośno jeden z „radnych“. Takie słowa zostają głęboko w pamięci. I nie byłoby inaczej, gdyby np. Francya okupowała Belgię, a panowie z jakiejś rady wallońskiej mówili, że są forpocztami aneksjonizmu francuskiego. Bo w tym przypadku również musiałoby się spytać: czy traktowanie z rządem obcym przeciw ojczystemu uważacie panowie za rzecz w porządku?

Oswobodzenie Flamandów przez urodzonych oswobodzicieli małych narodowości, jakimi są Niemcy pod przewodem Prus, musi mieć zatem swoje kulisy.

Spróbujmy w nie zajrzeć.

Oswobodziciele.

„Aktywizm“ flamandzki.—Ci co milczą.—W mniejszości. — Dość na zaślepieniu. — „Forpoczty germanizmu“. — Robota na przyszłość. — „De Broederhand“. — Czy rozdział? — Wallonia za Alzacyę? — Dziwna prasa. — Waśń jako cel. — Głos z pod ziemi.

Jeśli kto chce ocenić ruch narodowy flamandzki a zwłaszcza jego stosunek do okupacji niemieckiej, nie może brać w rachubę samego tylko żywiołu „aktywistycznego“ — bo tą różne wspomnienia budzącą nazwą ochrzczono „panów z rady flandryjskiej“ — ale winien pamiętać, że ci ludzie są w mniejszości i układają się z Niemcami nie tylko przeciw własnemu rządowi, dzisiaj na wygnaniu, ale także przeciw ogromnej większości swego własnego narodu. Przywódcy większości tej bądź wyemigrowali przed okupacją, bądź znajdują się w kraju, ale milczą, uważając, że walka polityczna między Flamandami a Wallonami winna zatrzymać się aż do chwili, gdy będzie ją można prowadzić na nowo, w wolnem od najazdu państwie belgijskiem, bez cudzych gościnnych występów. Są to „pasywiści“ z lojalności i z sumienia. Nie zbrakło pewnie starań, aby ich pozyskać dla akcji głęboko pomyślanej, jaką Niemcy w Belgii przedsięwzięli. Usiłowania te rozbiły się o zdrowie polityczne i zapewne o uczciwość tych żywiołów.

Mówimy: zapewne, gdyż nikt sumienny nie będzie szafował pospiesznie zarzutami,

iz ten lub ów działacz polityczny szuka tylko lub przedewszystkiem korzyści osobistych, ani nie będzie wietrzył pod każdym słowem, czy nie kryje się gdzie podłożony pieniądz. „Panowie z rady flandryjskiej“ nie muszą wcale być sprzedawczykami. Do pędzenia na oślep po takich czy innych szynach politycznych wystarczy najczęściej fanatyzm, bez którego niema prawdziwego nacjonalizmu, wystarczy zaciekłość i bezmyślna chęć postawienia na swoim wbrew przeciwnikowi. Takich „ideologów“ najlepiej się wykorzystuje dla własnego celu, przy odrobinie sprytu i pewnej zręczności — w każdym razie lepiej, niż ludzi notorycznie sprzedajnych, więc kompromitujących z góry akcyę, do której się ich zaplątą popycha.

Radcy flandryjscy określili siebie jako forpocztę germanizmu. Otwartość, z jaką odsłanili swój herb, jest czemś nowem. Jeszcze w r. 1914, przed samą wojną, pisał dr. Osswald, historyk niemiecki, że błędzi, kto osądza ruch flamandzki pod kątem wszechniemczyzny. „Flamandzi chcą cel swój osiągnąć sami, pomoc z zewnątrzby nawet odepchnęli“. Wojna przeniosła tę pomoc z teorii w praktykę, a to, jak widzimy, wielce zmieniło zapatrywania niektórych bojowników flamandyzmu.

Nie można też zapomnieć, iż początki tego ruchu spletały się mocno z nacjonalizmem niemieckim w jego zaraniu. Pierwszy dziennik flamandzki, jaki ukazał się w roku 1845, gdy już analfabetyzm został pod rządem belgijskim na tyle pokonany, aby flamandcy chłopci zaczęli czytywać pisma — udał się, mając skonać z braku poparcia, do posła pruskiego w Brukseli o subwencycę, której zresztą nie dostał. Niemniej pierwsi nacjonalisci niemieccy wyciągali nieraz dłoń ku Flamandom. W Kolonii i Brukseli odbywały się w latach czterdziestych niemiecko-flamandzkie zjazdy studentów i śpiewaków; w Gandawie miewał odczyty Hoffmann von

Fallersleben i Wolf; osobne pismo „De Broederhand“ („Dłoń bratnia“) próbowało nawiązać porozumienie z „braćmi szczepu dolno-niemieckiego“, a Henryk Conscience, belletrysta flamandzki, otrzymał w latach czterdziestych order Czerwonego Orła pewnie nie bez przyczyny i ani bez głębszej myśli. Bracia Grimmowie, Ernst Moritz Arndt, Klaus Groth i inni literaci niemieccy dawał swemi nazwiskami firmę i blask akcyi, która, pod troską o pobratymców w sąsiedztwie, ukrywała dalekie i ze stanowiska Niemiec doskonale pomyślane cele polityczne. Niemcy osiedlali się też silnie między Flamandami — Antwerpię nazywano nawpół przez żart miastem niemieckiem. Teraz zaś, po najeździe a podczas okupacyi, przyszła pora na zebranie plonu, jaki siano z przerwami, ale wytrwale. „Jesteśmy forpoczta mi germanizmu!“. Ziarno weszło.

Gdyby politycy niemieccy nie skorzystali teraz z okupacyi do rozerwania Belgii walką szczepową, popełniliby, ze stanowiska praktyki politycznej, naiwność takąsamą, jaką byłoby dziwić się, że tak czynią, albo, że ich broszury i dzienniki nazywają to „o-swobodzeniem Flamandów“. Znaleźli grunt doskonale uprawiony. Musiało nim stać się państwo dwuszczepowe i dwujęzyczne, kąsek smaczny dla agitacyi kulturalnej francuskiej od zachodu, niemieckiej od wschodu, przyczem tę ostatnią ułatwiała ogromnie obojętność Holendrów, którzy wcale nie kwapią się z uściskaniem swych flamandzkich braci przyrodnych, a przeciwnie, uważają ich za żywioł mniej wartościowy i obracają się do nich plecami. Opuszczeni więc przez jednych zwracają się ku drugim i nie w tem dziwnego.

W miarę, jak praworządność Belgii umożliwiała Flamandom zdobywanie coraz nowych a słusznie im należnych uprawnień, a także w miarę jak ich rozwój kulturalny pozwalał im z praw konstytucyjnych korzy-

stać coraz szerzej, stawali się żywołem coraz to bardziej ważkim i godnym uwagi politycznej sąsiada od wschodu. Po obsadzeniu Belgii, a wobec przeciągania się wojny, uwaga ta musiała wzrosnąć. Bo nie wiadomo jeszcze, czy marzenia aneksjonistów niemieckich urzeczywistnią się w całości, tj. czy cała Belgia ulegnie aneksyi, lub czy przynajmniej pozostanie na stałe „w rękę“ Niemiec pod względem gospodarczym i wojskowym, jakby pragnęli aneksyoniści z twarzą zakrytą i jak powtarzał, mniej więcej oględnie, p. Bethmann-Hollweg. Rozumnie więc, ze swego stanowiska, działa polityka niemiecka, jeżeli na wszelki wypadek chce podsyć w kraju walkę szczepową, a przy tem pozostawić w nim, po wycofaniu się okupacyi, pamięć wśród Flamandów, że Niemcy uznali ich dążenia i przyczynili się z całą życzliwością, aby je urzeczywistnić. Na czas powojenny może przygotować się w ten sposób podkład pod wytyczną „Divide et impera“, która nie zawiedzie nigdy, jeżeli się ją umocuje dobrze w ludzkich słabościach, w zaślepieniu i w fanatyzmie. Od tych cech nie jest wolny ruch flamandzki w swych przerostach, które w dzisiejszej zwłaszcza postaci nie mogą być sympatyczne nikomu nieinteresowanemu i szkodzą samej słusznej sprawie.

Trudno by dzisiaj określić, czy Niemcy dążą do rozdziału Belgii na dwa państwa: flamandzkie i wallońskie. W każdym razie rozdziału administracyjnego już dokonali. Prowincya antwerska, limburska, Flandrya wschodnia i zachodnia oraz okręgi brukselski i lowański stanowią zakres flamandzki, zaś prowincya leodyjska, luksemburska, namurska i henegauska z okręgiem Nivelles — zakres walloński. Stolicą drugiego jest Namur — stolicą pierwszego Bruksela, czem pragnie się wsadzić cierń w żywe ciało Walonii i walką o to miasto, z kultury, wyglądu i inteligencji czysto francuskie, osłabić

przyszłą Belgię, nawet gdyby wróciła w dawnym kształcie do Europy powojennej. Rozdział administracyjny był zresztą postulatem części Wallonów, którzy uważali, iż rosnąca siła narodowa Flamandów wyrazi się w ekspansji na wallońskie części kraju; w szczególności obawiano się dwujęzyczności przymusowej w całej Belgii. Nie trzeba jednak tłumaczyć, że rozdział administracyjny wyglądałby inaczej i inne miałyby następstwa polityczne, gdyby go dokonał król Albert, niż gdy go dokonuje generał-gubernator Falkenhäusen.

Nie brak zresztą przypuszczeń, że w tym podziale Belgii kryją się cele dalsze. W „L'Avenir Wallon“, jednym z tym pism, które zaczęły wychodzić dopiero pod okupacją niemiecką i bez przeszkód ze strony surowej cenzury podsycają waśń między Wallonami a Flamandami — w piśmie tem ukazała się rozmowa, jaką miał znany organizator niemieckiego przemysłu wojennego, dr. Walter Rathenau, z pewnym dziennikarzem szwajcarskim, a w której „zaprzeczal“ pogłoskom, jakoby Niemcy pragnęły za zrzeczenie się Alzacy i Lotaryngii oddać Francyi Wallonię, przyczem Flandrya musiałaby siłą rzeczy przypaść Niemcom, albo też stać się „samodzielnem“ państwem, co byłoby jeszcze wygodniejsze.

Tak więc perspektywy mogą otworzyć się różne. A każda przybliża się i rozszerza w miarę, jak walka szczepowa wewnątrz Belgii zaostrzy się pod okupacją i przeważy na rzecz Flamandów, w szczególności także na rzecz jednostek, które chcą być forpoczta-
mi germanizmu. To też nowoutworzone urzędy administracji flamandzkiej zapelniają się osobami, które dotychczas z zazdrością spoglądały na swych „zfrancuziałych“ braci, mających dostęp do pensyj rządowych — osobami, które owym „Fransquillons“ ze świętem oburzeniem wypominają dziś jeszcze sprzedawanie się rządowi bel-

gijskiemu za posady. Po wsiach krążą agitatorzy siejąc nienawiść przeciw Wallonom na wiecach i zebraniach; wychodzą pisma flamandzkie, nieraz powstałe dopiero w drugim i w trzecim roku okupacyi, chociaż cała wielka prasa belgijska zawiesiła wydawnictwa natychmiast po wkroczeniu Niemców, na znak protestu, taksamo jak na znak protestu zamknęły się uniwersytety. Organy belgijskie za granicą powtarzają ustawicznie, że większa część tych dzienników, zarówno flamandzkich, jak wallońskich, czerpie z niemieckiego funduszu godzinowego—lecz oskarżenia te, acz najbliższe do podjęcia, nie muszą być w całej pełni uzasadnione. Wiemy, że nigdzie nie zbraknie ludzi dobrej woli, którzy uważają waśń wewnętrzną za najważniejszą, przyrodzoną niejako funkcję społeczeństwa i że podejmują ją z całym zapałem w każdym stanie politycznym: na emigracyi, pod zaborem, więc i pod okupacją, gdzie do popisania się wymową zachęca przecież rozszerzone audytorium. Takim nie trzeba nawet subwencji: wystarczy swoboda lżenia przeciwnika. To zaś już rzecz umiejętnego stosowania przepisów cenzuralnych przez władze obce.

Ponieważ jednak Belgia została zdana przeważnie na taką prasę, zaś ocenianie zdarzeń ze stanowiska interesu państwowego belgijskiego nie może być, z natury rzeczy w druku dozwolone przez władze okupacyjne, więc musiała stworzyć sobie prasę nielegalną. Pokazywano nam w departamencie prasowym okazy tego bolesnego dziennikarstwa, tych kryptogamów, które mają przedstawiać nieskneblowaną opinię publiczną i stanowić antidotum na grzyby trujące, jakie na swej powierzchni wydaje ziemia okupowana. Niektóre wychodzą w Brukseli i w miastach prowincjonalnych. Inne drukuje się zagranicą i przemyca do kraju, czasem w sposób niezwykły, bo za pomocą

balonów, które wznoszą się w Holandyi i spadają na terytoryum zajętem.

Treści ich nie znamy. Zapewne nietylko atakują władze okupacyjne, ale także zaklinają zarówno Flamandów, jak Wallonów, aby właśnie odłożyli do czasu, gdy będzie je można rozstrzygać pod własnym, swobodnym dachem.

Belgijscy „Ukraińcy“.

Ślad niezatarty. — Złośliwie. — Gra w oryentacye. — „Fransquillons“ i „Flamingants“. — Belgijska Ukraina. — Podobieństwa i różnice. — W odkryte karty. — Claudius Severus. — Bezpłodna nienawiść. — Przyszłość pewna.

Polityka niemiecka w Belgii kroczy naprzód, jak powiedzieliśmy, konsekwentnie i ze świadomością celu. Podział administracyjny Flandryi i sflamandyzowanie a raczej sholenderszczenie uniwersytetu flamandzkiego w Gandawie — bo językiem literackim Flamandów musi być holenderski z braku własnego — pozostaną w historii kraju śladem niezatartym, bez względu na to, jak się jego los powojenny ukształtuje. — Jest to, ze stanowiska Niemiec, taksamo świadome i celowe, jak np. byłoby wywołanie w przyszłym państwie polskim sporów narodowych i „ochrona narodowych mniejszości“, np. żydów, wogóle popieranie wszystkiego, co spójnię państwową rozluźnia i części mieszkańców każe oglądać się na sukursy z zewnątrz. A nazwanie tego „oswobodzeniem małych narodowości“ jest tylko złośliwością pod adresem koalicji, która hasło to podniosła i powtarza.

„Nie dokonaliśmy w Belgii dla Flamandów niczego, czego by nie mieli ustawowo za rządów własnych“ — powiedział wyraźnie piszącemu te słowa jeden z wysokich urzędników niemieckich w Brukseli. „Wy-

pełniamy tylko ustawy już istniejące. Przy wyjątku zaś, jakim jest otwarcie uniwersytetu w Gandawie a zwłaszcza podział administracyjny kraju, możemy powołać się na to, iż część opinii wallońskiej była również za tymi postulatami oddawna“.

A część inteligencji flamandzkiej — przeciw nim. Bo gdy „prawdziwi Flamandzi“ nazywają swoją własną inteligencję, mówiącą po francusku, „Fransquillons“, to sami otrzymują od niej przezwisko „Flamingants“. Ale i wśród tych ostatnich znajdują się, jak wspomnieliśmy, aktywiści i passywiści, prócz tego partykularyści językowi i zwolennicy najprzeróżniejszych kombinacji polityczno-administracyjnych. Niemcy uśmiechają się pod wąsem z tego biednego chaosu, w którym każdy jest politykiem i każdy widzi przyszłość w innym kształcie: począwszy od odtworzenia dawnej Belgii, tylko z większymi jeszcze prawami dla Flamandów, skończywszy na samodzielnem państwie pod dynastją niemiecką. A we środku znajdują się różne podziały administracyjne z podpodziałami politycznymi na państwo samodzielne, na część składową Rzeszy, na republikę neutralną i na niezliczone inne wymysły mózgów, nie mających zajęcia. Władze okupacyjne nie przeszkadzają tej zabawie w „orientacye“, mając skądinąd, jakby sądzić można, doświadczenie, jak ułatwia się trudna praca władz okupacyjnych przez taką grę towarzyską między tubylcami.

* * *

Belgia pod okupacją jest przedmiotem tak niezwykle interesującym, iż żałować trzeba, że w tych notatkach podróжных tak mało może jej przypaść miejsca. Stosunki tamtejsze, niezwykle zagmatwane przez walkę szczepową, komplikują się jeszcze bardziej zawikłaniami, jakie powstają przy skrzyżowaniu się tego plemiennego zatargu z walką polityczną na tle społecznem i na

tle „antyklerykalizmu“. Dopiero po odsłonięciu tych wszystkich sprężyn, mechanizm ukazałby się w całym działaniu.

Flamandyzm, jako ruch kulturalno-polityczny przedstawia dla nas, Polaków, osobną jeszcze, najprywatniejszą ciekawość ze względu na analogie z naszych własnych stosunków. Uważny czytelnik musiał je już spostrzedz, obserwując drogi, jakimi wydrapywał się szczep flamandzki ze swych piwnic ku światłu politycznemu i kulturalnemu. Wprawdzie między Flamandami a Rusinami galicyjskimi wielka zachodzi różnica, o której niżej, jednak jest sporo analogii, zarówno pod względem społecznym, jak pod względem systemów agitacyi. Tak Flamandzi, jak Rusini są do dziś dnia społeczeństwem jednowarstwowem, włościańskim, z cienką warstewką inteligencyi, która dźwiga cały ciężar polityczny i kulturalny; podobieństwo to, wraz z walką przeciw starej i zakorzenionej kulturze — tutaj polsko-zachodniej, tam francusko-zachodniej, jest tak silne, że nie umniejsza go nawet fakt, iż Flamandzi mają w istocie przeszłość pięknej kultury, podczas gdy Ukraińcy dopiero muszą wytworzyć cywilizacyę, której na własność nie posiadali, a w braku tego papieru historycznego przedkładają Europie „centralnej“ takie dokumenty, jakie fabrykował np. p. Dmytro Doncow, podając czytelnikom niemieckim do wierzenia, iż zarodek „Państwa Ukraińskiego“, Zaporozże, było rodzajem zakonu rycerskiego, czemś na kształt Kawalerów Maltańskich. Autentyczne.

Dotakiego przekostyumowania Koliszczyzny na krucyaty Flamandzi uciekać się nie potrzebują, lecz niemniej ich nacyonalizm styka się z rusińskim na wielu punktach, zwłaszcza w systemie działania, który polega na możliwie czarnem malowaniu „przeciwnika“, na wyliczaniu własnych „krzywd“, a troskliwem przemileczaniu wszystkiego, co od „wroga“ otrzymali i czemu zawdzięczają

swój byt narodowo-kulturalny. Taksamo przemilczają np. Flamandzi swój układ społeczny, z jakim weszli w nowe życie — przemilczają, że będąc społeczeństwem włościańskim i analfabetycznym, powoli tylko mogli przychodzić do zaspokajania swych dążeń kulturalnych, bo aby potrzeby zaspokoić, trzeba je wprzód odczuwać. Belgijskimi Ukraińcami możnaby też nie bez pewnej słuszności nazwać skrajnych nacjonalistów flamadzkich, chociaż nie wynika stąd wcale, aby terminologia ta mogła znaleźć zastosowanie naodwrot. Nie zgodziliby się może na to Flamandzi, którzy co słowo rozkładają pergaminy swej średniowiecznej kultury i podpierają niemi swe dzisiejsze żądania, do których zresztą z szacunkiem, choć nie bezkrytycznie, odnosić się musi każdy naród, mający poczucie, czem jest pęd do życia własnego.

To uznać trzeba, chociaż metody działania pewnej części „Flamingantów“ muszą obudzić zastrzeżenia albo i awersję u wszystkich — nawet u tych, którzy, jak Polacy, każdy ruch emancypacyjny witają jako odzwierciedlenie ich własnych wysiłków. Trzeba też było protestować przeciw nazbyt prostolinijnemu utożsamianiu „aktywizmu“ polskiego z działaniem „panów z rady flamandryjskiej“ — zwących się aktywistami — trzeba było chociażby dlatego, aby nabrano wyobrażenia, iż Polacy nie układają się z rządem obcym przeciw własnemu, bo go nie mieli. Można było dodać, iż przed półtora wiekiem przypadki takie się zdarzały. Ale poco by wznawiać wspomnienia przykre dla nas, a dla strony drugiej nie pozbawione aluzyj, prawdopodobnie niemiłych?

Nie możnaby np. tłumaczyć panom z rady flandryjskiej, że w naszych stosunkach nikt nie wyobrazi sobie takich zdań, jakie rzuca właśnie w lud flamandzki jakiś agitator, ukryty pod pseudonimem Claudius Severus, w książce pt. „Vlaanderns Weezang“ („Nie-

dola Flandryi“), wydanej spiesznie w tłómaczeniu niemieckiem. Oto ich przekład dosłowny, godzien podania, bo w tych niewielu słowach mieszczą się zaiste tomy:

„Flamandyzm we Flandryi — zaczyna autor — jest tylko środkiem, nie celem naszych dążeń. Cel jest znacznie wyższym.

„Van Cauwelaert powiedział: „Odrzucimy łaski, jakimi nas darzą Niemcy, odrzucimy je i potępimy“.

„Nie, tysiąc razy nie. Nie odrzucamy niczego.

„Bóg zsyła topielcowi deskę ratunku. Słowa straciły dla nas wszelką siłę. Wątpliwe gesty rycerskości pozostawiamy naszym sąsiadom od południa, którzy mają zdolności teatralne.

„Niemczyźnie, naszej matce (Unserer Mutter Dietsch) trzeba znów dać miejsce honorowe, jakie należy się jej w naszym domu.

„Teraz już niema odtrąconych. Zaprowadzono przymus szkolny. Witaj, drogie słońce! Socyalne ustawy i sumienny nadzór przy pracy. Witamy — witamy je. Niema już niewolników. Witajcie, witajcie, po trzykroć witajcie!

„A co ma się powiedzieć o tych flamigantach profesorach uniwersytetu gandawskiego, którzy nie chcą wyklądać wyklądać po holendersku dlatego, że Niemiec tego żąda?

„Nasza egzystencya flamandzka jest nam droższa niż poklask całego świata.

„De Laveleye pyta gdzieś tam, czy nie obujemy chętniej z człowiekiem obcym, a dobrze wychowanym, niż z brutalnym, nieokrzesanym rodakiem? Otóż naszego brata, który jest brutalem, puścimy kantem (links liegen lassen) dla porządnego Chińczyka. I właśnie dlatego, że naszych tak zwanych braci, Wallonów, znamy tylko przez nieszczęśliwe małżeństwo;

w którym prowadziliśmy przez 85 lat życie samotne i męczeńskie, dlatego więc teraz zwracamy oczy ku innej stronie.“

Tych kilka patetycznych zdań starczy za program. A przyzna każdy, że jeżeli niełatwo spotkać gdzieś silniej skoncentrowany ekstrakt nienawiści, to również jasne, że tak umie nienawidzić tylko naród, który czuje swą niższość — i zazdrości. Tutaj przypominają się słowa Maurycego Maeterlincka, który o pewnych agitatorach flamandzkich tak się wyraził:

„Partya flamingantów składa się z garstki agitatorów, którzy wskutek niskiego pochodzenia i braku wykształcenia nie mogli nauczyć się po francusku. Nieuctwo ich przemieniło się w nienawiść. Pogardzają językiem, który ośmiesza ich w chwili, gdy usiłują nim mówić, albo pisać; więc stworzyli sobie z różnych dyalektów ludowych rodzaj języka, który jest pretensjonalny, barokowy i nie ma żadnej zdolności rozwoju — którego nie rozumieją nawet ci, którym się go podaje za ich własny język ojczysty, a który obsypują zasłużonem szyderstwem istotni flamandzcy poeci, a Holendrzy także“.

Dla scharakteryzowania, jak ta agitacja jest prawdziwą, wystarczy przypomnieć, że ów przymus szkolny, który p. Claudius Severus przypisuje okupacyi, został uchwalony przez parlament belgijski. Okupacja wprowadziła go tylko w życie, gdyż między czerwcem 1914 a sierpniem tegoż roku rząd belgijski nie miał już fizycznej możności tego dokonać.

Nie wiemy, jaki typ polityczny mają „pasywiści“ flamandzcy. W każdym razie trudno im się dziwić, że od nadziei, tez i sposobów agitacyjnych tego rodzaju trzymają się zdaleka. I walka ma swoje granice. Zrozumeli to — jak widzimy — ci flaminganci-profesorowie, którzy domagali się od Belgii, aby na uniwersytecie gandawskim wprowadza-

dziła język holenderski, lecz wykładać w nim będą wówczas dopiero, gdy rząd belgijski ich do tego zavezwie.

To się zwie, w języku p. Claudiusów Severów, „teatralnym gestem“.

* * *

Aby zaaprobować taką agitację, za mało jest życzyć każdemu narodowi dojścia do pełni rozwoju. Nawet zamało jest cierpieć samemu męczeństwo narodowe. Trzebaby zejść na taki sam poziom nienawiści, która w ostatnich swych skutkach zostaje zawsze bezpłodną. P. Claudius Severus zasłuchał się w „Haasgesang“ przeciw Anglii, dzieło pana Lissauera, tak złowróźnie popularne w Niemczech roku 1914. Ale Niemcy roku 1917 wyparły się refrenu „Wir lieben vereint, wir hassen vereint“. I to będzie im zapisane na dobre.

* * *

Brukselę opuszczaliśmy bezwątpienia pod wrażeniem kwestyi flamandzkiej. Konsekwentna i celowa polityka okupacyi buduje tutaj fundament pod przyszłość. Niewiadomo, jaki gmach stanie na tej podmurówce. Ale już dziś się widzi, że założono ją szeroko, „na wszelki wypadek“, tak, aby Niemcy odniosły zawsze korzyść jak największą. A dzieje się to, według wszelkich reguł sztuki polityczno-wojennej, materyałem i siłami robotniczemi przeciwnika. Widzieliśmy, jak w tym celu zarekwirowano waśń miejscową i jak umiejętnie wprzęgnięto do pracy robotnika miejscowego. „Das nenn ich eine tüchtige Arbeit!“, musi powiedzieć każdy, kto potrafi oceniać to dzieło tylko ze stanowiska techniki i przedsiębiorczości.

W etapach.

Stacyjka. — „Panjepferde“. — Bez formala. — Jest car, czy go niema? — Las był. — Piękna wieża. — Co myślą budynki? — Inne czasy, inne pieśni. — Dalej.

Był to mały dworeczyk francuski, między Tournai a Lille. Brodząc w rozmięklej glinie wydobywaliśmy się z wagonów po ciemku na wilgotną mgłę poranka, w której zwiadywały się tu i ówdzie światelka i kontury niewiadomo czego. „To nie nasza stacya jeszcze“ — objaśnił kapitan, prowadzący „grupe“. Tak. Pociąg poprzedzający nas doznał jakiegoś uszkodzenia, trzeba było zatrzymać się przedwcześnie. Samochody czekały na następnym dworcu. Może uda się sprowadzić je tutaj? Skuliliśmy się w jakimś ciemnym zakamarku, telefon dzwonił i syczał na przemiany, na donośne pytanie kapitana odpowiadał z aparatu głos gramofonowy... „Ja wohl... werde melden... Sofort...“

Nie nadjeżdżały jakoś nasze automobile. Przykucawszy na chwiejnej ławie pod ścianą drzemało się trochę. Ktoś kłopotał się, co to będzie, jeżeli spóźnimy się z odjazdem? „Droga może być ostrzeliwana... Dlatego nas tak rano wypędzono, aby przededniem zdążyć na pozycyę... Bo to ogień huraganowy... zaporowy...“ Cała wiedza militarna nabyta przy wycińaniu korespondencyj wojennych, przesypywała się w sennych trochę

rozmowach o czekającej nas grozie. W programie czytaliśmy bowiem wyraźnie: „Przyjazd tam a tam, przypasowanie masek gazowych i hełmów, odjazd do Lens“...

Maski gazowe... hełmy... To nie żart, panie doktorze, naprawdę! Pan doktor kiwał głową, czy też kiwała mu się sama i tak czas przechodził w zmęczonym oczekiwaniu.

Po upojeniu powietrzem w dniu wczorajszym przydałby się być co prawda dłuższy wypoczynek. Samochody, któremi powieziono nas z Tainai na esąły armii, aby pokazać tylne części aparatu wojennego, pędziły ostro. Ziębliśmy, mimo futerek, w jakie nas zącpatrzone. Droga szła w zygzaki pograniczem francusko-belgijskiem. Niema rogatek, niema komory celnej, któraby zatrzymała szary automobil. Kraj płaski, na oko niezniszczony, rzadcy przechodnie, częste biedki na dwóch kołach i samochody ciężarowe z jakimś żerem dla olbrzyma o milionie głów. Chciano pokazać nam robotę, jakiej trzeba dokonać na tyłach armii, aby na przodzie było w czem się chować i czem zabijać.

Migały miejscowości, podobne do siebie. Dłuższy lub krótszy rząd czerwonych domków przy szosie — oto niezbyt malowniczy typ wioski tamtejszej. Pod domkami bawią się dzieci i brnie po błocie landszturmista brodaty, kłapiąc ciężko butami. Stać! Oto stajnie na wieleśtam tysięcy koni. Szopy pobudowane z desek obok pomieszczeń solidniejszych; widocznie jakaś fabryka, bo o nią w tym okręgu przemysłowym najłatwiej, zarekwirowana na stajnie. Przy żłobach konie, a raczej koniki. „Panjepferde“, tłumaczy oficer, podając dla objaśnienia: „russische Pferde“.

Były one taksamo rosyjskie, jak ci chłopci, którzy je w Królestwie wychowali. Domyśliłiśmy się tego nietylko po określeniu „panje“, przyczepianem z wytrwałą bezmyślnością do każdego przedmiotu, który ma ja-

kąkolwiek styeczność z wsią polską. Domyślił się po konopiastych grzywach i ogonach dotykających ziemi a strzępiatych, po krótkich nogach, po smętnie zwieszonym łbie i po tem wszystkim, po czem pozna się na sto kroków chłopskiego konika z Wólki sandomierskiej. Nawędrowały się one, nim stanęły przy żłobie niemieckim w Belgii. Może szły okreżną drogą na Serbię albo Isonzo? Między oficerami polskimi krąży anegdota o furmanie, którego zarekwirowano pod pikelhaubę razem z koźmi dworskimi z jakiegoś Opatowca czy Wierzbowej. Jeździł biedak z „kolonnami“, popędzający i popędzany, oberwało się mu nieraz szpicrutą, czasem kawaleczkiem szrapnela, aż zjechał na drugi koniec Europy, gdzie jednak była poczta. I pan dziedzie pewnego dnia przy herbacie przeczytał kartkę pełną kulaśów i nowin, że niby „momy się wszyscy dobrze, Bogu Najwyższemu dzienkować, kasztan taki jak był, ino Siwa sie troche pod Biła i niech Pan Jezus ma w opiece jaśnie pana i panią dziedzicę...“

Przypomniała się nam ta anegdota, najprawdopodobniej prawdziwa, równie jak opisy korespondentów wojennych, którzy ciągnęli za zwycięskimi armiami od Granicy do Warszawy i donosili do tagbłatów (trzeba zacytować w oryginale): „in Polen gibt et eine besondere Abart von Pferden: koniki genannt. Sie sind nicht groesser als eine richtige Ulmer Dogge. Der eine heisst immer: „H e t t a“, der Andere: „W i ś t a“.

Koniki przemierzyły swemi kopytami Europę wzdłuż i trochę wszere i stoją teraz tutaj, w Belgii, czy też we Francyi północnej, (trudno dociec), a przy nich zwijają się ludzie, którzy odbyli jeszcze dalszą podróż: jeńcy rosyjscy. Może znalazłby się wśród nich jaki fernal z Zabłotowa? Gdy po paru godzinach oglądamy wielki klasztor, przemieniony na mieszkania dla jeńców, nadarza się wśród typów wielkorosyjskich jakaś

para niebieskich oczu i płowa czupryna mazowiecka. Melduje się na łamane rosyjskie zapytanie oficera, czy kto nie mówi po polsku? Został wzięty jeszcze pod jeziorami mazurskimi, pochodzi z gubernii łomżyńskiej czy łowickiej. Jest zrezygnowany i ożywiony, stoi obok kilkunastoletniego kozaka z „Donskiej oblasti“, który sprzedaje pierścionki z metalu od zapalów szrapnelowych.

Jakże ci tutaj? Ot... tak... Wykręca się, zawsze w tej samej obawie „podrywki“, która wiecznie świdruje mu w mózgu, jak tam, na własnej ziemi. A ty, kozak, wiesz, że cara już nie ma? Wie, od tego dostaje gazetkę, drukowaną grażdanką przez Niemców, „Sołdatskij Wiestnik“ czy coś w tym rodzaju. Nie widać, aby wzruszał się losem byłego eksamowładcy. A może nie wierzy? Niemiec chytry... Bóg wie co wymyśli, a ciebie, człowiecze prawosławny, „naduje“.

— Byli tu i Anglicy — objaśnia oficer — ale wyszli gdzieindziej. Kłopot był z nimi. „Tommies“ trzeba było trzymać zdala od Rosyan. Anglicy ich grzmocili, gdzie dopadli.

Znów wiatr świszczuje koło uszu i samochody pędzą niską drogą nad kanałem Skaldy, po którym holownik ciągnie wyładowane galary. Most rozsunięty, lampki czerwone ostrzegają, że trzeba się zatrzymać. Przy drodze sterczą pnie, linia kolejowa sunie tuż obok w pomroku, na tablicy napis: „Le Foret“. Teraz jedziemy ku wielkiej hucie metalurgicznej, gdzie fabrykuje się części składowe do miotaczy min, sufity z blachy żelaznej do zakrywek okopowych, naprawia się karabiny maszynowe, ciągnie druty kolczaste.

Niejeden kociol z fabryk francuskich poszedł tutaj na przelanie. Robotnicy francuscy pracują pod dozorem landszturmistów niemieckich. Dobrowolnie, jak zapewniają przewodnicy. Zapewne, z czegoś żyć trzeba,

choć fabryki własne zamarzy z wyjazdem „patrons“, albo poszły na łom pod ręką nagłego a niespodziewanego właściciela z tytułu wojny. Więc pracuje się, nie chcąc myśleć o tem, że może z tego właśnie miotacza min wyleci śmierć dla rodaka, krewnego, brata.

W rozległej fabryce pionierskiej osobny oddział zajmuje przemysł drzewny. Wielkie piły zgrzytają, mechaniczne heble zdzierają z desek olbrzymie wióry. Tak jak naprawa i montaż sprzętu wojennego odbywa się tutaj dla wszystkich armij odrazu, tak też wyroby drzewne wędrują na różne fronty sznurami wagonów. Najciekawsze są wozy z klatkami na gołębie pocztowe, zaopatrzone wymyślnym mechanizmem; gdy gołąb wraca do jednej z kilkudziesięciu klatek, zapala się lampka elektryczna, tak, iż dozorca idzie na pewne do przegródki numer taki a taki. Przerabia się tutaj kilkaset metrów kubicznych drzewa dziennie, jak zawiadania oficer kierujący, dumny z rozwoju przedsiębiorstwa. A drzewo skąd? Jakto — odpowiada jowialnie — czy panowie nie widzieli po drodze napisu: „Le Foret“?, „der Wald“? — tłumaczy na niemieckie. — „Tam był Le Foret“.

Znów wiatr i gwizdawki samochodów, świegoczące jak ptaszki w ciemności gościńca. Musimy obejrzeć jeszcze „Armeeminerallwasserquelle“, niedaleko miasteczka St. Amand. Przejeżdżaliśmy już poprzednio przez tę czyściutką, wdzięczną kupkę domów z ogromną wieżycą na środku. St. Amand nazywa się „miastem z piękną wieżą“. Sterczy ona jako ślad dawnej kultury klasztornej, która spływała na okolicę z wielkiego opactwa Cystersów“. Opat Dubois, dyletant-architekt, zbudował tu rękami prostych majstrów a według planu swej genialnej głowy olbrzymi kompleks budynków z kościołem na froncie; kompleks taki, że sam starczyłby za całe miasteczko,

które dzisiaj rozpostarło się na jego gruzach. Bo wojska wielkiej rewolucyi francuskiej, zajmwszy w r. 1794 St. Amand, sprzedały cudowną budowlę na gruz... Rozwalono ją, wysadzono prochem i ciosy poszły na licytację razem z dziełami sztuki, których resztki ocalały wraz z podpisami Rubensa, Van Dycka i Pawła Veronese. Klasztor, postawiony w r. 1666, przetrwał niecałe lat sto-trzydzieści. Do odłamku jego bramy wchodowej przybudowało się merostwo, sterczy jeszcze mniejsza wieża gdzieś z boku, a wznosi się nad wszystkim owa wielka, „piękna“, istotnie zdumiewająca ogromem, proporcjami, wytwornością linii i niezwykle szlachetną patyną szarą w białe pręgi i plamy.

Weźmy do ręki przewodnik ilustrowany, jaki wydała swym nakładem „Liller Kriegszeitung“. „Wnętrze wieży, — czytamy tam — mieści obok wielkiego dzwonu, ulanego przez opata Dubois, wielki kurant z 38 dzwonów, na którym teraz co niedzieli wojskowy organista gra niemieckie pieśni i chorały. Gdy nadejdą wieści o wielkiem zwycięstwie, grzmi potężny dzwon, a mięsza się z jego dźwiękiem, ulatując nad miasto, stara, piękna pieśń „Deutschland ueber alles“. Czasy się zmieniają“.

A oto końcowe zdania tej książeczki:

„Mimo francuskiego pokostu dokoła, stara wieża nie dziwi się wcale czasom dzisiejszym. Dla nas, Niemców, niema w niej nic obcego, a zwłaszcza po dłuższej znajomości staje się nam coraz bliższą. W gruncie rzeczy kolos ten nie jest wcale Francuzem, przeciwnie, rozparł się silnie i szeroko, jak prawdziwy Flamandczyk z uczciwie germańską krwią w żyłach. Gdy potężny dzwon obwieści pokój, to wieżyca nieraz będzie przypominała sobie żelazne czasy i ludzi szarych, a może nie byłaby niechętną temu, a by poz o-

stać dłużej uczciwie niemiecką?„...

W każdym razie dobrzeby ją było spytać.

* * *

Zaś ze źródła mineralnego St. Amand, które wydawało ledwie 1000 flaszek dziennie, wydobywają Niemcy 50.000, w razie potrzeby wydobędą drugie tyle. Francuskie robotnice napełniają flaszki, prócz tego urządzono kąpiel z napisami, gdzie się trzeba ubierać i rozbierać i wogóle zaprowadzono porządek, jak wszędzie, gdzie wkroczy armia niemiecka. „Francuzi powinni być kontenci, że nauczymy ich trochę ładu — mówił mi, śmiejąc się pocziwie, jakiś major, Bawarczyk z pochodzenia — bo co do porządku, to są przecież świnie“. A woda mineralna z St. Amand rozchodzi się do wszystkich armij niemieckich w dziesiątkach wagonów, razem z miotaczami min i klatkami na gołębie pocztowe.

* * *

Zwiedziliśmy jeszcze fabrykę karbidu, piekło żółtych płomyków i czosnkowego zapachu, oraz cementownię, takie samo piekło tylko hałaśliwsze. Podziw nad ogromem roboty i nad jej uporządkowaniem mięszął się coraz wyraźniej ze zmęczeniem. A po głowie ciągle tłukła się naiwna myśl: ile pracy ludzkiej idzie w energię niszczenia! Co możnaby stworzyć, gdyby zaprzędz do celu pozytywnego wysiłek taki, jaki rozwija się po obu stronach frontu: tutaj, aby zdobyć, tam — aby się oprzeć? Te dwa wysiłki mocuują się ze sobą od bitwy nad Marną, jak dwaj zapaśnicy, a walka stoi w miejscu. Tu dokonuje się rzeczy olbrzymich — tam gigantycznych. Tutaj stalowa wola ataku — tam żelazna twardość odporu. Szale ani drgną. Czy się ruszą?

Pytanie to zadajemy w dwa dni po Nowym Roku 1917, tak jak zadawaliśmy je sobie przy końcu listopada w Tournai, w willi jakiegoś bogacza belgijskiego, którą zajął

jenerał von Quast i w której między portretami familijnemi wcale podrzędnego pędzla odbywał się „Bierabend“, przy napełnionych narodowym trunkiem kryształach z dobrze zachowanego kredensu właściciela.

.....
„Jedziemy dalej, panowie, do Orchies“. Przecknęliśmy się z marzącej drzemki. W półświcie-półmroku stały na szynach wagony, gotowe dowieść nas do czekających samochodów. „Prędzej, prędzej, bo się rozwidnia...“.

Więc teraz już na front.

Francuskie Pompei.

Gdziekolwiek. — Trzy strefy. — Wśród ruiny. —
Widma rzeczy matwych. — Miasto, które było. —
W zakrywee. — Kto zniszczył? — Pustynia. —
W Lille. — Spojrzenia. — Na pożegnanie.

Nazywa się ono Lens, Courrieres, Sallaumines, albo dowolnie, byleby nazwę wybrać z pomiędzy miejscowości po jednej lub drugiej stronie frontu w północnej Francyi. Wygląda zawsze taksamo. Jak? Zobaczyliśmy na paru przykładach, gdy samochody niosły wycieczkę naszą ze stacyjki Orchies, na drodze z Tournai do Lille, ku pierwszym rowom strzeleckim.

Między tym pasem walki a etapami, trzy można odróżnić strefy. Pierwsza napozór nienaruszona, przynajmniej przy tej drodze, którą przelatywaliśmy. W drugiej domy trochę zestrzelane, lecz ludność pozostała; w trzeciej już wiele gruzów i w nich ledwie trochę ludzi cywilnych. Nakoniec strefa bitwy: szczątki bezkształtne pomieszczeń ludzkich, a wśród nich sami ludzie w hełmach stalowych i z maskami gazowemi u pasa. I nam również dostały się te przybory karawalu 1914—191....? Myśleliśmy zrazu, że przewodnicy nasi pragną podnieść nastrój sztucznym trochę dreszczem. Okazało się, że traktowano gości tylko na równi z domo-

wnikami pół śmierci. Kogokolwiek spotka-
liśmy, dźwigał szarą puszkę, którą otwiera
się za alarmem iż gazy płyną, aby ustroić
się w coś podobnego do małego przyrządu
dla nurków, który ma okulary na oczy i
długą bujającą się trąbę, zakończoną fil-
trem, trzyma się zaś na czaszce zapomocą
gumowych wstążek.

„Do samego Lens już się nie dostanie-
my“ — zakonkludował kapitan po rozmowie
z miejscowymi komendantami w jakiejś wio-
szczyźnie, gdzie zatrzymano nas dla rozdania
masek. „Za jasno. Ostrzeliwanoby drogę na-
tychmiast, gdyby spostrzeżono samochody.“
Szkoda. „Ale i tak zobaczymy przedmieścia,
drugą linię; to daje pojęcie o miejscu bitwy,
o pozycjach...“.

Jechaliśmy smutnym, szarym krajem. Przy-
szosie sterczą pnie drzew i resztki krzaków
pokaleczonych może siekierą, może szrapnel-
em? Deszcz mżył i zaciął ostry wiatr. Na
drodze, ciągle niszczonej przez pociski i przez
ciężkie koła, a ciągle naprawianej, spoty-
kało się od czasu do czasu oddział robotni-
ków francuskich z blaszanymi numerami na
czapkach, albo wóz, wlokący się powoli, bez
pośpiechu, jak gdyby nigdy nie miał się za-
trzymać, tylko tak sunąć, sunąć niby we śnie;
kilka razy ukazał się miotacz min, powożony
przez żołnierza, zakutanego w płaszcz, z bar-
kami skulonymi, z głową wciągniętą w koł-
nierz gestem wyrażającym tępą rezygnację.
Koń człapał machinalnie ze łbem zwiesz-
onym, nie podnosząc go nawet na pisk i szum
samochodu. A huk armat, który nie opusz-
czał nas od dwudziestu czterech godzin, od
zajechania do Tournai, łomotał nieustannie,
głucho, jak grzmot podziemny.

Przelecieliśmy kilka razy przez postrze-
pione kulami wioski czy osady górnicze. By-
ła to już strefa trzecia: strefa zniszczenia
metodycznego, pocisków padających na pe-
wne, dzięki awiatorom, którzy obserwują z
pod chmur każdy strzał i telegrafem bez

drutu zawiadamiają baterię, odległą o parę mil może, czy dobrze mierzono. Gdzieniegdzie ostał się jeszcze między ruinami domek, albo dwa, tylko szyby wyleciały wskutek eksplozji sąsiednich. Wyglądało to tak, jak gdyby dom otworzył oczy i dziwił się, że jeszcze stoi. Na niektórych zwaliskach można było obserwować drogę, jaką zrobił pocisk: okrągły otwór, którym wleciał i miejsce, gdzie pękł, wyrywając lej w ziemi. Widać to było przez wydartą przednią ścianę domku, która znikła, jak gdyby ktoś podniósł kurtynę. Scena, jest to pokój bez czwartej ściany.

Na ruinach i na ścianach jeszcze całych napisy: „Do Orchies... Do Saullémines, Studnia... Zakrywka na lewo... Alarm w razie ataku gazowego... Kantyna...“ Obok napisów strzałki rzucone wapnem na czerwoną cegłę. Gdzieniegdzie niemieckie napisy ulic, skomponowane przez żołnierzy na cześć generałów i wyższych komendantów. Oto „Beselerstrasse“... Zaleciało nas Warszawą w tym francuskim Kaliszu.

„Wysiadamy!“ Z pod zatrzymanych samochodów tryska fontanną żółta glina. Nawprost, jak okiem sięgnąć, długi pas drogi, podnoszącej się trochę ku górze. Na prawo jakieś kominy w oddali, na lewo szarzejce coś na wzgórzach. To pozycje angielskie.

A w koło nas ruina tak potworna, że chciałoby się pięści zaciskać i gryźć palce na myśl, że rozbastwione drapiestwo urąga tak w biały dzień bezsilnemu światu. Na opis dokładny trudnoby się silić. Mieliśmy w rękę potem fotografie Saullémines i Lens. więc dokumenty, zdawałoby się, najwierniejsze. Ale soczewka tutaj zawodzi. Cóż stąd, że z niechybną dokładnością odbije rozwalony dach, cegły zmiażdżone na okrucy, belki poprzekładane w głupim chaosie i kałuże szkła potłuczonego? Patrzeć na to, to zupełnie, jak czytać protokół sądowy z wizyi lokalnej na miejscu zbrodni, protokół,

który grozę rozpiętanego zła ujmuje w monotonną *speciem facti*. Tutaj trzebaby malarza — i to tak wielkiego odczuciem ludzkim, jak nieludzkim jest ten widok.

Poszliśmy ścieżynkami między drutem kolczastym, który rośnie tu tak gęsto, jak jaskry na wiosennej łące. Pierwszy dom, jaki minęliśmy, miał w tylnej ścianie olbrzymi wyłom; przez chropawe zygzaki frontowego muru wysypywały się tapety, sprzęty i dachówka. Zupełnie człowiek ranny w plecy, któremu kula, idąc w skos, wydarła wnętrzności. Drugi dostał granatem z boku, pod samym wierzchem; dach zesunął mu się na bok, niby czapka wsadzona na bakier po pijanemu, cztery okna wyleciały razem z ramami, dwa były zupełnie nietknięte i szklily się, jak oczy umierającego. Obok zaczynał się pas najtrafniejszych strzałów. Rzadko jaki mur wznosił się w całości wyżej niż na półtora metra od ziemi i szerzej, niż na połowę dawnej ściany; między nimi nie było już gruzów, ale wióry i strzępki wszystkiego, co żyło tutaj życiem mieszkańców, jako sprzęty, naczynia, odzienie, bielizna. Łóżeczko dziecinne z blachy białej w niebieskie prążki przechowało się jeszcze w całości, chociaż skrecone w kłęb siłą wybuchu, wbite w materacyk i okrecone kołderką; na niem leżał kawałek rydła i solniczka. Zresztą jedno zwalisko, posypane utłuczoną na proszek cegłą, która pod deszczem zmienia się w czerwone błoto i spływa w gliniaste bajury, niby kałuża krwi świeżej. Tak można iść całymi kilometrami.

Niespodzianie wynurzy się czasem widmo domostwa: jedna ściana, pochylona nad krwawem błotem, albo dach, wsparty jakimś cudem równowagi na resztkę muru, wyglądający jak grzybisko o kwadratowym kapeluszu, z trzonem przerosłym na jedną stronę. Pod takim dachem leżała kasa ogniotrwała, a z boku walał się szyld: „Horlogerie, Orfèvrerie“. Najstraszniejszy był złom muru, któ-

ry sterczał samotnie, od góry był przebity dwoma pociskami mniejszego kalibru, od spodu ział wielką okrągłą dziurą i stał pod światło, które przelatywało jaskrawo trzenia otworami. Patrząc nań, widziało się rwarz ludzką, oczy wywalone w obłąkanym strachu i usta wołające o pomstę do nieba.

* * *

Potykając się i podnosząc, obłoceni, przemarznięci, brnęliśmy w rozmokłej glinie, która czeptała się butów obślizłą warstwą. Lej przy leju pokrywał ziemię, jak wrzody peknięte i wypełnione czasem wodą o zielonawych, tłustych pobłyskach, niby ropą. Oficer prowadzący przystanął i rzekł, wyciągając rękę:

— Tam był o Lens.

W zamglonej dolinie szarzało coś niewyraźnie. Ktoś miał lornetkę. Ujrzelśmy jedną kupę gruzów, które zasłaly miejsce, gdzie wznosiło się miasto siedmdziesięciotysięczne.

— Nie stracili panowie wiele, że nie możemy dojechać. Tam wygląda taksamo jak tutaj. Tylko tego więcej.

I wskazał na rumowisko dokoła.

Grzmot podziemny przewalał się coraz głośniej. Odróżniało się najgłębszy bas ciężkich kalibrów od jaśniejszego trzaskania dział połowych, najcieniej zaś eksplodowały pociski, które czasem widać było dokładnie na szarem niebie, jako rozpalone stożki, które otula bardzo biała chmurka. Pojedynczy strzał wyskakiwał czasem naprzód, jak głos solowy na tle chóru. Działo się to wszystko na odcinku przyległym; nasz był spokojny tego dnia. Wokół rozpościerała się pusyka, która nazywa się polem bitwy; nie, prócz drutów kolezastych i błota. Niemniej byliśmy na jednej z najsilniejszych pozycyj zasuwkowych linii „Wotana I“ choć mogliśmy o tem nie wiedzieć, bo linia znajduje się dosłownie pod ziemią. Wejścia są w lejach, zasłonięte gałęziami lub deskami, odszukać je

potrafi prawdopodobnie tylko wtajemniczony, po znakach, gdyż lej „wejściowy“ nie różni się niczem od „pustego“. Niektóre powyrywane zostały pociskami, niektóre wykopano umyślnie. Tablice na słupkach wskazują drogę do zakrywek; w nocy błyszczą światłem fosforycznym, aby żołnierze, luzujący załogę, mogli trafić do swego „mieszkania“.

Zwiedziliśmy parę takich schowków. Sufit stanowi blacha żelazna, podłogę deski, nie brak piecyków; tam, gdzie użyto na zakrywki piwnie poburzonych domów, spotyka się pewien komfort, zwłaszcza w pomieszczeniach oficerskich: łóżka, jakieś litografie na ścianach, nieunikniony gramofon. Schodzi się do tego po umazanej drabinie. Ludzie krzątają się, dobrze odżywieni, przeważnie bardzo młodzi, rześcy, bez zmęczenia w oczach. Siedzą tu tydzień, czasem dłużej, gdy ogień zaporowy odetnie komunikację z rezerwami i nikt zlizować nie przybywa. W stalowych hełmach, z maskami gazowymi u pasa, uwijają się w tej norze, która lada sekunda może stać się ich grobem, a w której starają się zadomowić, jak można najwygodniej.

O pół kilometra stąd Anglicy wiodą ten sam żywot troglodycki; dalej, na południowy zachód, Francuzi; ku południowi Włosi; ku wschodowi Turcy. Zaś Amerykanie przechodzą właśnie studia wstępne, jakich potrzeba, aby stać się człowiekiem jaskiniowym dwudziestego stulecia.

Wracaliśmy do samochodów przez ruiny. Oficerowie objaśniali często kaliber pocisku, który wydarł domowi wnętrzości, dodając: „Wszystko, co tutaj widać, to zniszczyli Anglicy“. W Brukseli rozdawano nam pisma, drukowane po francusku, z ilustracyami, które przedstawiają zrujnowane miasteczka belgijskiego pobrzeża i mają wszędzie podpis: *de t r u i t p a r l e s A n g l a i s*. Gdyby dzisiaj potop zalał ziemię, a kartki te jedyne

ocalały, to przyszli archeolodzy mieliby, doprawdy, pole do uczonych hipotez: o co szło w tej wielkiej wojnie, którą Anglia prowadziła przeciw Francji?.....

— Stoimy tu wobec wielokrotnej przewagi nieprzyjaciela — tłumaczył oficer. — Pozyce nasze są właściwie nie do wzięcia. Ale niczego wykluczyć nie można, więc możliwy jest odwrót o kilka, czy kilkanaście kilometrów. Jeżeli Francuzi nas zepchną, to dostaną znów kilkanaście kilometrów pustyni.

Pustyni, która była Francją.

* * *

Przed dworcem w Lille gruzu. Stał tam wielki blok domów. Obok ulica, wiodąca ku Grande Place, a wyburzona prawie doszczętnie. W mieście widzi się takie szczyrby co chwila, obok domów zupełnie nietkniętych. Ogółem poszło w ruinę tysiąc siedmset kamienic i budowli publicznych — Lille miało przed wojną przeszło pół miliona mieszkańców, razem z przyległymi miastami Tourcoing i Roubaix. Tysiąc czterysta padło w dymie pocisków, gdy Niemcy zdobywali tę twierdzę, z którą moździerze nie miały nawet cząstki tej fatygi, co z Antwerpią, albo z Leodyum; trzysta runęło w styczniu 1916, gdy z niewiadomej przyczyny wybuchnęła niemiecka fabryka amunicji. Gdzie się zwrócić, zieją wyłomy w ulicach i leży gruz. W zwałonej bramie przekupień kartek pocztowych rozłożył swój kram i łamaną niemiecką traktuje z szarymi żołnierzami, którzy chowają do tornistrów „Andenken aus Lille“. W sklepach resztki bogatych składów, które wyczerpały się w trzech latach zapotrzebowania i rekwizycyj. Kupcy łodowato grzeczni; nastrój ludności wogóle łatwy do odgadnięcia, lecz trudniejszy do zniesienia, jeżeli nie jest się zdobywcą, jeśli nie stąpa się po bruku z myślą: „to moje, bo zagrabione orężem“ i jeżeli nie myśli się z leką czułości o pocziwych armatach, które

to wszystko załatwiły. Czasem chwytą się spojrzenia tak wymowne, że trudno ich zapomnieć. W tramwaju siedział francuski oficer-emeryt, z wstążeczką Legii honorowej na czarnym mundurze, wsparty o laskę. Z pod kępi wyglądał profil orli i bujna jeszcze siwizna. Wsparł się na lasce i wodził okiem naprzemian po ruinach i po mundurach Niemców...

Wśród gmachów, które ocalały, pozostał niewielki teatr, gmach takiej wygody i przepychu, jakiego nie znalazłoby się i w Paryżu poza Wielką Operą. We wrześniu 1914 miał być uroczyście otwarty. Oczekiwano prezydenta republiki, przybył generał niemiecki. Gra tam trupa frontowa, po raz pierwszy widzieliśmy amfiteatr z samych umundurowanych mężczyzn, poza paru żonami oficerów. Napisy przemalowano na niemieckie, łoża nazywa się nie „Loge“, lecz „Laube“, wskutek czego niełatwo do niej trafić nawet Niemcowi, jeżeli nie jest purystą językowym typu 1914. Poza tem napisy na ścianach wskazują wszystko, co wolno robić, a co jest zakazane. Jedna tablica obwieszcza komfort niecodzienny: „W piwnicy na prawo i na lewo schowki, bezpieczne od bomb“. Idzie o lotników, in gratiam których całe miasto jest wieczorami zaciemnione. W nocy budził nas w wagonach sypialnych dwukrotny huk i łomot, podobno padły gdzieś bomby.

Smutnie w tem pięknym starem mieście, które jeszcze Vauban fortyfikował za czasów Króla-Słońca. Duszą w niem, mimo przestronnych ulic. Niełatwem musi tu być życie od lat trzech. Tym, co doczekają innego, zostanie pamięć niezatarta chwil, w których trzeba było tak mocno cierpieć i tak niezłomnie wierzyć.

Herr Leutenant.

Wykład o bitwie. — Tanki. — Żołnierz angielski. — Czego braknie? — Oficer i podoficer. — Wspomnienie. — Wiersz o leutenantie. — W takt bębna. — Najgłębsza myśl. — Tak być musi. — Dobór i wybór.

Na stole leżały mapy i szkice terenu walk pod Cambrai. Major sztabu jeneralnego tłumaczył gościom kwatery armii w X. atak angielski za pomocą tanków na pewien odcinek frontu.

— ...Tanki są moralnym przedewszystkiem środkiem walki — mówił powoli i z naciskiem. — Żołnierz w zakrywce musi jednak odczuć pewien dreszcz, gdy widzi takiego potwora, sunącego z parskaniem i łomotem. Potwór..., bo tanki mają do 30 metrów długości w największych egzemplarzach, a hałasują srodze. Przechodzą w istocie rowy i zasięki kolczaste, bo niosą na grzbiecie własną szosę, że się tak wyrażę: są owinięte w rodzaj pomostu, obracanego przez koła: łańcuch bez końca. Nie od tanków jednak zależy sukces uderzenia, lecz od żołnierza, który za nimi idzie. Z tankami dajemy sobie rady, wiemy już, jaką amunicją do nich strzelać, aby kula przebiła pancierz, wiemy, gdzie celować i pod jakim ką-

tem ustawić armatę, aby najtwardszy nawet pocisk nie odbił się od powłoki.

Tutaj pokazał major rysunek tanku, przekrój, na którym czerwoną farbą uwidocznione były rezerwoary na benzynę i na smary, oraz magazyn amunicji.

— ...Jak tutaj go trafić — wykladał — tank wybuchą z całą pewnością. Niszczymy je też dokładnie, mało który uchodzi cało. Ze stanowiska techniki wojennej jest taka maszyna dużym postępem, lecz nasz front jest teraz tak urządzony, że przerwanie jednej linii lub chociażby dwóch, nie wpływa na sytuację ogólną, zwłaszcza, że, jak powiedziałem, nie środki techniczne, ale żołnierz rozstrzyga w ostatniej instancji o sukcesie. Otóż żołnierz angielski...

Zatrzymał się i po chwili mówił dalej:

— Żołnierz angielski jest bezwątpienia materiałem wybornym. Idzie za tankiem do ataku jak na spacer, z zimną krwią, czapkę wieszania na lufie, fajkę ma w zębach, ostrze-
liwaniem się nie płoszy. Bije się wybornie. I gdyby na miejscu piechoty angielskiej była pod Cambrai nasza, to front nasz mógłby w istocie ponieść duży szwank. Było inaczej i będzie zawsze inaczej, a to dlatego, że armii angielskiej brak jest jednego czynnika zwycięstwa. Ma ona sztab świadomy celu, wyborne środki techniczne, plany obmyślane bez zarzutu, żołnierzy dzielnych i przytomnych. Ale gdy poszczególne oddziały wypełnią to, co w rozkazie mają zakreślone, gdy przychodzi zacząć coś z własnej inicjatywy, wówczas kończy się dobra robota, zaczyna się niepewność, wahanie, strata czasu, a w następstwie sukces taktyczny pozostaje niewyzyskany. Oddziały, doszedłszy do pewnych punktów, nie wiedzą, co mają począć dalej. Brak im inicjatywy, samodzielności, orjentacyi, co należy szybko przedsięwziąć. Przez ten czas wahania my zbieramy nasze rezerwy, uderzamy i odzy-

skujemy wszystko, cośmy utracili. Walka była dla Anglików bezowocną.

Bo armii — zakończył — nie da się zaimprovizować. Środki techniczne można kupić za pieniądze. Żołnierzy można wyćwiczyć, zwłaszcza, gdy materiał ludzki jest wyrobiony w sporcie, odporny na trudy, przedsiębiorczy i odważny. Sztaby koalicji mogą wspierać się nawzajem doświadczeniami na wszystkich frontach. Jednego wszakże ani kupić, ani w rok czy dwa wyćwiczyć nie można: leutemanta i podoficera. Dwóch ludzi, od których zależy w znacznej mierze wyzyskanie pierwszych sukcesów taktycznych, zainstalowanie się na zajętej odcinku, rozszerzenie ataku, poprowadzenie go dalej, gdy pierwsze zadania zostały spełnione. Inicyjatywa i energia tych ludzi decydują o sukcesie. A na to, aby mieć poręcznika i podoficera, trzeba mieć tradycję militarną. Ma ją Francja i dla tego armia republiki jest wobec nas przeciwnikiem zupełnie równorzędnym. Niema ich Anglia, bo nie była nigdy państwem militarnem. A zresztą wiedzą panowie, co powiedział Bismark: „Den preussischen Leutnant macht uns niemand nach!“ Na to trzeba setek lat i kilku pokoleń żołnierzy z ojca na syna. Dyletantyzmem nie się w wojnie nie robi.

.....

Po stronie koalicji słyszy się hasło, że w wojnie tej idzie o zniszczenie pruskiego militarysty. Sprowadził je na grunt rzeczywistości już dawno p. Paul Deschanel. On to, jeżeli nie zawodzi pamięć dziennikarska, oświadczył w jednej ze swych mów, że walka z militarystą pruskim jest walką z całym duchem narodu, z całym jego rozwojem historycznym i z konsekwencjami tego rozwoju. Prusy są państwem militarnem, bo orężem się zbudowały od czasów Kurfürsta, zwanego Wielkim przez historyografów niemieckich. Aby wykorzenić z nich milita-

ryzm, trzeba by zburzyć nie tylko koszary, ale szkoły, w których naucza „Schulmeister“, co to miał wygrać bitwę pod Sadową, oraz uniwersytety, siedziby „zbrojnych zjednoczeń studenckich“. Trzeba by przebudować całe życie, cofnąć w tył historię, aby zmienić psychikę. Ona to sprawia, że armia jest rdzeniem społeczeństwa i wzorem dla wszystkich innych instytucyj, szkołą dyscypliny, którą stosuje się w urzędzie, w życiu rodzinnem i politycznym. Partya socjalistyczna jest zorganizowana tak, jak korpus armii. „Wer nicht parirt, der fliegt!“ Kto nie słucha, tego się wyrzuca. Wyszła niedawno w Berlinie broszura p. t. „Czemu Niemcy są tak znienawidzeni?“ Autor porusza w niej kwestyę militaryzmu i dochodzi do wniosku, że trzeba go zrozumieć u narodu, który rodzi się z pojęciami militar-nemi, tak jak ślimak ze swoją skorupą. To samo powiedział p. Deschanel innemi słowy. Temu zawdzięczają Niemcy swojego leut-nanta.

Był on w czasie pokoju przedmiotem konceptów, czasem zjadliwych, jak w „Simpli-cissimusie“, czasem dobrodusznym, jak we „Fliegende Blaetter“ Bawiono się jego kasto-wością wojskową, jego fachowością, która wprowadzała go nieraz w zakłopotanie, gdy rozmowy towarzyskie wychodziły poza banalność i skręcały na kulturę, sztukę, literaturę. „Homer... aha!... to ten drab, co umiał śmiać się do rozpuku!“ — kazało jakieś pismo humorystyczne odpowiadać leutenantowi na zapytanie panienci, e-mablującej go... Iliadą. Śmiano się z leute-nanta, ale każdy Niemiec, gdy miał prawo do tytułu porucznika rezerwy, nie omieszkał dodać przy przedstawianiu się: X. X. Leutenant der Reserve.

We wspomnieniach turystycznych piszącego te słowa została żywo scena, jakiej był świadkiem przed laty w jednym z teatr-zyków berlińskich, gdzie produkuje de-

klamacyjno-wokalne gromadziły publiczność złożoną z filistrów różnego pokroju, rodzin urzędniczych i kantorowiczów i gdzie gość obcy mógł dokładnie obserwować typ zabawy, ulubiony przez stołeczną przeciętność. Monotonnie włókł się program. Wykonawców przyjmowano z chłodem, który zresztą ich mierności słusznie się należał. Po „śpiewacze mówiącej“ — specyjalność kraju takich gardeł, jak północno-niemieckie — i po paru lodowatych dowcipnisiach przyszła kolej na deklamację seryo, która również spotykała się z obojętnością. Wykonawca, jakiś wykolejony aktor z prowincyi, daremnie próbował rozgrzać słuchaczy. Aż nakoniec trafił na żyłę złota rymowaną opowieścią o... leutenantcie.

Siedząc na krześle jak na koniu zaczął opowiadać dziwną przygodę, jaką miał w winiarni. Siedząc tam z przyjaciółmi, gwarzył o tem i owem, gdy wszedł młodziutki, świeżo upieczony porucznik. Wąs ledwie posiany, mundur z igły, krok dumnie śmieszny. Zastukał pierścieniem o kielich: „Hej, flaszkę Mumma! A dobrze zamrozić!“.

Ten i ów spojrzął na młodzika. Ktoś parsknął śmiechem z takiego „żołnierza jego cesarskiej wysokości“. Bo „czego może chcieć cesarz od takiego smarkacza?“ „W a s w i l l d i e M a j e s t a e t v o n d e m J u n g e n?“ — spytał opowiadającego przyjaciel, śmiejąc się na całe gardło...

Tutaj sala ożywiła się. Ucichły rozmowy. Stłumiła je ciekawość dalszych losów leutenanta. A recytator wszedł w rejestry uczuciowe.

Podczas gdy jego knajpiani towarzysze drwili — jak mówił — z oficerka, on przeniósł się duchem na pole bitwy. Grzmiały działa, jęczy trąbka do ataku. Oddział piechoty runął na nieprzyjaciela, a przodem — ów bezwąsy leutenantik z mieczem w dłoni. Prą szturmem... odparto ich... wracają... on

na czele, bez helmu, wskazuje na wroga, krzyczy...

Wreszcie doszli przez grzmot i dym. Krótka walka, potem hymn zwycięstwa brzni tysiącem głosów. „Nun danket Alle Gott...!“

Tylko on go nie słyszy. Na bezwąsych wargach skrzepla mu krew. Rękę ciśnie do piersi, z której przed chwilą wyrywało się ochryple: „Naprzód!“. Leutenancik nie żyje. Skonał za ojczyznę, „er, den die Kanonen in den Schlaf gesungen...“.

Sala zasłuchała się. Z ust recytatora płynęły słowa powoli, nisko, jak pieśń cmentarna. Aż zebrał się w swej małej figurce, wstał, podrzucił głowę do góry i uderzył się na całe gardło:

„Das will die Majestaet von dem Jungen!!!“...

I dopiero ryk, szczeł szklanek o podstawki, rotowy ogień klaszczących rąk. To trafiło do serc. Wszystkie uderzyły w takt bębna pruskiego. Może poznano się na takim efekcie, może odczuto prowincjonalizm w tym zdefektowanym aktorze, który błąkałby się po zakamarkach pomerańskich z jaką wędrowną trupą, gdyby nie miłosierny teatryk, który przytulił jego lichotę. Może śmianoby się z jego patosu, gdyby nie sygnał trąbki, utajony w tych wierszach, którymi szarpnął najczulsze nerwy słuchaczy. ...„Das will die Majestaet von dem Jungen!“...

Tak przedstawia się właściwy, najgłębszy pogląd ogółu na leutenaanta. Pod konceptami kryje się cześć, pod złośliwością entuzjazm do wszystkiego, z czego się podśmiewano. Społeczeństwo zdawało sobie sprawę, że kielnią gmachu zjednoczonych Niemiec był miecz leutenaanta pruskiego, „którego nikt nie podrobi“. Rozumiano, iż oficer taki musi być odgraniczony od społeczeństwa murem swej kasty, że korpus oficerski musi kompletować się wolnym wyborem każdego pułku; że cesarz czy „Landesfürst“ wówczas

dopiero może wydać porucznikowi patent oficerski, gdy pułk go sobie wybierze i przyjmie go na łono swej rodziny. Przyjęto z uznaniem procedurę taką, w której przed „wyborem“ oznacza się, wiele ma przyszły leutenant z domu otrzymać jako „Zulage“ do pensyi oficerskiej, aby mógł żyć na stopie odpowiadającej godności stanu. Wiedziano, że tak zebrany korpus oficerski będzie stosem pacierzowym armii, która jest stosem pacierzowym państwa pruskiego, a teraz — niemieckiego. Leutenant musi być takim, jakim jest, aby Niemcy były tem, czem być pragną.

* * *

— ...tak, panowie, — kończył major sztabowy. — Aby mieć armię, nie dość tupnąć nogą w ziemię. I dlatego my, Niemcy, jesteśmy spokojni.

Sklonił się na znak, że prelekcyja dobiegła kresu i podczesał wąsa.

Odwiedziny u legendy.

Trzeźwe miasteczko. — Ballada o Hindenburgu. —
Potrzeba legendy. — W sam czas. — W cieniu. —
Miecz i polityka. — Dwa plutony. — Debreczyn
i Petersburg. — Pożeganie. — W ekstazie. —
Daremne zaprzeczenia.

Niedaleko Renu leży małe zdrojowisko, do którego jeździł chętnie Bismark i dlatego stoi tam do dziś dnia in effigie na placu, udającym Rynek. Miasteczko nie grzeszy poetycznością, przeciwnie, jest z wyglądu tak trzeźwe, jak gdyby nie pijało nigdy nie prócz swych własnych solanek. A teraz dostąpiło na jakiś czas zaszczytu, że gości u siebie Wielką Główną Kwaterę, zaś w tej kwaterze Legendę.

Legenda jest wysoka, tęga, o ruchach powolnych i trochę marsowo ocieężalych, posiada nawet pewien embonpoint, sumiaste wąsy i dużą głowę, o której studia całe pisali uczeni antropologowie z niemieckich uniwersytetów. Zaraz po klęsce Rosyan nad jeziorami mazurskimi pojawiły się w gazetach berlińskich — pamiętają to dziennikarze — studia o czaszce Hindenburga z osobnym oddziałem o jego uchu, o uchu władcem: e i n H e r r s c h e r o h r.

Legenda, choć skończyła właśnie rok siedemdziesiąty, urodziła się dopiero przed laty trzema, w Prusiech wschodnich, podczas odwrotu dwóch armij rosyjskich, liczących razem do pół miliona ludzi, które generał Hindenburg pobił ze stu trzydziestu — podobno — tysiącami żołnierzy i to nie najmłodszych ani najwybrańszych. Nie było to pierwsze zwycięstwo niemieckie w tej wojnie, ale najdumniejsze, bo odparło jedyną inwazyę na Prusy, a rozegrało się na terenie pobudzającym fantazyę, wśród okoliczności sprzyjających legendzie. Nie bez dreszczu czytał Berlińczyk o pogoni za kozakami wśród bagien i ostępów mazurskich; opisy były straszne, prawie słyszało się ryk stu tysięcy Rosyan, tonących w bezdni mozarzu.

Poezya podbiegła im *Laufschritt*, aby rozteńczyć swój czar nad chlubnem błotem owych jezior. „*Der Sumpf ist Trumpf, der Sumpf ist Trumpf, er schluckt die Russen mit Rumpf und Stumpf*“. Tak śpiewał poeta natchniony, pan Ginzkey, w swojej balladzie o Hindenburgu, którą i my, skromni Krakowianie, poznaliśmy na jednej z biesiad artystycznych, jakie zimą roku 1914/15 spożywaliliśmy w nawpół obleżonym Krakowie, dzięki łaskawym dla nas względom różnych amatorów i chórzystów wiedeńskich. Ballada o Hindenburgu była wrażeniem niezapomnianem. Refren jej nie schodził z ust naszych przez dobry tydzień; cały tekst umieliśmy prawie na pamięć, zwłaszcza te zwrotki, które opisują jak generał von Hindenburg znał swoje jeziora mazurskie, gdzie rzekomo spędził czas bardzo długi i których znawstwu zawdzięczał podobno powołanie z emerytury hanowerskiej na komendanta do Prus wschodnich, zaś po zwycięstwie — mianowanie szefem sztabu generalnego. Wprawdzie zaprzeczano potem p. Ginzkeyowi niemal urzędowo, powtarzano, że to nieprawda, aby generał Hindenburg spe-

dził całe życie jeneralskie nad moczarami i był w nich formalnie zakochany — ale co raz ożyje w pieśni, to nie umiera, chociażby w życiu nigdy nie istniało. Wszelkie dementis będą bezsilne wobec czarnej Muzy, która ośpiewała jenerała nad bagnami taką naprzykład zwrotką:

Es lebt keine Unke, kein Frosch, kein Lurch
 Die er nicht konnte durch und durch.
 Er kennt jeden Steg, jeden Busch und Verhack,
 Er kennt jede Lack wie den eigenen Sack,
 Wie breit sie nach West, wie tief sie nach Ost
 Er kennt sie, als hätt' er selber sie
 gekost't.

Niejeden — jak słyhać — poeta nasz mocował się z potęgą słowa, tryskającą z tej ballady, chcąc oddać w naszym języku tę przedziwną moc wyrazu, jaka zmusza do zachwyty nad jej oryginałem. Niestety, mowa nasza jest za ubogą, aby wypowiedzieć całe bogactwo fauny i hydrografii, zawarte w oryginale. Możemy od biedy przetłumaczyć wyrazy takie jak „Frosch“ — żaba, nawet jak „Unke“ — ropucha (choć onomatopei, wydającej w niemieckim wyrazie owo kumkanie, nie zastąpi), ale wobec wyrażenia „Lurch“ stajemy bezsilni, bo słowo polsko-niemiecki, który mamy pod ręką, milczy, zaś szukanie w zoologiach polskich nie na wieleby się przydało. Nadto polska „kałuża“ nie odpowiada nawet w przybliżeniu oryginałowi: „die Lack“, raczej, „bajura“ byłaby odpowiedniejszą, lecz to znów prowincjonalizm, nie godzien użycia do prawdziwej poezji, taksamo jak najlepszy może w tym wypadku termin: „kałabania“, który zanadto trąci Podolem i nigdzie poza niem nie byłby zrozumiany. A refren, wydający odrazu kumkanie żab, gulgotanie błota i bicie w bęben? „Der Sumpf ist Trumpf... der Sumpf ist Trumpf...“ Kto może sobie powiedzieć, że zmieści to wszystko w czterech słowach? Lepiej zrezygnować odrazu, niż partaczyć prawdziwą poezję nieudolnym naśladownictwem.

Niema wojny popularnej bez legendy, która ją otacza niby mgłą i tęczą zarazem, czemś niezmiernym, fantastycznym. A legenda musi się ucieleścić w jednym człowieku. Rozumiał to Napoleon, jak już wspomniano w tych zapiskach na innym miejscu — i miał podobno w swym ministerstwie wojny osobne biuro legendy napoleońskiej, z którego „mały kapral“ wychodził strojny w rzewną anegdotę, w mocne słowo, w dobry concept — których zresztą nie brakowało największemu wojownikowi wszystkich czasów. Mamy w oczach wszyscy owego grenadyera, który zasnął na posterunku, zmęczony trudem, a przebudziwszy się, ujrzał cesarza ze swym karabinem w dłoni — jako placówkę. Pamiętamy Napoleona śpiącego na lawecie, albo słyszymy go, jak woła: „jeszcze ta kula nie ulana, która mnie zabije!“. Przy ogniskach obozowych prawił sobie takie bajki o cesarzu, a te szepty razem wzięte rosły potem w wykrzyk: vive l'empereur! W wykrzyk taki, że przez lat dwadzieścia świat trząsł się jak osika na jego najdalsze echo.

Wojna Niemiec przeciw światu nie wydała zrazu żadnej legendy. Z marszu przez neutralną Belgię wyszła w nawpół tylko poważnej gloriyi „Gruba Berta“, ów moździerz olbrzymi i groteskowy, Kaliban artylerji współczesnej, który pokasał na śmierć Leodyum i Antwerpię. Legenda, która miała zrodzić się w zdobytym Paryżu, urwała się nad Marną jak śpiew niedokończony. Szli na emeryturę jenerałowie i zmieniali się szefowie sztabu jeneralnego. Po tamtej stronie był le pere Joffre, autor najniespodziewańszego odwrotu i jeszcze niespodziewańszego skoku wprzód — tutaj były zwycięstwa ogromne, ale zbrakło ich legendarnego reprezentanta. Dopiero wyszedł z jezior mazurskich.

Nadszedł czas, że skończyły się piorunujące uderzenia, zwycięstwa w ciągu minuty,

miasta padające za jednym dmuchnięciem „Grubej Berty“. Wojna wlaźła pod ziemię, nieruchoma, obłożona, nudna i wyczerpująca; została wojną „na przetrwanie“, wojną bez pióropusza i bez nagłych perypetyj, które utrzymują nerwy w napięciu. A do długiego szeregu nieprzyjaciół przyłączyła się Rumunia, przez świat poszedł wielki pomruk oczekiwania. Wówczas sięgnięto po legendę jezior mazurskich, która była świetną, jak na początku, bo chociaż zamglila się na chwilę odwrotem z pod Dębłina, to jednak zabłysła znów drugą kampanią rosyjską, wzięciem Warszawy, marszem pod Rygę. Na czoło sztabu jeneralnego został wysunięty generał, którego opiewały pióra, którego uwieczniały ołówki, którego każdy Niemiec umiał na pamięć tak, jak „Wacht am Rhein“. O nim jednym ze wszystkich szeptało sobie na ucho rzeczy dziwne i tajemnicze, brane za świętą prawdę. On był „rycerzem w zbroi“, gdy nadeszła moda stawiania posągów drewnianych, które okrywało się pancierzem z gwoździ, wbijanych przy składaniu ofiar. Takim stanął w Berlinie, olbrzymi, zwalisty, symbol i wcielenie tej w stal zakutej mocy niszczenia, która od czterdziestu lat gotowała się do boju, chociażby przeciw wszystkim.

Takiego męża było trzeba na czele, wi docznego zdala, aby naród mógł powiedzieć: oto mamy przed sobą ucieleśnioną naszą siłę, nasze szczęście orężne, rozmach naszego podboju. — Hindenburg musi być z pewnością świetnym jenerałem, ale jest czemś więcej: legendą.

W cieniu, jaki od Hindenburga pada, zniknęła cała skomplikowana maszyna sztabu jeneralnego niemieckiego, to arcydzieło techniki niszczyielskiej. Ukrył się w nim skromnie mechanik, który gra na jej klawiszach: pierwszy kwatermistrz generał Ludendorff, który już na jeziorach mazurskich przywarł do Hindenburga i jakby zrosł się

z nim w jedno. Nie śpiewa się o nim ballad, nie opowiada się legend przy kominku, ale kto mówi z ludźmi od wielkiego ołtarza wojny, ten dojrzy w ich oczach wymowne błyski, a w głosie posłyszysz suggestywne zagięcia: tak... Ludendorff... to człowiek tegi... O Hindenburgu woła się wielkim krzykiem uniesienia, o Ludendorffie szepcze się półsłówka, które dają do myślenia wiele, bardzo wiele... A widzieliśmy, że z szeptów rosną okrzyki. Tutaj zbierze je może historyra dopiero w jeden dźwięk pełny i wypowiedzie, czem był dla broni niemieckiej ten człowiek o suchym geście, który tak odbija od zaokrąglonej powagi Hindenburga, o słowie krótkim i urywanem, znów przeciwnem powolnej, dobrodusznej wymowie tamtego, o rysach tak ostrych i niemal opryskliwych, jak tamte są szerokie i przy całej grubości miękkie. Okazuje się, czem był także dla polityki. Bo dziś już wszyscy wiedzą, iż sztab jeneralny jest motorem, do którego przypina się nie tylko armię, ale i dyplomację. Każde rozstrzygnięcie polityczne, któreby zapadło nie po myśli „Grosses Hauptquartier“, będzie potykało się w praktyce o tysiące obiekcji i przeszkód najniespodziewanych. Tam jest siła, która ciśnie na wszystkie sprężyny walki, bo tam praktykuje się realnie zdanie Clausewitza: wojna jest to polityka, prowadzona innemi środkami.

* * *

Rojno, prawie ciasno było w tych dwóch pokojach, jakie otwarła na przyjęcie gości komenda Niemiec. Wśród zwykłego ceremoniału sztywnych przedstawień i brzęczących ostrogami ukłonów, po wymienieniu nazwisk tonem rozkazu, rozdzielono przybyłych na dwa plutony: pluton Hindenburga, pokój pierwszy — pluton Ludendorffa, pokój drugi. Tu i tam stół, piwo, cygara, uwaga skupiona na każdym słowie rozmowy, która toczyła się naturalnie o bitwach najświeższej kampanii włoskiej a obracała, tak jak zwy-

kle w podobnych razach, dokoła zwrotów ogólnych.

Ton był może ciekawszy od treści, ton spokojny i przepojony wiarą w przemoc, której nie nie ugnie, ton zwycięstwa, które już jest osiągnięte, bo jest pewnikiem, tak jak wynik działania arytmetycznego. Wprawdzie pozycje jeszcze nie podsumowane, ale cyfry już znalazły się pod sobą: 2 plus 5 plus 9 musi równać się szesnastu. Inaczej słońce przestałoby świecić.

Po pół godzinie zmiana plutonów. Hindenburg obejmuje oddział Ludendorffa i vice versa, aby nikt nie był pokrzywdzony. W rozmowę wpada epizod trochę swobodniejszy, mianowicie okazuje się, że samochody wycieczki dziennikarskiej były dla tego witane po ulicach przez tłum powiewający chustkami i krzyczący: „Hoeh!“, że gości wzięto za... pośredników pokojowych z Petersburga. „Aż tyłu“ — zauważa Hindenburg — „trzechby wystarczyło“. Powód do nieporozumienia dał pewien Węgier, którego debreczyńską niemieczyznę wzięto przy kupowaniu rękawiczek za akcent petersburski. Nie wiadano jeszcze, że bolszewizm pp. Joffów i Bornsteinów mówi dyalektem innym, a tak łatwym do rozpoznania.

Odtąd już mówiło się o pokoju przeważnie. Oczywiście o „pokoju Hindenburga“, który wszechniemieczyzna przeciwstawia stale pokojowi Scheidemanna: pokojowi rezygnacyj terytoryalnych z rozbrojeniem powszechnem w pięknej perspektywie. Można sobie wyobrazić, jak donośnie musi rozbrzmiewać basowy śmiech Hindenburga, gdy ktoś przez żarty wspomni mu o rozbrojeniu i o trybunale międzynarodowym. Jenerał-feldmarszałek powiedział raz przecież: „Naród, który ma w żyłach choć kroplę męskości i honoru, nigdy nie podda swego bytu i swego honoru narodowego pod sąd rozjemczy innych ludów“. Gdyby zamiast „narodu“ podstawić „człowieka“, a za-

miast „ludów“ — „ludzi“ — czemuż się stało społeczeństwo? W słowach tych, które tak dobrze wyrażają pogląd żołnierza pruskiego, streścił się stosunek państw między sobą, stawiany za ideał przez niektórych teoretyków przemocy. „Unguibus et rostro!“ — to jego podstawa. Walka wszystkich przeciw wszystkim, pięść jako jedyny tytuł prawny. I taka właśnie etyka międzynarodowa doszła do rozkwitu, przez jakąś złośliwość ducha dziejów, w państwie niemieckiem, w państwie, które z taką pieczołowitością spowija obywatela we wszelkiego rodzaju przepisy ustawowe i administracyjne. Niema w Niemczech słowa, któreby częściej powtarzało się na tablicach jak „Verboten!“ lub w najłagodniejszym wypadku: „Nicht erlaubt!“. Jeżeli pęd do takiego normowania stosunków na wewnątrz, będzie rozwijał się dalej równoległe z ukochaniem gwałtu jako jedynej normy stosunków na zewnątrz państwa, to groteskowa już dzisiaj sprzeczność między temi dwiema miarkami wolności może dojść aż do takiego punktu, w którym postawi się zasadę, że obywatelowi wobec państwa jest wszystko zakazane, państwu wobec innych państw wszystko dozwolone.

Tę ostatnią tezę już przeprowadzono w całej pełni. Pierwsza dopiero częściowo.

* * *

Godzina dziesiąta. Program wyznacza pożegnanie. Prawie czujemy za plecami adjutanta, który z okiem utkwionem w zegarek pilnuje, czy wskazówka stanęła właśnie na kropce cyfry X. Bo główna kwatery będzie teraz jeszcze pracowała, jak objaśniają tubyley. W szczególności von Hindenburg będzie rozmawiał telegrafem bez drutu z Rygą, Udine, Cambrai, Wiedniem, Bukaresztem, Konstantynopolem, następnie zda cesarzowi sprawozdanie — Wilhelm II znajduje się właśnie w miasteczku — i dopiero uda się na spoczynek, mniej więcej około

pierwszej po północy. Więc zaczyna się wielkie szuranie nóg, między pochyłającymi się głowami oficerów sunie krokiem powolnym, kołyszącym się nieco, potężna, kwadratowa figura Hindenburga. Szerokie bary naginają się do ukłonu, dłoń wyciąga się ruchem automatycznym raz za razem. Dobranoc... dobranoć moi panowie...

Warto obserwować w tej chwili twarze oficerów, którzy od Berlina prowadzą naszą wycieczkę. Luna od nich bije. Ten moment wynagrodził im całe zmęczenie podróży, które nie było małe: dać sobie rady z tylu cywilnymi, utrzymać ich w jakim takim rygorze...! Teraz dostąpili najwyższego szczęścia, jakie może spotkać żołnierza niemieckiego: byli na przyjęciu u Hindenburga, ściskali jego dłoń, zamienili z nim kilka słów. Wpatrują się w odchodzącego tak, iak gdyby chcieli tę chwilę odfotografować sobie w mózgu na wieki. Jeden, młody rotmistrz, odzywa się na cały głos: „No... od dnia mojego ślubu nie byłem tak wzruszony...”

Jak on to wszystko opowie żonie i dzieciom! To, co widział naprawdę i to, co przysięgłby, że było, bo czuł, że jest. Jak z tego będzie rosła dalej — legenda!

A przed bramą, gdzie w ciemnościach kryły się samochody. ludzie czekali! tłumnie i cierpliwie, aby za naszym ukazaniem się machać chustkami i wznosić wiwaty na cześć pośredników pokojowych z Petersburga. Tego nie mogły im wybić z głowy żadne zaprzeczenia. Pokój był widać najsilniejszą tęsknotą miasteczka, które jest głównym składem wojny.

Z powrotem.

Berlin powrotny. — Odetchnięcie. — Czy przemiana? — Niemiecka demokracja. — Dawną drogą. — Przez ścianę. — Czemu? — Bez obłudy. — Prześfasonowanie i jego prorocy. — Każdy sobą. — Uznanie. — Podwójne Niemcy. — Lżejsze życie. — Nadzieja.

Berlin, z którym zetknęliśmy się w drodze powrotnej z „Grosses Hauptquartier“ do Bogumina, był tylko na pozór temsamem miastem, które opuściliśmy przed dwoma tygodniami. W zetknięciu z temi samemi osobami, co poprzednio, odczuwało się różnicę nastroju prawie namacalną. Spadły z oczu szare okulary, przez które patrzono w przyszłość, zjawily się różowe. Zamiast depresji — otucha, zamiast skromnej nadziei: nie damy się pokonać — huczne: zwyciężymy! Rozstawaliśmy się z pojedynczym Berlinem Scheidemanna, powitaliśmy zdobywcę Berlin Hindenburga.

Dwa tygodnie wystarczyło na tę przemianę. Ale w tych dwóch tygodniach dokonał się rozejm brzeski z Rosją. Prawie słyszalo się to wielkie westchnienie ulgi, że pękła obręcz, zamykająca Niemcy w angielskiej beczce. Już wówczas, pierwszego grudnia, mówiło się, że kupcy i inżynierowie jadą do

Petersburga, że wkrótce potoczą się ku granicy wagony z żywnością i surowcem. Z jakimkolwiek „żądaniami“ Rosyi, z trudnościami w rokowaniach nikt się nie liczył, chyba dla pewnej przyzwoitości padło od czasu do czasu jakieś „jeżeli“ lub „gdy tylko“. Miało się wrażenie, iż Berlin zna swoich ludzi po tamtej stronie i ocenia ich tak, jak na to zasługują. Przeniknięcie ekonomiczne na Wschód, wielka ofenzywa na Zachodzie — oto były dwie nadzieje, które snuły się w powietrzu politycznym jak rzeźwiący ozon. Słońce świeciło jaśniej, świat był piękniejszy.

Dziś wiemy już, ile z tych oczekiwań się ziściło. Ale chociażby wszystkie były przysły, to ów miesiąc między rozjęmem brzeskim, a Nowym Rokiem wsparłby Niemcy i Niemców takim zapasem otuchy, że kartek na „siłę przetrwania“ długoby nie potrzeba wydawać. Zapomniano o jednym jajku na tydzień, o drożyznie, o kartkach mięsnych. Takie dni krzepią.

Takie dni wydobywają też na wierzch wszystkie myśli, które drzemały pod popiołem długich i smutnych lat przetrzynywania. Nie brak i w Polsce umysłów, które patrzą na państwo niemieckie przez pryzmat własnej miękkości i gotowe przypuścić, że ono przekształci się, że wspomnienie tego, co zносиło, wydobędzie na wierzch pierwiastki, dotąd przygłuszane myślą o potędze i wola przemocy. Życzyć sobie tego powinien każdy dobry Europejczyk, lecz trzeba nieco romantyki, aby w to uwierzyć. Czy nie logiczniej przypuszczać, że państwo, które dzięki swej sile nie dało się pokonać, będzie tę siłę czciło jeszcze czokobitniej niż przed tem i że w niej będzie widziało Boga rzeczy ziemskich? Skąd myśl, iż „wejdzie w siebie“, ba, „ukorzy się wewnętrznie“ zamiast ze swego sukcesu wywnioskować, że moc jest jedynym argumentem, a siła jedynym prawem? Nawraca się z drogi jeśli

zaprowadziła nad przepaść. Jeżeli się okazało, że prowadzi do celu, trzeba iść nią dalej.

Wszelkie demokratyzacye, wszelkie przemiany duchowe, o których wnioskuje się z paru rozmów z „człowiekiem z ludu“, urzędnikiem prywatnym, kupcem, czy rolnikiem podmiejskim, to wyobrażenia, których treść istotna zawsze musi być brana pod kątem ustosunkowania siły społeczeństwa niemieckiego i siły rządzącej Niemcami. Bo są to dwa motory — jak dzisiaj — odrębne. Nie jest wykluczone, że niejedyn Niemiec przemysłał głębiej dzisiejszą katastrofę i że powodów jej dopatruje się nietylko w bezgranicznej złości nieprzyjaciół. Ale konsekwencye polityczne nie on będzie wyciągał, lecz ci, którzy Niemcami rządzą, i którzy wdrowyli naród do karności, do zupełnego poddawania się woli idącej z góry.

Jeżeli zaś kto pragnąłby roztkliwiać się nad demokratyzacją, która po Niemczech wieje, to przeczytanie dziesięciu pism dziesięciu różnych obozów przekona go, że niemiecka demokracja ma być już w założeniu zupełnie odmienną od wszelkiej innej, a już do demokracji zachodniej w niezem podobną być nie może. Zachód jest w pojęciu przeciętnego Niemca krajem niewoli, gdzie „kliki plutokratyczne“ uciskają lud helotów. Ameryka jest więzieniem, Francja domem poprawy, wolność prawdziwą znają tylko Niemcy. Socjaliści niezawisli, którzy mają inne wyobrażenia, są dzisiaj w mniejszości i to słabej. Socjaliści p. Scheidemanna wypowiedzieli się już za cezaryzmem, a imperyalizmu wcale się nie wyrzekają, bo imperyalizm to eksport, eksport to rozkwit przemysłu, rozkwit przemysłu to wzbogacenie kraju i podwyższenie stopy życiowej robotnika. A „partya ojczyzna“, której wzrost nie może ulegać zaprzeczeniu, sieje w cały naród aneksjonizm i religię siły.

Mówimy tylko o chwili obecnej, zwłaszcza o tych siłach popędowych, które uchwytne teraz pokój z Rosją ruszył z drzemki, wywołanej położeniem niedawnym, położeniem bardzo ciężkim i, zdawało się, trudnym do rozplątania. Jakkolwiekby potoczyły się układy na Wschodzie, jakiegokolwiekby dzisiaj wysuwano hasła porozumienia i „niepogwałceń terytoryalnych“, to jednak myśl o anektowaniu Belgii, o „przyłączeniu“ Litwy i Kurlandyi, o zabranii Francyi zagłębia Briey będzie przemożną dopóty, dopóki się nie okaże, iż jest na teraz nie do przeprowadzenia. Że żołnierze są aneksjonistami, temu nikt dziwić się nie będzie. Uważają, że to, co zdobyli orężem, jest ich własnością i otwierają oczy, gdy ktoś ma zdanie odmienne. Ale zdumiećby się trzeba nad przeciwnym Niemcem, który byłby opinii przeciwnej prawdę, nie dla formy. Po co w takim razie chowanoby naród od pół wieku w szkole niemieckiej, po co wpajanoby mu urzędową historyografią przekonanie, że losy Europy od Karola Wielkiego zmierzały do tego celu, jakim było złączenie Niemiec przez Bismarcka, a losy świata muszą potoczyć się tym torem, na jaki przez Niemcy będą pchnięte? Czyż ów kult państwa, wbijany w czaszkę przez szkoły, uniwersytety i kościoły, miałby wejść pustym kłosem i w to właśnie w chwili, gdy państwo zawoła: stawiliśmy opór całemu światu i wyszliśmy cało!

Niektórzy przenoszą chwilę „skruchy“ na czas powojenny, w okres dalszy, gdy ekonomiczne następstwa wojny dadzą się odczuć krajowi wyczerpanemu finansowo, a skazanemu na zarobkowanie poza swym obrębem. Przy hipotezach takich nie wolno w żadnym razie pomijać tej zdolności przystosowania się, jaką przemysł niemiecki posiada i jaką wykorzysta, aby dać zarobek milionom rąk, które go będą potrzebowały. A dyscyplina, którą rządzący ściągają rzą-

dzonych, spełni i w najcięższych warunkach swoje zadanie, jeżeli zajdzie potrzeba i jeżeli troski codzienne zaczną trochę przytłumiać zadowolenie ze siebie: nie daliśmy się! Wszelkie zresztą przypuszczenia, jakie snućby można, mają wagę tylko o tyle, o ile pierwiastki ich dadzą się odszukać dzisiaj w duszy zbiorowej Niemiec. Dusza ta była chowaną w pewnych zasadach, które ją przenikały i kształtowały. I tak, jak woda spływa zawsze w dół, nie w górę, tak logika każe wnioskować, że gdyby Niemcy wyszły z tej wojny z olbrzymim zwycięstwem, to utwierdziłyby się w myśli, że ich kult siły jest religią prawdziwą, gdyby zaś doznały porażki, to wyciągnęłyby z niej wnioski, że były za słabe i że powinny się jeszcze wzmocnić. Koncepcyj świata nie przemienia się z dnia na dzień, jeżeli się wiekami kształtowały.

* * *

Ze stanowiska etyki politycznej można ten światopogląd krytykować. Czyni to dzisiaj — szczerze czy nieszczerze — cały świat „niecentralny“, a i w centralnym słychać lekkie pomruki, które zresztą w razie sukcesu rychło ścichną, gdyż nie było jeszcze wypadku, aby zwycięscy zabrakło chwalców. Nie o abstrakcyjną jednak krytykę idzie, ani o łatwe ubolewania, że świat jest zły i że tak nie odpowiada ideałowi. Nam zwłaszcza, Polakom, którzy mamy przez ścianę sąsiadować z państwem niemieckim, daleko ważniejszym być musi dokładne jego poznanie, tak, aby przyszła styczność odbywała się bez przesadnych uprzedzeń, równie jak bez złudzeń.

Do tych ostatnich należy rozpowszechnione jeszcze u nas rozcinanie Rzeszy niemieckiej na Północ i na Południe, czyli przeciwstawianie Prus — Bawaryi i innym szczepom południowym. Ów rzekomy separatyzm z czasów przedwojennych wyrównał się dzisiaj z pewnością na polach bitew,

gdzie krew pruska spłynęła z bawarską i wirtemberską w jeden potok niemiecki. Każdy żołnierz Rzeszy bije się dzisiaj za wielkość cesarstwa i jest przekonany, zresztą całkiem słusznie, że od tej wielkości zależy siła jego ojczyzny ściślejszej. A jeśli idzie o prusyfikację Niemiec, to jest ona dzisiaj w swoim apogeum, chociaż kanclerz Rzeszy pochodzi z Bawaryi i chociaż szpce się z dobrze poinformowaną twarzą: państwa południowe rozciągają nad Prusami kontrolę...! Pod tym względem wszelkie iluzje wydają się dzisiaj naiwnością. Z wojny zwycięskiej, chociażby tylko w formie niepokonania, Niemcy powinny wyjść bardziej „pruskie“, niż kiedykolwiek. Skończyła się dawno epoka Weimaru, epoka pięknoduchów, filozofów, poetów, dworów medycejskich, snów o obywatelstwie światowym i o skromnym obiedzie przy wysokiej kulturze. Przyszła era Poczdamu, czas nacjonalizmu, posłuchu, pełnych kas i przeświadczenia, że to jest kultura, którą świat z rąk niemieckich przyjąć powinien. Na dnie duszy każdego w duchu państwowym wychowanego Niemca powinno tkwić przeświadczenie, które von Bernhardi wyjął z niej i ucieleśnił w tezie: Die Deutschen sind nicht ein Kulturvolk. Sie sind d a s Kulturvolk.

* * *

Nieraz rzucają Niemcy pytanie: czemu to jesteśmy tak znienawidzeni przez świat cały? Wychodzą książki o tej materii, toczą się dyskusje w prasie. Czytelnik dowiaduje się, że świat zazdrości w ten sposób Niemcom ich tęgości, pilności, dyscypliny, zdolności przystosowania, przedsiębiorczości i wogóle sukcesu, jaki zdobyli i jaki jeszcze zdobędą. „Wir sind zu tuechtig, das kann man nicht leiden“. O jednym wszakże zapomina się w tych dyskusjach: o tem głośno wypowiedzianem przeświadczeniu wielu jednostek, że Niemcy górują cywilizacją nad całym światem i że on według nich fa-

sonować się powinien. Ta myśl, otrębywana prawie naiwnie, a złączona z ufnością, jaką

Niemcy pokładają w swym militarystyce, zrodziła podejrzenie, że państwo niemieckie dąży do podboju świata. Występowano przeciw temu często i gwałtownie w samych Niemczech, bo zaślepieniem byłoby twierdzić, że duch Potsdamu przeniknął już każdy atom powietrza od Bałtyku po Alpy bawarskie. Odpór, z jakim spotykały się te głosy, umacniał jednak ludzkość w przekonaniu, że tamci mają za sobą większość i to olbrzymią. Że w Niemczech dzisiejszych zapomniano już słów Fryderyka II.: „lasst jeden nach seiner Fasson selig werden“, a postawiono na ich miejsce inne, raz już wspomniane w tych zapiskach: „Am deutschen Wesen muss die Welt genesen!“

Nieszczerością byłoby mówić, że my, Polacy, różnimy się od reszty świata tem, iż z państwem niemieckim sympatyzujemy. Po doświadczeniach politycznych ostatniej doby byłoby to może dla samych Niemców a zwłaszcza dla północnych obłudnem i niewiarygodnem, tembardziej, że wielu z nich samych, uczuć swych dla nas nie kryje. Sympatye i antypatye nie usuną jednak faktu, że dwa narody, które mają stykać się ze sobą, jako lokatorzy kamienicy, zwanej Europą, muszą utrzymywać stosunki sąsiedzkie i to wszechstronne.

Przyszła komunikacya polityczna ułoży się oczywiście pod dyktatem wzajemnych konieczności, równie jak gospodarcza. Każdy z nas wie, że mieszkając naprzeciw ko-szar nie będziemy patrzyli na szpalery, ani na wodotryski, że Drang nach Osten jest prądem tęgim, że, jednym słowem, życie nie jest idyllą, a już życie polityczne z pewnością. Zostaje wszelako świat cywilizacyi i kultury. Tutaj zaś trzeba będzie nieco energii, aby uporać się z czcicielami potęgi, którzy głoszą, że dostąpimy zbawienia o tyle, o ile przefasomujemy się możliwie na spo-

sób niemiecki. Proroków takich mamy nie tylko po tamtej stronie, gdzie głośzą uniwersalną adaptację świata do niemieckiej normy. U nas także słyhać westchnienia, aby co rychlej nadszedł moment, w którym przeniknie nas niemiecka kultura — prawda, że na tym poziomie rozumowania i nadziei za symbol kultury uważa się najczęściej czyste chodniki, dobre wodociągi, dużo tablic z zakazami i bardzo surowego zandarma.

Otóż można mieć cały szacunek dla posłuchu, obowiązkowości, skrupulatności, dla wszystkiego, co jest pruskim „Drillem“ fizycznym i duchowym, a jednak nie wierzyć, aby przekalkowanie tych wszystkich niewątpliwych i wielkich cnót w ich niemieckim kształcie dało nam, właśnie nam s u m m u m organizacyi państwowej, rozwoju i dobrego czucia się na świecie. Wszystko to wytworzyło się w Niemczech tokiem historycznym, z zarodków, które drzemały w duszy narodu. Niejedno takie ziarno i my posiadamy, lecz żaden upór nie pomoże na to, aby zbierać koniecznie rzepę tam, gdzie los posiał pietruszkę. Banalnością byłoby powtarzać, że kropla niemieckiego posłuchu zabarwiłaby korzystnie nasze indywidualistyczne rozwiczenie, a porcyjka niemieckiego „Sitzfleischu“ przydałaby się naszym słomianym zapalom. Taka regulacya skrajności między sobą jest zawsze możliwą, a przy sąsiedztwie konieczną, jak uczy chociażby atmosfera Wielkopolski. Ale mamy już — na szczęście, czy na nieszczęście — coś w rodzaju kultury, która fason własny już posiada i nie da się przerobić tak łatwo, jak mundur wojskowy. A wiemy również, iż są w Europie magazyny inne, w których także warto poszukać, czy nie dobierze się czego do naszego wzrostu, figury i cery. Bo ostatecznie i Francya ma państwowość związaną weale silnie i niezłe rozwiniętą i Anglia również nie jest synonimem anarchii, chociaż kar-

ność idzie w Londynie także z nakazu wewnętrznego, od dołu, nie od ślepej i trochę zastrachanej wiary w to, co spływa z góry— zaś posłuch paryski bywa często podobny do mrukliwego nieposłuszeństwa. A Paryż jest i pozostanie centrum kultury europejskiej, chociaż — o zgrozo — jest bardzo zaśmiecony.

Oglądamy dzisiaj cały układ życia Niemiec w gloryi doskonałości. Układ ten wyniknął z przygotowania wojny, na nią był obliczony i okazał się znakomitym. Na świecie bywa jednak i pokój — czasem nawet dość długo — i niewiadomo czy w naszym życiu narodowym wojna będzie ogniskowała wszystkie dążenia społeczeństwa, czy patent oficerski będzie najwyższą dumą Polaka i czy koszary będą najważniejszym budynkiem publicznym. A nawet wojsko nasze będzie musiało być przeniknięte duchem tradycyj własnych, własnym typem karności i więzi wewnętrznej. Można kupić sobie instruktora, co przywiezie w kufierku musztrę, karabin i regulamin służbowy. Duszy nowej żołnierzowi nie wstrzyknie nikt. Na to niema recepty.

Tylko płytkość mogłaby zapoznawać świetne wychowanie Niemców do pewnego określonego celu, mianowicie na ślepo posłusznych i gorąco kraj kochających obywateli państwa, które jest celem samo w sobie. W nas jest i pozostanie święta żądza posiadania praw — nietylko zapał pełnienia obowiązków, którego mamy stanowczo zamało, mówiąc nawiasem. Gdy więc już dzisiaj słyszemy żale, że „tak nam do Niemców daleko“, musimy sobie uświadomić, że blisko nie będzie nigdy, chociaż wrodzona nam zdolność przystosowania się i pęd do naśladownictwa postarają się o to, aby niejeden nałot niemieckości spoczął na życiu naszym. Skoro jednak mamy koniecznie przypominać sobie romantyczne impertynencye o papudze narodów, to niechże nam wolno bę-

dzie uszczknąć po słówku z różnych języków, nietylko z jednego, który najczęściej będziemy słyszeli. Zwłaszcza, że nasze gardło nie najlepiej go oddaje.

* * *

Brak sympatyj nie wyklucza zresztą ani zrozumienia, ani uznania. Mamy jedno i drugie dla wysiłku wojennego Niemiec, chociaż nie przeszkadza to nam uznać wysiłek szczuplej liczebnie Francyi, która utrzymała na sobie w początku wojny całą przewagę Niemiec, oraz wysiłek Anglii, która stworzyła armię, choć jej nigdy poprzednio nie miała. Podziwialiśmy zawsze ekspansję gospodarczą Rzeszy niemieckiej, taksamo, jak siłę handlową i przemysłową Anglii. Cały mechanizm Niemiec jest godny podziwu, jak każda rzecz skończona i doskonała sama w sobie. Wiemy jednak, że są mechanizmy innej konstrukcyi, które pracują z równie świetnym rezultatem. Taka zaś idea państwa, jaką sobie Niemcy wyrobiły i jaką w praktyce przeprowadzają, do mózgow naszych nie trafi. Dla nas świat jest weselszy, niebo błękitniejsze, życie może dać człowiekowi coś więcej ponad zadowolenie ze spełnionego obowiązku, obywatele nie są dla państwa, ale państwo dla obywateli. To może najgłębiej rozdziela nas od Niemiec, jako od państwa i od narodu, który w tem państwie żyje i przez nie został ugnieciony, jak rzeźbiarz ugniata glinę.

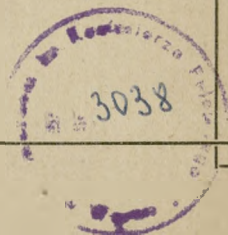
To też gdy mówimy „naród niemiecki“, myślimy zawsze o państwie Hohenzollernów. O Niemcach austryackich prawie zapominamy, że są Niemcami, tak mało widzimy w nich rysów, z których składa się w naszej wyobraźni obraz „Niemca doskonałego“. W Przedlitawii lżej się myśli i żyje się nie bez tej lekkomyślności, która w pewnym atomie musi być dodaną do życia, aby było znośniejszym. O Wiedniu śpiewał jeszcze Schiller w „Xeniach“, że jest „krajem Feaków, gdzie zawsze jest niedziela, gdzie rożen za-

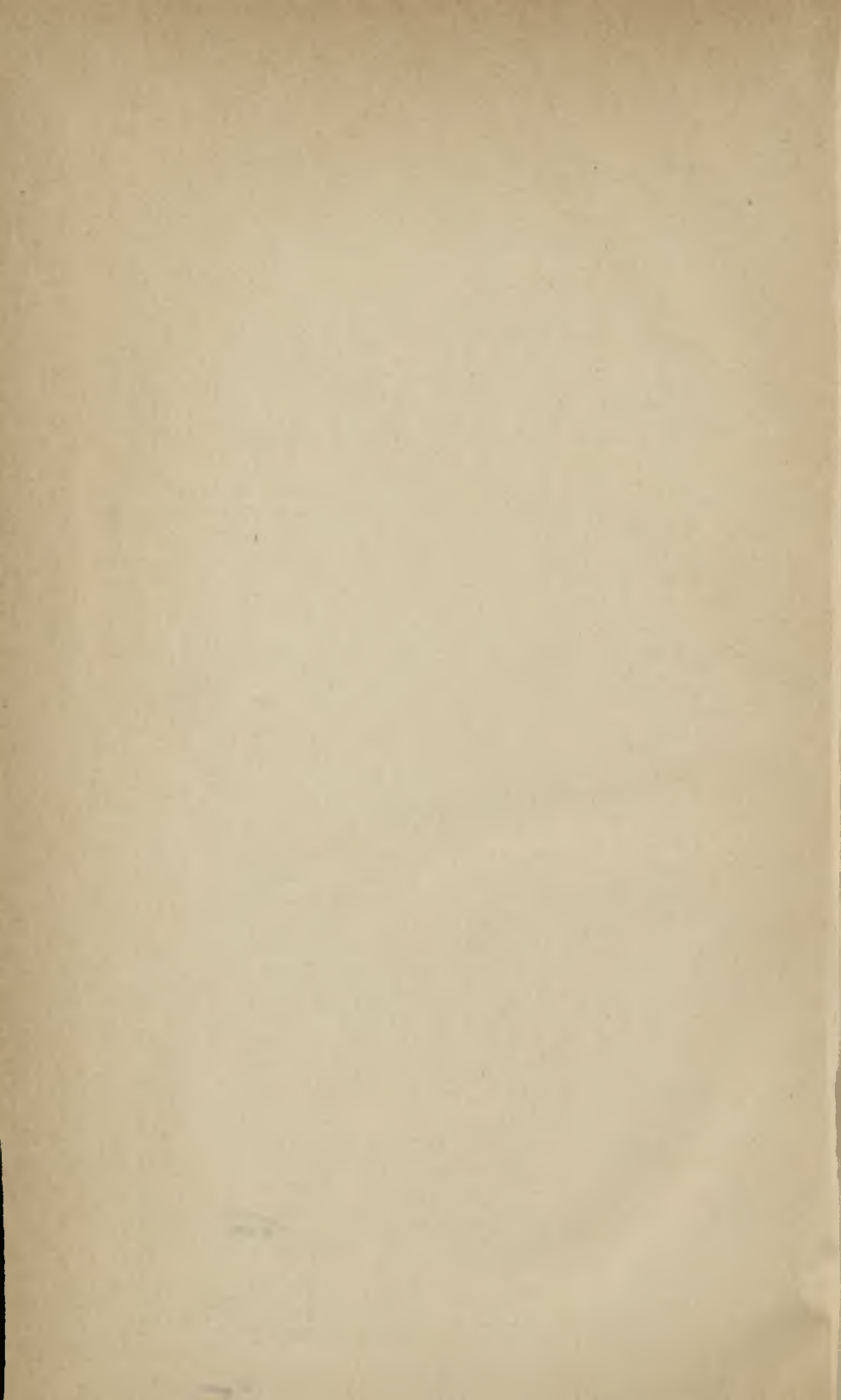
wsze kręci się przy ogniu“. To południowe prawie miasto jest nam bliższe, niż Berlin. Berlin zaś staje się coraz widoczniej synonimem Niemiec. Berlin — a zwłaszcza Potsdam.

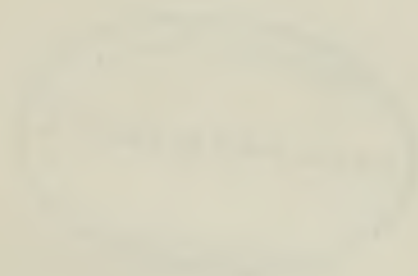
Zresztą nie jesteśmy skrajni. Poza polityką, koszarami i kuźnią pieniędzy istnieje w Niemczech pewien park, w którym dusza polska spacerowała oddawna i chętnie. Nigdy nie byliśmy obojętni na to, co wiedza, literatura i muzyka niemiecka ofiarowywały naprawdę całemu światu. Bismark nie pokłócił nas z Goethem, ani Tiedemann z Wagnerem. I nigdy nie przestaniemy szukać w potsdamskich Niemczech tego odcinka frontu kulturalnego, na którym przechowują się jeszcze zielenią obrosłe szanicy Weimaru. Taksamo jak nigdy nie przestaniemy wierzyć, iż z etyką siły ściera się w Niemczech i dzisiaj jeszcze etyka sprawiedliwości i że jej przedstawicielom wszystkie narody podadzą rękę przez mur nienawiści plemiennych. aby wstrząsnąć ich prawicą tak szczerze i silnie, jak ścisła się dłoń ludzi rozumnych i uczciwych. Są i będą takie Niemcy, które muszą zetknąć się swą duchową powierzchnią ze światem cywilizowanym, do którego i my mamy zaszczyt uniżenie się liczyć.

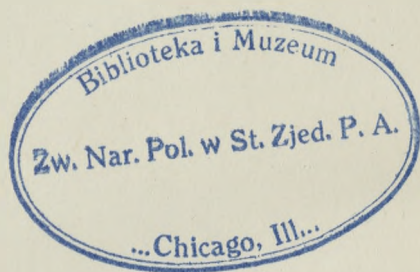
..... : :
W rytm kół wagonu snują się zawsze po-
dróżnemu strzępki myśli, najeźściej bezładne, wpółsenne, trochę przemęczone i natrętne. W zapiskach tych pomieszczamy je tylko po to, aby pobieżnie zanotować częśćkę materiału, o którym się w Polsce wojennej mówi często, a bez pretensyj do odkrywania nowych światów — co krąży niejako w powietrzu i jest rezultatem trzech lat zbiorowego przeżywania i czucia.

Bruksela — Kraków, grudzień 1917.









D. 11



